

62

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

kwiecień – czerwiec 2022



lgl

poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Iwona Góraj, „Ptak o poranku”, collage, papier, 21 x 15 cm, 2017

SŁOWO OD REDAKCJIBogdan Knop, Barbara Strzelbicka *Koincydencje* 3**WYDARZENIA***Kalendarium: kwiecień-czerwiec 2022 r.* 4Barbara Strzelbicka, *O wojnie w czasie wojny.*
Spotkanie z Wołodymyrem Jaworskim-Woldmurem 6**LAURÓW WIENIEC**Barbara Strzelbicka, *Dyskusje, kino i przyjaźń. Jubileusz DKF „Rumcajs”* 9**POEZJA**Zdzisław Opalko, *proszę cię człowieku* 11Małgorzata Franc, *W ostatniej chwili – tryptyk wojenny.* 13Janusz Strojec, *Stygmaty XIV-XX.* 15Janusz Jano Mielczarek, *Tryptyk z objazdowego kina* 17Mira Kieniewicz-Kopcińska, *Ty* 18Anna Jędryka, *Jak można* 22Alicja Nowak, *62 wiersze (wybór)* 24Jacek Gierasinski, *Wiersze ze skrzynki* 26Wiesława Owczarek, *Trzy wiersze* 28Iwona Góraj, *Wiersze ekfrastyczne* 31**SATYRA**Zdzisław „Rabarbar” Sierpiński, *Satyry* 33**WŚRÓD WIERSZY I POETÓW. DIARIUSZ CZĘSTOCHOWSKI**Arkadiusz Frania, *Z niepokory i oczekiwania (Zbigniew Jakubowski)* 37**PROZA**Andrzej Piechocki, *Wpływ Saturna* 47**DRAMAT**Zdzisław Opalko, *Grzeszność, spowiedź i piosenka*
(mała forma dramatyczna) 57**NA SZTALUGACH**

Iwona Elżbieta Góraj 71

Marian Panek, *Przenikanie. O twórczości Iwony Góraj* 72

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2022 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Bogdan Knop, *Jarosław Marek Rymkiewicz – wspomnienie* 75
Jarosław Kapsa, *Ziut dął...*

(*Errata do „Pomiędzy” Antoniego „Ziuta” Gralaka*) 76

Konrad Ludwicki, *O trenach i świadomości Janusza Strojca* 83

Andrzej Piechocki, *Na marginesie artykułu „Uległość czy obojętność?”* 85

Barbara Strzelbicka, *Opowieść o poezji Arkadiusza Frani (część trzecia)* 87

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Ciało* 92

HISTORIA W GALERII

Tomasz „Aztzenty” Barański, *Jasna Góra jako miejsce królewskiego ślubu* ... 101

WIDZIANE Z GALERII. Subiektywna kronika wypadków kulturalnych

Ida Jadwiga Lubińska, *Retrospektywa „Jotki” z okazji pięćdziesiątki* 106

Barbara Strzelbicka, *Na naukę nigdy nie jest za późno* 107

Barbara Strzelbicka, *Sebyła podwójnie* 107

Barbara Strzelbicka, *Maciej w piwnicy* 109

Barbara Strzelbicka, *Teatr w Galerii* 111

Artur Gielezy, *O poezji w Bibliotece* 112

Barbara Strzelbicka, *Spotkanie poetyckie – bez wierszy* 113

NOTY O KSIĄŻKACH

Antoni „Ziut” Gralak, *Pomiędzy* 115

Lech (Leszek) Grochulski, *Wiersze. Moje ślady* 115

Alicja Nowak, *Wiersze. Zbiór* 115

FOTOGALERIA

Janusz Mielczarek, *Opowieści o pięknie* 116

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, *Ciekawość* 119

NOTY O AUTORACH

Mira Kieniewicz-Kopcińska 21

Iwona Elżbieta Góraj 71

Konrad Ludwicki 84

KOINCYDENCJE

CZASEM MAMY WRAŻENIE, że to, w czym uczestniczymy, co widzimy albo co się właśnie dzieje, już kiedyś było. Bywa to nazywane poczuciem *deja vu*, czyli rodzajem wspomnienia, którego nie było. Z drugiej strony nieoczekiwane zejście się różnych zdarzeń określa się mianem koincydencji. A gdyby pożenić koincydencję z *deja vu*?

Obchodzimy w tym roku 120. rocznicę urodzin Władysława Sebyły, poety związanego urodzeniem z regionem częstochowskim, zamordowanego w Katyniu i silnie oddziałującego na poezję polską od swego debiutu przedwojennego po „ostatni wiersz epoki”. A jednocześnie poety, w twórczości którego swoisty zbieg poczucia *deja vu* i koincydencji w sposób szczególny się wyraził.

Wydawca wierszy zebranych Sebyły zarzucił Czesławowi Miłoszowi, że z tym ostatnim wierszem epoki przesadził. Bo ani on ostatni, ani autor z kolejnictwem nic wspólnego nie miał. A jednak Miłosz miał rację. Jak żaden inny wiersz, ten zasługuje na miano ostatniego:

I znowu tupot nóg sołdackich
i grzmiących sotni gwizd kozackich,
gwiaździsty nad Europą but
i mrowi się ludami wschód.

Słusznie wydało się nobliście, że wiersz Sebyły zamknął epokę, w której Ojczyzna spała snem kołodziejów i otworzył epokę, która Sebyle przyniosła śmierć, a ojczyźnie zniewolenie na długie dziesięciolecia. Ale czy mógł przewidzieć, że wiersz ten w 2022 roku będzie jak *deja vu*, bo koincydencje są aż nadto widoczne:

O mój rozmarynie...

120. rocznica urodzin Sebyły została w Częstochowie uczczona dwoma

spotkaniami, o których piszemy w „Galerii”. W tym numerze zwraca uwagę wielość wydarzeń kulturalnych, które odbyły się w drugim kwartale b.r. Zaczęło się od spotkania z Wołodymyrem Jaworskim-Woldmurem i promocją jego książki w tłumaczeniu Bohdana Zadury, wydanej przez Towarzystwo Galeria Literacka. Były jubileusze: 65-lecie DKF-u „Rumcajs” i 50-lecie pracy twórczej Jerzego Kędziory, spotkania autorskie Tadeusza Luterka, Zdzisława Sierpińskiego i Zbigniewa Budka, koncert Macieja Rudlickiego, spektakl teatralny Wojciecha Kowalskiego „Hrabalu Ty mój!”, wystawa fotografii „inDUSTrial”. Szczegóły znajdują Państwo wewnątrz magazynu.

W poezji trzy tryptyki i różnorodność, od wierszy lirycznych, poprzez inspirowane aktualną sytuacją, aż po satyry. Zwracamy uwagę na oryginalne ekfrazy Iwony Górąj, artystki wszechstronnej, której prace plastyczne oraz sylwetkę prezentujemy.

W dziale prozy zamieszczamy opowiadanie, którego akcja dzieje się w Częstochowie. Przypominamy, że na Jasnej Górze odbyły się onegdaj królewskie zaślubiny. Wyciągamy z bibliotecznych zasobów teksty literackie, zajmujące się ciałem. Drukujemy także, rzadko obecny na naszych łamach, tekst dramatu. Sporo miejsca poświęcamy krytyce literackiej, w tym życiu i twórczości: Jarosława Marka Rymkiewicza, Zbigniewa Jakubowskiego, Arkadiusza Frani, Janusza Strojca oraz książce Antoniego „Ziuta” Gralaka.

Cieszymy się z powrotu na łamy „Galerii” Jarosława Kapsy – w nadziei, że już na zawsze, z towarzyszącą jej świadomością, co z ludzkiej perspektywy oznacza „zawsze”.

To wszystko w cieniu wojny tuż za naszą granicą. Coraz lepiej rozumiemy znaczenie chińskiego przekleństwa „Obyś żył w ciekawych czasach!”. Niech więc przynajmniej lektura „Galerii” nr 62 będzie ciekawa – zwyczajnie.

BOGDAN KNOP, BARBARA STRZELBICKA

KALENDARIUM kwiecień-czerwiec 2022



KWIECIEŃ

- 1.04. – jubileusz 50-lecia pracy twórczej Jerzego Kędziory – Galeria 4Arte;
- 2.04. – wernisaż wystawy Marty Dunal „Struktura i przestrzeń” – OPK „Gaude Mater”;
- 2.04. – zmarła Jolanta Lothe, aktorka;
- 3.04. – „Książkowanie” – Klub „Politechnik”;
- 5.04. – spotkanie autorskie Zbigniewa Budka i promocja tomu wierszy *Rozproszenie* – OPK „Gaude Mater”;
- 6.04. – spotkanie autorskie z Wołodymyrem Jaworskim-Woldmurem i promocja książki *Pólsenne kartki z Diamentowego Cesarstwa i Królestwa Ziemi Północnej. Epepeja w przekładzie Bohdana Zadury* – Muzeum Częstochowskie – Ratusz;
- 7.04. – zmarł Ludwik Dorn, polityk;
- 7.04. – spotkanie „Portret Władysława Sebyły” – ROK;
- 11.04. – zmarł Jack Higgins, pisarz;
- 16.04. – zmarł Fidelis Gajos, muzyk i pedagog;
- 18.04. – zmarł Andrzej Korzyński, muzyk i kompozytor;
- 20.04. – zmarła Erwina Ryś-Ferens, sportsmenka;

- 21.04. – wernisaże wystaw: Beata Bebel, „Jestem tylko malarką”, Bogna Jarzemska-Masztalska, „Głębia koloru”, Justyna Tolik, „Jaki kolor ma czerwona kapusta?”, Grzegorz Pabel, „Malarstwo” – Miejska Galeria Sztuki;
- 22.04. – wernisaż wystawy prac Bartłomieja Stypki – OPK „Gaude Mater”;
- 22.04. – zmarła Elżbieta Brągiel, pedagog;
- 23.04. – wernisaż wystawy grafiki Aleksandry Kowalskiej „Kolografia” – OPK „Gaude Mater”;
- 23.04. – zmarł Czesław Tarczyński, malarz, wieloletni dyrektor BWA w Częstochowie;
- 26.04. – zmarł Klaus Shulze, muzyk;
- 27.04. – spotkanie „Władysław Stefan Sebyła. Ukryta prawda” – Muzeum Częstochowskie – Ratusz;
- 30.04. – zmarł Marek Goliszewski, publicysta, społecznik, założyciel Business Center Club.

MAJ

- 6.05. – wernisaż pokonkursowej wystawy CYBERFOTO 2022 – ROK;
- 12.05. – premiera „Galerii” nr 61 – Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;
- 13.05. – koncert Macieja Rudlickiego w Galerii 4Arte;

- 13.05.** – spotkanie autorskie z Ryszardem Stefaniakiem i promocja książki *Matka i Serce Syna na wileńskiej Rossie* – OPK „Gaude Mater”;
- 13.05.** – zmarła Teresa Berganza, śpiewaczka;
- 15.05.** – zmarł Ignacy Gogolewski, aktor;
- 15.05.** – zmarł Jerzy Trela, aktor;
- 16.05.** – zmarł Josef Abrahám, aktor;
- 16-30.05.** – obchody jubileuszu 65-lecia DKF „Rumcajs” – Klub „Politechnik”;
- 17.05.** – zmarł Vangelis, muzyk, kompozytor;
- 20.05.** – spotkanie autorskie z Marcinem Zegadłą i promocja tomu poetyckiego *Martwe i Ozdobne* – OPK „Gaude Mater”;
- 20.05.** – zmarł Jerzy Zass, aktor;
- 21.05.** – Noc Muzeów;
- 25.05.** – spotkanie autorskie z Antonim „Ziutem” Gralakiem i promocja książki *Pomiędzy* – Miejska Galeria Sztuki;
- 27.05.** – spotkanie autorskie z Tomaszem Stawiszynskim – OPK „Gaude Mater”.

CZERWIEC

- 3-5.06.** – XVI Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego Hot Jazz Spring Częstochowa 2022;
- 3.06.** – spotkanie autorskie z Łukaszem Suskiewiczem i promocja tomu opowiadań *Hotele* – OPK „Gaude Mater”;
- 7.06.** – wernisaż wystawy studentów UJD „Nie dokarmiać dzikich artystów” – Galeria „Zwiastun” Miejskiej Galerii Sztuki;
- 9.06.** – wernisaż wystawy fotografii studentek i studentów UJD – OPK „Gaude Mater”;
- 10.06.** – spektakl Teatru Wojtka Kowalskiego „Hrabalu Ty mój!” – Galeria 4Arte;
- 10.06.** – finisaż wystawy malarstwa Beauty Bebel „Jestem po prostu malarką” i promocja katalogu – Miejska Galeria Sztuki;
- 10.06.** – wernisaż wystawy Aleksandry Kowalskiej „Malarstwo z tekstem i muzyką” – Galeria ZPAP;

- 11-12.06.** – XIV Częstochowskie Dni Rodziny – Miejska Galeria Sztuki;
- 14.06.** – spotkanie autorskie Arkadiusza Frani „Nie lubię mówić, wolę pisać” – Kraków;
- 17.06.** – spotkanie autorskie z filozofem i publicystą Tomaszem Markiewką – OPK „Gaude Mater”;
- 17.06.** – zmarł Jean Louis Trantignant, aktor;
- 17-21.06.** – Festiwal Tańca Współczesnego „Pamięć Miasta”;
- 18.06.** – spotkanie autorskie Tadeusza Lutera – Biblioteka Wyższego Seminarium Duchownego;
- 22.06.** – spotkanie autorskie Zdzisława Sierpińskiego i promocja tomu *Wędrówki po warkoczach marzeń i za snu kotary* – OPK „Gaude Mater”;
- 26.06.** – „Książkowanie” – Klub „Politechnik”;
- 26.06.-28.08.** – Letni Jurajski Festiwal Muzyczny 2022 – Jura Krakowsko-Częstochowska;
- 30.06.** – wernisaże wystaw: Alicja Pruchnicz i Roland Grabkowski, „Formy zmienne”; Piotr Desperak, „Uroboros zamyka krąg”, Agnieszka Pawłowska-Górska, „Na progu”, „47 Jurajska Jesień – początek” – Miejska Galeria Sztuki.

BARBARA STRZELBICKA

Barbara Strzelbicka

O WOJNIE W CZASIE WOJNY. SPOTKANIE Z WOŁODYMYREM JAWORSKIM-WOLDMUREM



Od lewej: Bohdan Zadura, Wołodymyr Jaworski-Woldmur, Bogdan Knop i Barbara Strzelbicka, foto Artur Gielezy

PROMOCJA KSIĄŻKI UKRAIŃSKIEGO PISARZA Wołodymyra Jaworskiego-Woldmura *Półsenne kartki z Diamentowego Cesarstwa i Królestwa Ziemi Północnej. Epopeja* w przekładzie Bohdana Zadury, wydanej przez Towarzystwo Galeria Literacka, odbyła się 6 kwietnia b.r., a więc dwa tygodnie po ataku Rosji na Ukrainę. Autor od kilku dni jako uchodźca był w Polsce – stąd symboliczny wymiar spotkania, w którym uczestniczył także Bohdan Zadura, tłumacz książki.

Spotkanie miało odpowiednią oprawę dzięki wsparciu Urzędu Miasta, reprezentowanego przez Naczelnika Wydziału Kultury Aleksandra Wiernego. W gościnnych progach Sali Reprezentacyjnej Ratusza przywitała przybyłych Katarzyna Ozimek, dyrektor Muzeum Częstochowskiego, a na widowni było wielu distinguished gości, w tym także pisarz i tłumacz Wojciech Pestka.

Przybył także Tomasz Sętowski, którego prace stanowią oprawę graficzną promowanej książki oraz Małgorzata Winiarek-Karpowicz, prezes fundacji Złota Gwiazda, patronującej wydaniu.

Rozmowę z gośćmi prowadzili Bogdan Knop, pomysłodawca i realizator wydania oraz odpowiedzialna za redakcję i korektę epopei Barbara Strzelbicka. Rozmowy z W. Jaworskim nie trzeba było tłumaczyć – pytania rozumiał, a odpowiadać starał się po polsku, co mu wychodziło bardzo dobrze. Wyznał, iż stara się nauczyć języka polskiego...

Książka jest obszerna, a pisana i tłumaczona była przez 25 lat. Jej integralną częścią są wiersze i tzw. „przekazy”, stylizowane na autentyczne dzieła bohaterów epopei. O perturbacjach związanych z przekładem i kolejnymi podejściami do wydania książki w Polsce pisze Bohdan Zadura we wstępie.

W rozmowie z autorem i tłumaczem poruszono wiele tematów, w tym zwłaszcza ten najbardziej aktualny. Trwająca w Ukrainie wojna zmieniła wymowę książki, uwypuklając niektóre wątki. Wprawdzie to „czysty postmodernizm”, co podkreślił we wstępie do książki Bohdan Zadura, a zatem dzieło nie imituje rzeczywistości, jednak nie ulega kwestii, iż jest skonstruowane z jej elementów. Wojna między Cesarstwem i Królestwem trwa – a jest już ósme tysiąclecie i wg W. Jaworskiego ta permanentna wojna jest stanem charakterystycznym dla rodzaju ludzkiego, mającego w sobie gen destrukcji, który wyzwala się w sprzyjających okolicznościach, gdy nie jest kontrolowany.

Radio Lublin zrealizowało na podstawie fragmentów książki słuchowisko zatytułowane tak, jak rozdział 39: *Nie można ani na chwilę zapomnieć o niebezpieczeństwie* – co brzmi jak przestroga. Inny wymowny cytat pojawia się, gdy wszystkie działania strategiczne tracą sens i dochodzi do sytuacji granicznej, gdy „każdy wiedział tylko jedno – że trzeba wysledzić i zniszczyć wroga”. Nazwy wysp, na których mają miejsce działania, są jak charakterystyka wojny: Dzika i Zła. W. Jaworski przyznał, iż nie jest zaskoczony tym, że trwająca w jego Ojczyźnie wojna jest aż tak okrutna – spodziewał się tego, obserwując trwające działania wojenne, w tym te na wschodzie Ukrainy.

Świat przedstawiony w epopei nie napawa optymizmem. Można go pokrótce scharakteryzować za pomocą kilku cech. Czytelny jest kryzys wartości oświeceniowych, rozumu, wiedzy – król Rafanał ceni „wiedzę”, więc jest teozofem i astrologiem; podobne nastawienie cechuje innych bohaterów. Panujący system to monarchia – z wyraźnymi cechami tyranii, gdy najczęściej do powiedzenia mają tajne służby. Władcy są okrutni, zepsuci, kapryśni, kobiety to albo neurotyczne poetessy, albo nałożnice, zaś jedynymi sprawiedliwymi są filozofowie, poeci, dziwacy i odludki. W tym świecie nie ma także postępu technicznego. Widząc rzeczywistość ostro, pisarz przyznał, że jest moralistą i zauważa te cechy w realnej rzeczywistości. Z drugiej strony zaś wojna w Ukrainie pokazała, na jak wielkie bohaterstwo stać ludzi – taka jest natura człowieka, pełna sprzeczności.

Książkę cechuje nieokiełznana wyobraźnia, w tym także słowotwórcza, przejawiająca się w imionach bohaterów, nazwach miejsc, przedmiotów. Zwraca także uwagę znajomość świata przyrody, a zwłaszcza roślin, do czego inspiracją jest otaczający świat. Nie brak w niej także poczucia humoru, o czym świadczą choćby fragmenty drukowane w „Galerii” 59.

Język książki jest wyrafinowany, zawiera misterne konstrukcje składniowe i niezwykle bogate słownictwo, co zapewne stanowiło utrudnienie, ale także wyzwanie dla tłumacza. Do oryginału dołączony jest obszerny słownik, o którym Bohdan Zadura mówi, że zawiera wiele słów polskich. W. Jaworski zgadza się ze stwierdzeniem wygłoszonym w jednym z wywiadów przez Wiesława Myślińskiego, że „Język jest prawdziwym cudem”.

Termin spotkania zbiegł się z terminem ogłoszenia listy książek zgłoszonych do Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus”. Zważywszy na to, że na sali było trzech pisarzy, których dzieła znalazły się na tej liście, postanowiono o tym wspomnieć. I tak: Bohdan Zadura występuje na liście jako tłumacz trzykrotnie (przypomnijmy, iż został laureatem „Angelusa” w 2021 r.), Wojciech Pestka, również jako tłumacz, oraz Aleksander Wierny – jako autor powieści *Słabnące światło sierpniowego słońca*. Licząc pobieżnie, mamy 5% szans, że ktoś z obecnych na spotkaniu otrzyma nagrodę.

Fragmety książki przeczytała Olga Wiewióra, był także akcent muzyczny w wykonaniu adeptki szkoły muzycznej. Po zakończeniu części oficjalnej był czas na autografy oraz na indywidualne rozmowy z pisarzem, tłumaczem, wydawcą i redaktorką książki.

Po spotkaniu Wołodmyr Jaworski przez kilka tygodni przebywał w Częstochowie, potem wyjechał do Włoch, gdzie nie znalazł dla siebie odpowiedniego klimatu, więc wrócił do Polski, a pod koniec czerwca wyjechał do Ukrainy. Wszędzie dobrze, ale...



Wołodmyr Jaworski-Woldmur, *Półsenne kartki z Diamentowego Cesarstwa i Królestwa Ziemi Północnej. Epepeja*, przekład i wstęp Bohdan Zadura, red. Barbara Strzelbicka, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2021, wydano w serii „Biblioteka Galerii”.

Barbara Strzelbicka

DYSKUSJE, KINO I PRZYJAŹŃ. JUBILEUSZ DKF „RUMCAJS”

JUBILEUSZ 65-LECIA Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Rumcajs” przypadł na rok 2020, jednak jego obchody z powodu pandemii koronawirusa mogły się odbyć dopiero w dniach 16-30 maja 2022 r.

DKF powstał w Częstochowie jako wyraz buntu wobec siermiężnej kultury filmowej, jaka była domeną tzw. realnego socjalizmu, gdy obowiązywała zasada, „że w każdym filmie musi być pociąg i harmoszka”. Inicjatorem powołania Klubu był Emil Garczyński, student Wyższej Szkoły Ekonomicznej i korespondent legendarnego tygodnika „Po Prostu”. Oficjalnie DKF został powołany na wniosek Rad Uczelnianych Związku Studentów Polskich dwóch częstochowskich uczelni, bo do wymienionej wyżej dołączyła Politechnika Częstochowska. Pełna nazwa Klubu była wówczas zgodna z duchem epoki: DKF Studentów i Inteligencji Pracującej.

Pierwsza projekcja filmowa odbyła się w niedzielę 11 grudnia 1955 r. w Kinie „Wolność” i był to „Dyktator” w reżyserii Charliego Chaplina. Klub liczył wówczas 266 członków. Nie obyło się bez kłopotów na starcie, bowiem Klub nie dysponował salą kinową, a zarządzający kinami, obawiając się konkurencji, pozwalali korzystać z sali kinowej dopiero po godzinie 22. W tej sytuacji DKF zapowiedział, że przeniesie się na Jasną Górę, gdzie zaproponowano mu pomieszczenie na 2 tys. osób – i to wystarczyło za argument, by oddano Klubowi do dyspozycji Kino „Bałtyk”, gdzie projekcje odbywały się przez 18 lat. W 1973 r. DKF-owi udostępniona została odpowiednio wyposażona sala Klubu „Politechnik”, w tym też roku zmieniono nazwę na taką, którą wyłoniono w plebiscycie – DKF „Rumcjas”, powołano także do życia sekcję dziecięcą, ochrzczoną imieniem „Cypisek”. W latach 2006-2008, decyzją władz Politechniki, działalność Klubu została zawieszona; wznowiła ją w 2009 r. rektor prof. Maria Nowicka-Skowron. Częstochowski DKF szczyci się tym, że powstał jako drugi w Polsce – po warszawskim.

Działalność Klubu nie ograniczała się jedynie do wyświetlania filmów, zdobywanych zresztą na różne sposoby, często bowiem były to dzieła zakazane, tzw. „półkowniki”, wypożyczane z ambasad i innych instytucji. Po projekcjach odbywały się spotkania z ludźmi kina, a więc z reżyserami, aktorami i znawcami przedmiotu, były wykłady, seminaria, prelekcje, a przede wszystkim – dyskusje.

Kolejnych prezesów DKF-u i inne ważne osoby wymienia internetowa „Encyklopedia Częstochowy” (www.encyklopedia.czestochowa.pl/hasla/dyskusyjny-klub-filmowy-rumcjas):

Kolejnymi prezesami DKF-u byli: Emil Garczyński, Ryszard Ukłański, Zdzisław Sroczyński, Zygmunt Chmielarz, Włodzimierz Konarski (dwukrotnie), Jacek Tomczyk, Tomasz Gawlikowski, Małgorzata Majer, Tadeusz Piersiak. Ważną rolę odgrywali ponadto ludzie związani z „Rumcjasem”, przede wszystkim wieloletni



wiceprezes Janusz Kołodziejski, a także członkowie Rady Klubu, pracownicy naukowcy, fotograficy, kinooperatorzy i wielu miłośników sztuki filmowej (m.in. Barbara Skórkowska, Barbara Wąsalska, Marek Duda, Kazimierz Maciejowski, Adam Sułkowski, Stanisław Siwczyński, bracia Andrzej i Marian Sztajnerowie, Czesław Walotek).

DKF „Rumcajs” był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany, otrzymał: Nagrodę Polskiej Federacji DKF im. Antoniego Bohdziewicza (1977, 1981), Medal 10-lecia Polskiej Federacji DKF (1966), Dyplom Honorowy Ministra Kultury i Sztuki za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury filmowej (1978), nagrodę miesięcznika „Kino” (1979).

Obchody jubileuszu uczczono wystawą dokumentującą działalność Klubu oraz projekcjami filmów i spotkaniami z reżyserami: Dariuszem Gajewskim, Jackiem Gwizdałą i Bożeną Garus-Hockubą. Szczególnie interesujący był pokaz filmu „Klecha” – nie tylko dlatego, że oprócz reżysera uczestniczył w nim scenarzysta Wojciech Pestka, ale także z powodu aury skandalu, towarzyszącej problemom z przyjęciem filmu do dystrybucji.

Wieńcząca obchody gala, uświetniona obecnością J.M. Rektora Politechniki Częstochowskiej prof. Norberta Szczygiola, patrona jubileuszu, i wielu przedstawicieli władz częstochowskich uczelni, miasta i województwa, rozpoczęła się projekcją filmu dokumentalnego, zrealizowanego wg scenariusza Tadeusza Piersiaka przez Kas Film, opowiadającego o historii DKF-u na tle dziejów Częstochowy i kraju. Na film składały się zapisy dokumentalne oraz wypowiedzi ludzi związanych z DKF-em (tu m.in.: Janusz Mielczarek, Jacek Tomczyk, Grażyna i Tadeusz Orgielewscy, Małgorzata Majer) oraz ludzie kina, którzy kiedyś byli gośćmi częstochowskiego DKF-u: Krzysztof Zanussi, Agnieszka Holland, Daniel Olbrychski, Paweł Woldan, Dariusz Gajewski.

W części oficjalnej DKF „Rumcjas” oraz działacz DKF i były prezes Jacek Tomczyk, właściciel Studia Filmowego Kas Film Krzysztof Kasprzak i kierownik Akademickiego Centrum Kultury „Politechnik” Zbigniew Miszczyk zostali odznaczeni Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Województwa Śląskiego”. Urząd Miasta Częstochowy obdarował Klub pamiątkowym grawertonem.

Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych uhonorowała Klub częstochowski, jego prezesa Tadeusza Piersiaka i Marka Dudę, od 43 lat biletera, listami gratulacyjnymi. Przybyły na galę przewodniczący Federacji Grzegorz Pieńkowski jako zaangażowany w działalność DKF-ów od 1971 r., podzielił się swoimi wspomnieniami i anegdotami, podobnie jak inni goście. W opowieściach pojawiły się postacie nieżyjących działaczy Klubu – Henryka Koźmińskiego, wieloletniego dyrektora administracyjnego Politechniki Częstochowskiej i jednego z pierwszych członków Klubu oraz Janusza Kołodziejskiego, wiceprezesa i kronikarza, zapamiętanego m.in. z sentencji, że „Klub składa się przede wszystkim z przyjaźni”. Honory domu czynił Tadeusz Piersiak, prezes DKF „Rumcajs”.

Spotkanie, a tym samym obchody jubileuszu zakończyła projekcja filmu „Dyktator”, tego samego, którym DKF rozpoczął swoją działalność. Niestety, okazało się, że film nie stracił na aktualności.

Jubilatowi, który wg Tadeusza Piersiaka jest już pełnoprawnym emerytem, gratulujemy i życzymy wielu jeszcze interesujących spotkań filmowych!

Zdzisław Opałko**PROSZĘ CIĘ CZŁOWIEKU**

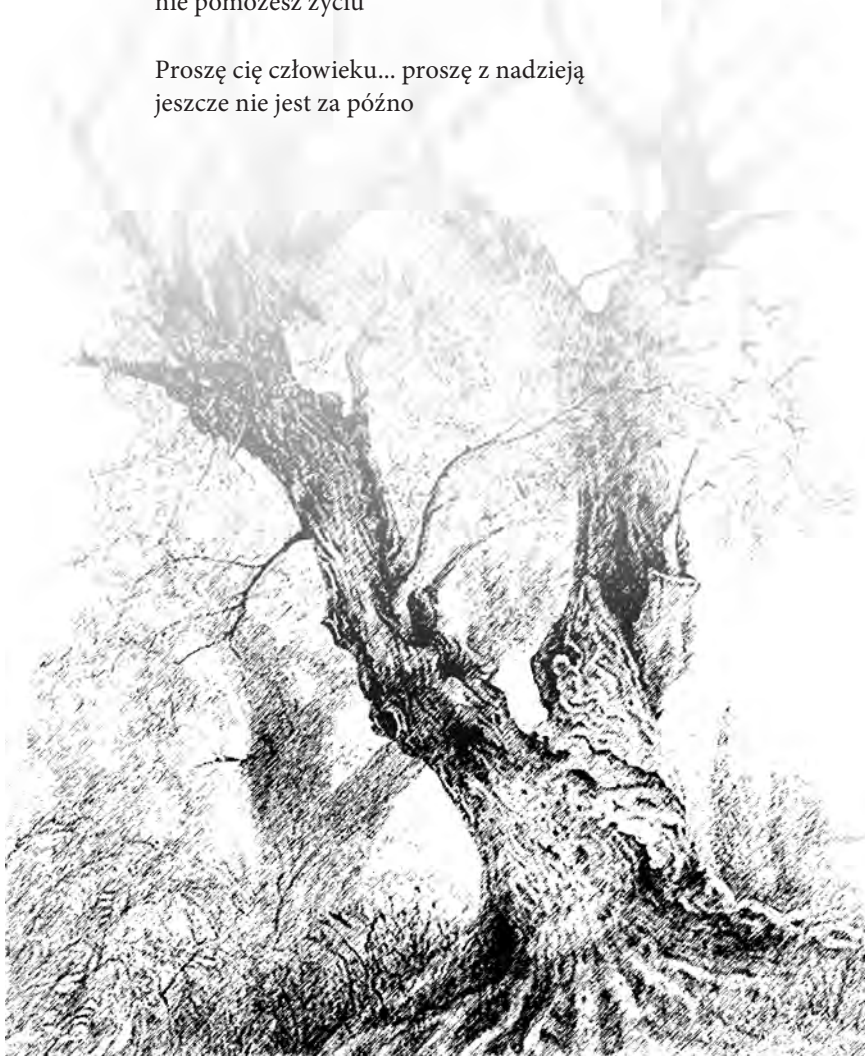
Proszę cię człowieku wysłuchaj mojej prośby
małej nieśmiałej bo nie mam w tym wprawy
uciesz się widokiem niekoszonej trawy
tej która ci rośnie obok domu przejścia ławki
zobacz jak szczodra ręka natury zmienia jej skrawki
w życiodajną wielobarwną łąkę pełną ziół i nasion
zrób im miejsce obok siebie obok swego mienia
otwieraj na nią oczy młodego pokolenia
naucz rozpoznawać pośród barw zapachów
głoś mocą wiedzy że gdy coraz częściej
życie z braku tlenu dusi się i miota
każdy liść źdźbło trawy cenniejsze od złota
nie redukuj swoich umiejętności do obsługi kosiarki
zbryzganej krwią pasikoników

Proszę cię człowieku w dystansie z rozsądku
zachwyć się widokiem owadów – wszystkich bez wyjątku
latających skaczących i pełzających każdy z nich
to arcydzieło natury nie bój się go pomyśl z pokorą
o cudzie metamorfozy jaką przechodzą każdy swoją porą
by życie mogło zwyciężać śmierć
nie masz pojęcia jakie rzeczy dzieją się z ich udziałem
uszanuj ten dar ochraniaj z zapalem
są częścią tajemnicy istnienia odwiecznej równowagi
nie psuj tego nie rozbijaj
nie ingeruj bezmyślnie w ład który ci sprzyja

Proszę cię człowieku – głosem serca i w jego imieniu
uciesz się widokiem zwierząt
małych i dużych współbraci w istnieniu
naucz się żyć obok nich przyjazny niesłyszalny
w lesie na łące które są dla nich strawą i domem
bądź gałązką oliwną nie gromem
nie myśl tylko o sobie bez perspektywy w przyszłość
w swoim ogrodzie zachowaj stary pień stertę gałązek i liści
zrób małe przejście w ogrodzeniu ciepłe wyzwól myśli
nie licz zysków i strat z ich obecności – zostało tak niewiele
bądź dobry nie tylko w niedzielę
już tyle lat przykładasz rękę do ich zagłady cierpienia
otrząśnij się z letargu tego zniewolenia
w który wpędziłeś się przez zachłanny
bezlitosny konsumpcjonizm

Proszę cię człowieku – ten dom już się pali
 uświadom sobie i uznaj prawdę która cię ocali
 nie jesteś panem ani władcą nikogo
 żadnego z przejawów potęgi natury
 nie zostałeś do niej wstawiony ani wywyższony nad
 nie tylko dla ciebie kręci się ten świat
 porzuć tę szkodliwą i okrutną w konsekwencji fantazję
 styl konkwistadora który w martwy odpad zmienia
 ziemię wodę i wszelkie istnienia
 natura trwała i może trwać bez ciebie
 ty bez niej nie zrobisz kroku nie zrozumiesz siebie
 jesteś jej immanentną cząstką drobiną
 bytem współistniejącym i współzależnym
 ona cię wyłoniła karmi i utrzymuje w tym byciu
 bez niej nie będziesz człowiekiem
 nie pomożesz życiu

Proszę cię człowieku... proszę z nadzieją
 jeszcze nie jest za późno



Małgorzata Franc

W OSTATNIEJ CHWILI – TRYPTYK WOJENNY

W pogodny dzień

W pogodny dzień
tuż za płotem
niewinne dziecię
cichutko kwili
słońce dotknęło
już stokrotek i tylko
czasu kołowrotek
cicho odmierza
zwiastowanie.

Może się dzisiaj
nic nie stanie
jest przecież dom
ogród i kwiaty
obrazek święty
niebogaty i zdjęcia
stoją jakby od święta
choć imion wszystkich
nikt nie spamięta.

W pogodny dzień
tuż za płotem
poważne toczą się
rozmowy i szepty
niosą nową przestrogę
że niebezpiecznie
i czas już w drogę
trzeba zostawić tych
co byli w ostatniej chwili.

W pamięci...

Nie usłyszą dzwonów
zmartwychwstania
pochowani w przydrożnej
mogile kiedy duszę
huk pocisków zniewala
szepty modlitw powoli
oddala nie usłyszą dzwonów
zmartwychwstania.
Pozostaną jedynie
w pamięci...

Pieśni hymnów
żałobnych nie dla Nich
kiedy świat się
przewraca i kręci
chmury podmuch
wybuchów przegania
pieśni hymnów
żałobnych nie dla Nich.
Pozostaną jedynie
w pamięci...

Smutne krzyże
stoją przy drodze
Oni śpią tu lecz tylko
na chwilę Matka twarz
chusteczką osłania Ojciec
z bólu zaciska pięści
nie usłyszą dzwonów
zmartwychwstania.
Pozostaną jedynie
w pamięci...

Ta trzecia

Ta trzecia
już się rozpoczęła
krwawe ramiona
rozpostarła
niweczy niszczy
depcze wszystko
z wściekłością
rzuca się do gardła.

Za nic
ma łzy i jęk
rozpaczy bezwładnie
opuszczone ręce
tam płacz i krzyk
już nic nie znaczy
kiedy się strzela
prosto w serce.

Uderza szybko
z całą siłą
tak jakby Anioł Śmierci
leciał z mrocznym
napisem „Wszystko było”
lecz to nie On nam
z nieba zleciał tylko
ta trzecia.

11.06.2022 r.



Janusz Strojec

STYGMATY XIV-XX

XIV. Ten wiersz
jest jak poezja zagrywek
zmienia prawa grawitacji
lotka szybuje
jak ptak do wolności
nieokiełznany erotyzm
ekspłoduje
nad stawem z dzikimi kaczkami
boję się
świadomości i podświadomości
czytam Thomasa Stearnsa Eliota
odwracam wzrok od zagadkowej polifonii
świętych członków i ramion piekła
oddaję się lekturom rozmyślań
w poezji zagrywek

XV. Ten wiersz
jest jak widzenie
roziągniętego nad sobą Serafina
wiszącego na Krzyżu
mającego sześć skrzydeł za ręce
i nogi przypięte do krzyża
doznaję wielkiego bólu
w rękach nogach i boku
te miejsca krwawią
dotykam stygmatów

XVI. Ten wiersz
jest jak pieprzenie słowa
w bólu rodzą się wiersze
spałem całą noc
widziałem
jak przechodzę z życia
do innego miasta
na przedmieściach wędruję
od jednej śmierci
do drugiej
a moja dusza
nieobecna na otwartej przestrzeni
szuka ukrycia
przed innym ja

XVII. Ten wiersz
jest jak cuda natury
wejście do ogrodu
gdzie błękit siada na szarości
a zieloność gubi się w zieloności
i brodzi jak neurastenia
do żywego przenikając w komórki
wyglądam przez okno
gdy wschodzi księżyc
i słucha oddechu wiatru
i chmur co jak bałwany
drapieżnie zapraszają deszcz
tańczący widnokreżne iluminacje
chciałbym być
jak brzeg morza
oparty o horyzont marzenia

XVIII. Ten wiersz
 jest jak nerwoasocjacja
 próbuję popełnić samobójstwo
 trochę mnie to irytuje
 biję się z myślami
 odrzucam iluminacje
 nawracam się na katolicyzm
 byłych eks-wyznawców
 zawisłem na linie
 zaciągam kolejne sploty
 cierpienia
 uwodzę rozedrgane ciało

XIX. Ten wiersz
 jest jak namaszczenie
 ziemia kropi
 przedświt owocu
 na rosie siada
 tęcza nieskromnie
 a księżyc opiera się o górę
 by wybrzmieć dzwonem duszy
 deszcz to przedświt
 nowej frazy
 oplata pajęczyną
 pożółkłą starość

XX. Ten wiersz
 jest jak stygmat
 że nosisz rany
 na czole dłoniach i boku
 a siedmiu aniołów
 mających siedem trąb
 zawróciło gorzkie wody
 piołun pomieszał się z gwiazdą
 a wody stanęły meteorytem
 i znajdę na ciebie sposób
 oto moje ciało żywe
 pulsujące krwią
 broczy
 chciałbym się wypowiedzieć szczerze
 a serce mam puste
 chciałbym poukładać zmysły
 co przynoszą kwiaty
 ale cały jestem z ran
 chciałbym
 chciałbym
 by świat był znowu pastelowy

Janusz Jano Mielczarek

TRYPTYK Z OBJAZDOWEGO KINA

Słów staroświeckich kilkoro

Tacyśmy pogubieni w czasie
i szczęśliwi jak nie z dzisiaj

Staroświeckie nas prowadzą radary
bo żadne nie potrafią tego lepiej

Na łodzi naszej znowu maj
wciągnął żagle bzów
i nikt nie zawadza w miłości

8 maja 2020 r.

Czekając twoich krajobrazów

Joli

Zaprośmy się do szczęścia, kochanie,
zaprośmy.
Zaprośmy jak do tańca cichego,
jak w gości.
Choć mówią, że go nie ma, to kłamią,
bo przecież kłamią z zazdrości.

Potem udajmy się
na gwiazd czerwcowych dojrzwowanie,
na muszli złotych kruche loty,
na ten kawałek ziemi nam szczęśliwy
i najdłuższego dnia roku wiotki gotyk.

I na seans w objazdowym kinie
koniecznie;
na film pana Felliniego
z widzami aż dwoma!
I na naukę pisania listów miłosnych
zielonym atramentem po złotówce strona...

I wtedy dopiero stańmy
w kolejce do szczęścia zawilej,
jakbyśmy nie znali za grosz
rachunków, życia ni logiki.
I byli stworami, które się zgubiły,
z innej planety, ulicy bądź galaktyki.

16 czerwca 2022 r.

Być

Być z tobą w ciszy
błogosławionej rosą
o świcie

Być w słowach
łowionych cierpliwie,
i składanych pod strażą
w aresztach szuflady

I być
gdy w orzechowej przestrzeni dłoni
pulsuje księstwo
Dobrego Czasu
a wszyscy wokół biegają
poirytowani graniem
źle napisanych ról

5 maja 2022 r.

Mira Kieniewicz-Kopcińska

TY

ŚWIT

Jutro pochyliło się nad swoją
Beznadziejnością
Spadaj strachu
Zaledwie cię toleruję
Świt wyostrzył zarys
Domów i gałęzi drzew
Koty przemykające pod
Stojącymi samochodami
Wydały pomruk głodu
Nadzieja zawisła
Na gołej brzozie szepcząc
Witaj smutku

Potrzebuję twoich ramion
Jak kół ratunkowych
Ocean życia wciąga mnie
Do połowy
Druga połowa czuwa na bezdrożach
Chmury rozprawiają z wiatrem
O barwach przestrzeni
Archaniołowie stąpają
Po promieniach słońca
Opiekunowie siedzą na obłokach
Upadłe Anioły na wrzosowiskach
Szukają schronienia

TY

Brakuje mi twojego głosu
Twojej dłoni w mojej
Nad ranem
Rozmów o teatrze i głupstwach
Uśmiechów kłótni awantur
Spacerów w śniegu kwiatach
W jesiennych liściach w deszczu
W słońcu we mgle
Twojego zapachu na poduszce
Zapamiętałam go
Brakuje mi ciebie

MARZENIA

Córy wiatru uniosły moje marzenia
Zbyt wysoko
Zimne gwiazdy zamroziły je
W swoich ramionach
Już nie wrócą do mnie
Uśpione hibernacyjnie
Czekają na cud
Nie czują bólu
Lata świetlne dzielą
Mnie od nich
Nie powrócą
Odeszły na zawsze

Poezja drzemie we mnie
na dnie jak embrion
Kołysze się z boku na bok
Małe radości wypychają
Ją na zewnątrz
Dużych nie ma
Resztki marzeń i snów
Zwijają się w kłębuszki
Ocierają się o siebie
Nie widzą się nawzajem
Czas ucieka

PRZEBUDZENIE

Przebudzam się po nic
Nikt nie czeka
Brak terminów
Ból egzystencjalny
Brak twojej ręki i oddechu
Ból fizyczny
Czasem słońce za oknami
Może się wyprostuję wstając
Na szczęście lub nieszczęście
Nikt się nie pęta
Radio mówi „dwójka na piątkę”
Gra czasem sentymentalnie
Myśli z głowy uciekają jak motyle

LISTOPAD

Na szkieletach drzew
Drżą ostatnie liście
Hortensje poczerniały
Resztki barw wołają o pomoc
Białe róże wciąż kwitną
Lubią chłód i wilgotną przestrzeń
Zadumany anioł przysnął
Za dwa dni uniesie się w górę
Grudzień stoi po tamtej stronie
Za chwilę tu będzie
Zmęczyłem się
Pomyślał Listopad
Przesuwając się w prawo

CZAS

W odstępach czasu
Coraz więcej pustych miejsc
Mierzeje umysłu
Bezsilność osacza
Spacery niebudujące męczą
Wirusy nie chcą odejść
Trudno poczekam

Mam coraz mniej czasu
Żeby czekać na nic
Lub na rozmowy prozaiczne
Ludzi szarych nijakich
Teatry bez aktorów
Muzykę z zastępczych dźwięków
Obrazy bez barw i myśli
Tęcza pojawia się rzadko

PÓŹNO

Czy to już tak późno
Wydaje się że wyszedłeś
Po papierosy
Może jesteś w pokoju obok
Albo na balkonie
To tylko pustka kłamie
Zegar wybija godziny
Lata biegną
Nikt ich nie pogania
Minuty brzęczą jak owady
A czas uśmiecha się dziwnie
I milczy...

PRZYCHODZISZ DO MNIE...

Przychodzisz do mnie w snach
Często nie widzę twojej twarzy
Dajesz znaki które odczytuję
Klepsydra czasu pękła
Sam tak wybrałeś
Mglisto-kolorowy pył
Rozsypał się przed upływem czasu
Błądzisz w srebrnych mgławicach
Szukasz „Małego Księcia”
Chcesz opowiedzieć mu bajkę o życiu
Które odrzuciłeś

SEN

Śnił mi się sen niezwykle
Kolory powiewnie zwiślały
Turkusy fiolety przykurzone róże
Zakrywały jakąś tajemniczą przestrzeń
To nie była brama ani tęcza
Wiatr powiewał nimi jak firanką
Przebijała jasność świetlista
Mój oddech ją pochłaniał
Przebudziłam się
To dziwne

KOLEJNY SEN

...staliśmy na granicy światów
Nadzy w jasnej przestrzeni
Na przejściu innych wymiarów
Trzymaliśmy się w ramionach
Cofaliśmy się od siebie
Trzymałam w rękach twoją głowę
Nie widziałam twojej twarzy
Muzyka Jana Sebastiana
Brzmiała słodko z oddali
Mówiłam Kocham cię
Zapytałeś co mówiłaś?
Powtórzyłam czując ogromną miłość
W sobie jednocześnie cofając się
Moja ręka przesuwała się
Po niewidocznej ścianie
Wracałam do swojego świata
Otworzyłam oczy za oknem
Świeciło słońce z radia płynęła
Bachowska Suita D-dur



Mira Kieniewicz-Kopcińska – aktorka, wokalistka, kompozytorka, poetka, prozaik, pedagog. Absolwentka Akademii Muzycznej w Poznaniu na wydziale Wokalno-Aktorskim. Debiutowała tomikiem poezji wydanym przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki w 2015 r., w „Galerii” debiutowała wyborem wierszy w 2016 r. Jej teksty znalazły się w antologii „antywalentynkowej” *Kochaj albo...* (2017) oraz w internetowej gazecie „wobec”. Jest założycielką Kabaretu Literackiego „Lata 20., lata 30.” oraz inicjatorką programów słowno-muzycznych w Galerii Punkt przy GTPS.

Anna Jędryka

JAK MOŻNA

JAK MOŻNA

Jak można myśleć o miłości, gdy wokół wojna trwa?
Jak można patrzeć sobie w oczy, gdy z oczu płynie łza?

Jak można myśleć o kochaniu, gdy słychać syren dźwięk
i trzeba szybko biec do schronu, i zewsząd głuchy jęk?

Jak można myśleć o kochaniu, gdy w ogniu stanął dom
i ogień trawi wszystko wokół, a w domu ludzie są?

Jak można myśleć o miłości, gdy nagle pada strzał
i giną wciąż niewinni ludzie? Kto taki rozkaz dał?

Jak można myśleć o kochaniu, gdy niebo jest bez gwiazd
i nieustannie biją gromy, rzucając krwawy blask?

Jak można myśleć o kochaniu, gdy wokół tyle krwi,
a ktoś bezpiecznie w swej pieczarze ze świata sobie drwi?

Jak można myśleć o kochaniu, gdy dzieci z zimna drżą
i z domu muszą gdzieś uciekać, choć się przytulić chcą?

Jak można myśleć o kochaniu, gdy się zawalił świat,
gdy każdy dzień jest tym ostatnim? Kalendarz nie zna dat.

Jak wskrzesić radość i nadzieję, gdy człowiek czyni zło
i świat nie może go powstrzymać? Czy ktoś rozumie to?

06.03.2022 r.

SMUTNA CISZA

Pogrążona w smutku cisza
Krąży echem pośród drzew,
Czasem żal ją ukołysze,
Czasem ptaków cichy śpiew.

Leśny wiatr ją pieści co dnia,
Wywołując zimny sen,
Nocą gaśnie jak pochodnia,
By milczeniem wrócić w dzień.

Coś znienacka przerwie ciszę –
Wiatru jęk, gałęzi trzask,
Lecz po chwili znów powraca –
Jak po nocy wstaje brzask.

Napełniona pustym lękiem,
Zagubiona w gęstej mgłę,
Przerażona każdym dźwiękiem,
Ciszą wciąż pozostać chce.

Więc połóżmy kres tej ciszy,
Co na wieki pragnie trwać
I nauczmy głuchą ciszę
Gwar i radość z wiosny brać!

10.02.2022 r.

ROZTAŃCZYMY SIĘ NA WIOSNĘ

Roztańczymy się na wiosnę niczym łany zbóż,
zapomnimy o złej zimie, co odeszła już.

Przegonimy czarne chmury, co po niebie mkną,
odnajdziemy w naszych sercach swój rodzinny dom.

Pozbieramy wszystkie kwiaty z kolorowych pól,
utopimy wszelkie smutki, co sprawiały ból.

Zapełnimy ciemne noce niebem pełnym gwiazd,
rozkazemy księżycowi, by roztaczał blask.

Wypędzimy stare lęki gdzieś daleko, hen,
by już nigdy nie wróciły – nawet jako sen.

Zamienimy grozę wojny na bezpieczny świat,
by historia nie musiała pisać krwawych dat.

Upleciemy wianki z marzeń, by spełniły się
i będziemy się radować nadchodzącym dniem.

26.02.2022 r.

WSPOMNIENIA

Te wspomnienia są mgliste jak poranki jesienne,
które budzą się późno, zbyt leniwe i senne,
baraszkują w obłokach, kryją się za chmurami,
aby w końcu otworzyć jasne niebo nad nami.

Te wspomnienia dalekie – wczoraj jeszcze tak żywe –
powracały niezmiennie, takie świeże, prawdziwe.
Dzisiaj pamięć zawodzi, ostrość wspomnień w niej ginie,
obraz bardziej wyblakły niż filmy w starym kinie.

Te wspomnienia odległe ciągle jeszcze się snują,
nicią babiego lata myśli w głowie związują.
Powracają znieścacka. Zacierane w pamięci,
usypiają na wieki jak rycerze zakłęci.

Te wspomnienia dziurawe jak podarta koszula,
co się suszy na wietrze, wiatr ją szarpie, z nią hula
i ją targa na strzępy, i ją płacze dokładnie –
powracają codziennie – coraz bardziej nieskładnie.

04.04.2022 r.

Alicja Nowak

62 WIERSZE (wybór)

los (36)

kreatywność rysuje własny los
 preferuje lidera
 wartość klucza logiki myślenia
 instrukcji wyedukowanego szlaku
 otwierania na sygnał przewiewu
 zaczerpnięcia głębokiego oddechu
 kategoryzuje styl – kreśli
 czasu mentalność skupia skłonność
 absolutu kreśli wzorce – jaskrawą
 różnorodność utrwalonego etapu
 wyczerpanej logiki mizdrzy spowitą
 rzeczywistość prozę
 zdegradowane struktury oszacować
 wartości obalić bariery porzucić
 łąchamy podnieść kurtynę
 pokazać pierdółki
 pokazać całość

emocjonalny bagaż (37)

udźwignąć stany depresyjne
 identyfikować niesprawdzalne teorie
 samobadanie terapie omawiać – możliwości
 odkryć trudności poruszania tekstu
 odkryć przeskok nieśmiałych wytycznych
 strumień myśli zanotować
 przekaz wysprzątać uporać pozycje bierne
 wyzwolić dostęp myśli
 poznać cel sygnały poziom splotu
 błędy ujawnić niedomagania
 istnienie grzęzawiska uwypuklić
 odzyskać rozwiązanie wsparcie
 afirmację osiągnąć prawdę
 wdrożyć czystość respektować
 powołanie prezentować godnie
 profesjonalizm
 świętować apogeum

stan (39)

wewnętrzna pustka – zasłona
 niemoc zakleszczona separacja
 kryzys dyskomfort
 słabość motywacji więdnie proces
 niewystarczająca forma zawodzi
 cel inicjować telepatyczny zamysł
 skarbiec świadomości twórczej
 motywację umocnić
 zbawienny akt ton sens
 kluczowy nurt zaintrygować
 uwolnić traumę dar moc powodzenie
 aprobować uczucie
 kształt smak
 relacje chronić
 bezwarunkową miłość
 otoczyć blaskiem

nosiciel smaku (60)

zagmatwany bezkres życia
lista nieszczęść
czas zapisany czarnymi cyframi zgrozy
rosną w siłę splecione węże
są jak głęboki tunel bez światła
koszmar wypala wyobraźnię
nadzieja zwątpiła
cios kształtuje kryzys poziomu bytu
rezygnacji relacji gorącego czasu
niełaski
rozregulowana dusza błądzi
trzeba czasu żeby gorące ostygło
zabukowany wstęp u grabarza
gwarantuje przebudzenie w niebie

o życiu na krawędzi decyzji (62)

zanurzyć się w światło nadziei
celebrować poziom własnego kierunku
wymiaru ram ułaskawić nieobliczalność
ciasnotę napięcia
nieprzystające elementy zabawy
wyliminować
lansować przezroczysty charakter
lekkość ruchu bezpieczeństwa sensu
uwięzionego natchnienia
motywacji nurtu
skulone wyobcowanie wspierać
twórczą pętlę rozsypać
postawić na swoim na hit

Jacek Gierasiński

WIERSZE ZE SKRZYNKI

Zrozumieć

zrozumieć swój umysł
ostudzić emocje
uwidocznić pokorę
i należny jej czas
na stole położyć
kawałek siebie i
zdmuchnąć chwile
wplątane w dyskomfort

oszukać z premedytacją
zgubne wspomnienia
dosięgnąć zrozumienie
całkiem spokojnie
przytomnie zasnąć
i obudzić się
w lepszym
nie wiem

Taki kraj

ci od hełmów
od niesprawnej pomocy
zardzewiałych rakiet
dumni swoim bogactwem
karmionym oszustwem
brakiem empatii
których doświadczył
kraj nasz przed laty
mają śmiałość
zwać się
cywilizowanym światem
samolubne matole

w ciszy jest
odpowiedzialność
słyszę ją na wskroś
opierając się
na jej ramieniu
krzyczę posłusznie
jej otwarte usta
w środku nocy
kiedy gwiazdy milczą
na kartce papieru
wiersz wyciszam
kawałkiem metafory

pejzaż
ubrany w zwiewną sukienkę
pachnie zapatrzaniem
oddycha
trudno oderwać oczy
powrócić do codzienności

on zachwyca że strach swawoli
że można go utracić
zobaczyć już nigdy nie
łzę tęsknoty
w pomruku dni szarych
w niezdarnych
rymach tygodnia

Ukraina

nastała cisza w mieście
na gruzowisku
krew łą karmiona
w pobliskim sklepie rosjanie
kradną wszystko
w bramie nastoletnia
przez nich
gwałcona
czas zamknie klamkę
wiatr łą wysuszy
tylko uśmiech nie przyklei się
do twarzy

szary ból
tak szary jak wczoraj
i spodziewane jutro
zakotwiczony w głowie
rozpycha się chamsko
wychodząc na pozycję lidera
oprawca bezlitosny
wkalkulowany w codzienność
bezpardonowy
siwy
dorosły

Wiesława Ovczarek TRZY WIERSZE

WRAŻLIWYM

To dla was
zarys wzgórz na horyzoncie
w porannej mgle
i dla was
zakwitają wszystkimi barwami
ogrody i leśne polany
rzewna nuta skrzypiec tylko dla was
śpiewa głosem aniołów

wy
wpatrzeni w lot ważki
wirujący płatek śniegu
zdumieni drugim człowiekiem
modlący się w katedrach lasów
bezradni przy bankowym okienku

wrażliwi jak napięte struny harfy
byle podmuch
strąca was w przepaść

nie zliczę waszych lez

miłość jest dla was cudem i świętem
niezasłużoną nagrodą

jeszcze tylko wy
uważni w gestach i słowach
zawsze z rumieńcem wstydu
za całe zło świata
z wiecznym „przepraszam” na ustach
wdeptani w ziemię przez barbarzyńców

wy
tylko wy trzymacie w dłoniach
sens tego świata

ODTRĄCONYM

Tak od razu
nie umieraj

ja wiem jak to jest
być odtrąconym przez stado
cały Wszechświat mówi ci
– giń

ty się nie poddawaj
idź swoją drogą
inną niż ścieżka stada
być może sądzony ci odmienny los

pamiętaj, że tylko orły
szybują samotnie
zbyteczny ci jazgot wron
aby żyć
lecz szanuj przyjaciół

gdzieś przy twojej drodze
jest przyjazny zajazd
światelko lampki
płonącej w noc

nie umieraj
tak od razu
kiedy porzuci cię on/ona
bo kłamstwo było chlebem
człowieka, który stał się
twoim światem

idź przed siebie
jakby jej/jego nigdy nie było
twoje życie jest zbyt cenne
by zmarnotrawić je
dla jednego człowieka

żyj
na przekór wszystkim i wszystkiemu
ty też jesteś dzieckiem Wszechświata
masz prawo tu być

DOBRO NAD WYRAZ OSOBISTE

nie rzucaj słów na wiatr
one mogą boleć
nie osądzaj innych
zbyt pochopnie
pomyśl, nim cokolwiek powiesz
twoje dobre imię, nazwisko
też mogą być zszargane
i zmięte jak śmieć

postępuj rozważnie
z dorobkiem innych
zapracuj sam, podwiń rękawy
wykuj własny los
nie podpisuj się
pod czyimś sukcesem
jest na to prawo
i ty go strzeż

dbaj o bezpieczeństwo
jak najbardziej osobiście
tego, co twoje
nie rzucaj na żer
szemranym firmom
niebezpiecznym ludziom
byle komu
masz prawo do swojej własności
to twoje zadanie i twój cel

wszystko, co człowiek posiada
to jego dobro:
zdrowie
wolność
swoboda
sumienie
cześć

i czyjeś mieszkanie
czyjś list, futro na balkonie
samochód
drugi człowiek
– to zawsze czyjeś dobro jest

równie ważne jest to
które mieszka w tobie
postaraj się
dać mu godne mieszkanie
by nikt nie zabrał
nie nadużył
nie zabił tego
co najlepsze w tobie



Iwona Góraj, „Głowa Chrystusa w szarościach”, collage, papier, 23 x 22 cm, 2017

Iwona Góraj

WIERSZE EKFRASTYCZNE

SENNE MARZENIE

„Świt w Santa Marta”

Senne marzenie
Wenecja jawi się jak mgła
zerwij się wiosno moim snem
zerwij się
przymknij oczy
kolor z moich snów
obietnica
poznaję w spłoszonym ptaku
wiem że to ten kolor

PTAKI

*„Ptak o poranku”
i „Ptak nocą”*

Ptaki wpisane w gałęzi rysunek
kreską niewyraźną
brzask nieustannych przylotów
odlotów nieustanny cień
muzyka prosta i wiersz
ptaków odmieniam odgłosy
niskie przeciągłe i trele
stukot dzięcioła się przyśni
l'ombre
le soleile
niebo się wlewa łanami
jak mleko napełnia dzban

KOLOR WENECJI

„Pejzaż z gondolą w czerwieni i złocie”

Kolor Wenecji
płochosc i cichosc
płomień gondoli
na połaci wody
rozkołysany gaśnie
cicho jak poranek
słowo nabrzmiało barwą
niespożytą śmiałą i dostojną
sączę weneckie wino powoli
jeden łyk na dzień cały
dość by w głowie zaszumiało
daj mi moc bym nazwała
to co zwieść może Aniołów
tańczę jak ważka
w cudowną maskę
przybrawszy blade lico

JAK NA JEZIORZE

„Głowa Chrystusa w koronie cierniowej”

Jak na jeziorze
wody lustro
muśnięte mrozu oddechem
zbołała Twarz Chrystusa
tkanka cienka jak pergamin
przebija przez nią jasny blask
tchnie życiem i ulata
w światło które tuli
wszystko co stworzone
błękitne ciernie na Głowie
zakwitły chabru płatkami

FIOLET

„Głowa Chrystusa na zielonym tle”

Fiolet
pachnących wiatrem zórz
płomień chmur
czerwieni smagłych
ugry płynące wszere i wzdłuż

Jasnoświatlista
Twarz Chrystusa
w Majestacie

PRZEDZIWNA TWARZ

„Głowa Chrystusa w szarościach”

Przedziwna Twarz
oczy chabrowe
zwrócone w bok
ze smutkiem
cienie dłoni
najwyższych promienie gwiazd
usta kreską majaczą
w cichym niemilczeniu
włosów szerniałe rubiny
kryją boleść
w kraplaku głębi
czy to zastygła krew
Chryste

Zdzisław „Rabarbar” Sierpiński

SATYRY

Na Bogdana Knopa

Bogdanie Knopie – Knopie Bogdanie!
Może na zewnątrz zbyt kostyczny,
Ale po prawdzie – kto Ciebie zna –
Gdzieś w głębi serca – jednak liryczny.

Co Cię zawiodło w Sicz Zaporoską,
Po Dzikich Polach wiatrem błędzić?
Czy dusza Twa płynie po Ukrainie?
Jak myślisz, Bogdanie, jak sądzisz?

Ja wiem – sentymenty, losu zakręty,
Któż to rozsypła życia zawilość...
Może tęsknota i niespełnienie,
Stepy bezkresne – a może miłość?

Pamiętam obraz Ilji Riepina –
Cóż za poezja, co to za głębia!
I ci Kozacy nad cichym Donem,
Wąsy i szable, i zapach koni –
Owszem, to może opętać.

A tu piosenka Jacka Lecha
„Dwadzieścia lat, a może mniej...”
Prostym refrenem się uśmiecha:
„tak trochę dobrze, trochę źle...”

Albo Tadeusz Ross – syczący
Uśmiechem słońca w jego kapeluszu
Tyle radości, tyle animuszu –
Że tylko brać i brać bez końca...

Choć czas tragiczny i źle na świecie,
A zło ze szczęściem się przeplata,
Trochę uśmiechu – takie przesłanie
Na dziś, na jutro – Knopie Bogdanie.

Bogdanie Knopie – śmiech na śniadanie –
Wiem, to posiłek metafizyczny,
Jeszcze jajeczko i ryż w śmietanie –
A staniesz się bardziej liryczny.

Albo też inny Bogdan, Łazuka,
Co się uśmiecha od ucha do ucha
I rzuca frazę, charlestona tańcząc –
Pamiętasz? „Bogdan, trzymaj się!”

14 stycznia 2022 r.

Maciejowi Rudlickiemu

Tombée la neige...
(wg Salvatore Adamo)

Pada śnieg – kartofle obieram,
Śnieg pada – a niech to cholera!
Wkoło butelki po wódce leżą,
Na płocie plakat: „Partia z młodzieżą”.

Umoczę koniec nosa,
Zapałę papierosa,
Łyknę koniaku fiolkę,
Otworzę parasolkę.

Pada śnieg – już dawno tak nie padał,
Jak oranżadka w proszku – lecz błada.

Nieba się otworzyły chmury
I pierze leci z nieba,
W niebie są wielkie białe dziury –
To widać i wierzyć nie trzeba.

A tu kartofel za twardy,
Bo kiedyś w wierszu *Nie było zimy*
Pisałem, że świat już „zwaryjował”,
Że zimy nie ma – że to parodia.

Szyby maluje Dziadek Mróz
Dla dzieci, dla mamy, taty.
Uwaga, dzieci, uwaga!
Z nieba lecą lody z waty.

A tu śniegu całe kopy
I mróz trzyma tego – oj, trzyma!
Ludzie – cuda nad cudy!
Zima na świecie – zima.

Na Zbigniewa

Raz się pojawił facet z koszykiem
I chodzi z nim pod rękę,
Można pomyśleć: ki czort, do licha!
Facet zbzikował ze szczętem.

Można pod rękę wziąć panienkę
Albo parasol – lecz w drugą rękę
I Alejami beztrosko iść,
Choć deszczu ani kropla nie pada.

A tu z koszykiem – nie wiem, czy pustym,
Napiera facet – cóż, ma swe gusty!
Jest demokracja, więc jego racja,
Odmówić mu tego nie można...

Zbigniewie, Zbigniewie, tego nikt nie wie,
Po co Ci koszyk – choć prawie pusty,
To jest jak jakieś wielkie wyzwanie,
Nie powiem, że prawie jak prowokacja!

Po co parasol, gdy deszczu nie ma,
Jak powie młodzież – to wielka ściema,
Wypij kielicha – wnet minie trema!
Kielich lub dwa – cóż więcej trza?!

Co komu do jemu, co jemu do komu –
Można spuentować po śląsku,
I okulary ciemne na czole,
Choć słońca nie ma, to w oczy kole.

Taka jest moda i koniec – kropka:
Spodnie porznięte, ręce pocięte,
Obrączka w uchu, szpilka tkwi w wardze,
Skądś to pamiętam, skądś znam to bardzo.

Tak sobie po prostu koszyk nieść?
A czemu nie?! Już zbliża się finał:
Zamiast dziewczyny – koszyk – i cześć!
Gościu po prostu jest oryginał.

A więc zakończę złotą maksymą:
Taki masz gust – to prawda, tak jest,
A w sprawach gustu, rzecz oczywista:
De gustibus non disputandum est.

Styczeń 2022 r.

Małgorzacie Nowakowskiej-Karczewskiej

w odpowiedzi na esej *Starość*
 „Rzadko kto umie być starym”
 (La Rochefoucauld, *Pół żartem, pół serio*)

Nie będę już dzisiaj jadł kolacji –
 Żeby nie przytyć, broń Boże,
 Orzeszków ziemnych ani pistacji!
 Termofor ciepły pod nogi włożę,

Zjem sobie jabłko, zjem pomarańczę,
 Wypiję ziółka, w myślach zatańczę
 Na piętach lub palcach, tango czy walca –
 Jak Pierrot z ulotną Eulalią.

Posłucham trąbki Milesa Davisa –
 Reszta jak kilo kitu mi zwisa –
 Popatrzę w obraz J. Sebastiana
 I bez tabletki będę spał do rana.

O Boże, Boże! Co dzień, to gorzej!
 Zaraza, drożyzna i „wogle”!
 Włożę piżamę na lewą stronę,
 Na oczy do snu założę gogle

I bez szlafmocy jak zakonnicy
 Odmówię pacierze wieczorne,
 Na łożu leżąc, w zaświaty wierząc –
 Odpłynę w zaświaty upiorne.

Dręczy mnie słabość, dręczy migrena,
 Kręgosłup i łupanie piszczeli...
 A niech to diabli – niech to anieli!
 To starość! A niech to cholera!

O starości, starości,
 Czemu kruszą się kości?
 I w dodatku łysina na głowie...
 Co się stało, panowie?

Czemu wzrok już zamglony
 Jak szampanem szalonym –
 Kiełbie kręcą się we łbie, że hej!
 Gdzie ten dryg, gdzie ten szyk?
 W oku błysk – panna w pisk!
 Gdzie to wszystko, gdzie się podziało?

Albo znowu – siwizna, ocieplana bielizna
 I tabletki od bólu „z kogutkiem”.
 Czasu się nie zawróci –
 To z naturą się kłóci,
 Ja to wiem i tak nucę ze smutkiem:

Ja pójdę przed siebie – lecz gdzie,
 Jeszcze nie wiem,
 Coś mnie gna, coś mnie pcha,
 Coś mnie goni.
 Za wszystko zapłacę,
 Się w myślach zatracę
 I pójdę jak ślepiec pod słońce.

Choć słońce gorące
 I w oczach zające
 Skaczą, mrugają, kręcą wąsami,
 Ja nie dam się złamać!
 Nikomu okłamać!
 To przymus wewnętrzny, potrzeba.

I idę na oślepe
 Ku słońcu, ku wiosnie,
 Ulicą pijaną do nieba.

Luty 2022 r.



Agnieszka Dumańska, „inDUStrial”

Arkadiusz Frania

Z NIEPOKORY I OCZEKIWANIA

[ZBIGNIEW JAKUBOWSKI]

ZBIGNIEW JAKUBOWSKI (1946-2002) BYŁ POSTACIĄ NIETUZINKOWĄ w środowisku częstochowskich myślicieli, co odzwierciedlają choćby tytuły dwóch artykułów autorstwa Stanisława Podobińskiego, który określił przyjaciela¹ jako „humanistę niepokornego”² oraz „humanistę otwartego i niepokornego”³. Działalność naukowa autora *Miodosytni* to przede wszystkim prace historyczne dotyczące dziejów chrześcijaństwa w Polsce, czeskich i morawskich fundacji kanonickich czy „spraw częstochowskich”⁴, lecz nie mniej ważną częścią jego aktywności emocjonalnej były poszukiwania poetyckiego wyrazu.

Dorobek twórczy pisarza to kilka tomików i arkuszy wierszy, do których zaliczam również wkładki poetyckie do jednego z pism kulturalnych Częstochowy. Napisałem dość zachowawczo „kilka”, gdyż trudno dokładnie określić liczbę książek. Wpisy biblioteczne⁵ i biobibliograficzne informują o 6 tomikach „zmierzonych z autopsji”: *Mój świat* (1983), *Reminiscencje* (1983), *Miodosytnia* (1984), *Post scriptum* (1985), *Strzępy listów* (1993), *Stare zegary* (1995)⁶. Wzmianki o trzech innych tytułach (*Wiersze*, *Ślepy grajek*, *Wszystkie opisanie wszystkiego*) można wydobyć z wywiadów, biogramów i not wprowadzających druki wierszy⁷. Uważny czytelnik wywiadu

- 1 Nieprzypadkowo Stanisław Podobiński, przygotowując zbiór *Poeci Częstochowy i okolic* z symptomatycznym podtytułem *Antologia przyjaciół*, zamieścił w nim dwa wiersze Z. Jakubowskiego: *stare zegary* i *gra w zielone*. Książkę z papierów pośmiertnych do druku podała Elżbieta Wróbel (*Poeci Częstochowy i okolice. Antologia przyjaciół*, wybór i oprac. S. Podobiński, wstęp i red. E. Wróbel, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 2003).
- 2 S. Podobiński, *Zbigniew Jakubowski – humanista niepokorny (2 X 1946 – 25 X 2002)*, „Gazeta Wyborcza. Częstochowa” 2002, nr 254, 30 października 2002, s. 6.
- 3 Tenże, *Zbigniew Jakubowski (2 X 1946 – 25 X 2002) – humanista otwarty i niepokorny*, [w:] *Tolerancja. Studia i szkice*, t. VIII-IX, red. nauk. A. Rosół, M.S. Szczepański, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 2002, s. 321-322.
- 4 Zob. książki Z. Jakubowskiego: *Zarys dziejów chrześcijaństwa w Polsce*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 1989; *Czeskie i morawskie fundacje kanonickie XIV-XV wieku. Studium z dziejów devotio moderna*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 2001; *Częstochowskie opowieści o mieście, ludziach, wydarzeniach*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 1993.
- 5 Korzystałem z baz: Biblioteki Narodowej, Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie oraz Biblioteki Uniwersyteckiej Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie.
- 6 Cytując wiersze Z. Jakubowskiego pomieszczone w tomikach, używam skrótów: MŚ – *Mój świat*, Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, Częstochowa 1983; R – *Reminiscencje*, wkładka poetycka do „Informatora Kulturalnego Województwa Częstochowskiego” 1983, nr 6; M – *Miodosytnia*, wkładka poetycka do „Informatora Kulturalnego Województwa Częstochowskiego” 1984, nr 2; PS – *Post scriptum*, [b.n.w.], Częstochowa 1985; SL – *Strzępy listów*, [b.n.w.], Częstochowa 1993. Po skrócie podaję numer strony.
- 7 Zob.: „*Tak się bezradnie kręczę*”, rozm. A. Poznańskiej ze Z. Jakubowskim, *Miesięcznik Społeczno-Kulturalny Regionu Częstochowskiego „Nad Wartą”* 1984, nr 7, s. 5; *Zbigniew Jakubowski* [biogram], [w:] Z. Jakubowski, *Post scriptum*, [czwarta stronica okładki]; *Jakubowski Zbigniew* [biogram], [w:] W.E. Piekarski, Z. Stańczyk, *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, Wydawnictwo WIKSTAN, Częstochowa 2006 [seria „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”], s. 136.

Anny Poznańskiej z poetą z 1984 roku wyłuska taką zapowiedź: „W najnowszym zbiorze *Tak się bezradnie kręcę*, przygotowanym teraz do druku, jest sporo wierszy odrzuconych”⁸. Czy to kolejna książka, czy tom, który ostatecznie ukazał się pod tytułem *Post scriptum*, nie sposób rozstrzygnąć. Data publikacji rozmowy (lipiec 1984) wskazywałaby, że nie chodzi o *Miodosytnię*, wydaną jako dodatek literacki do „Informatora Kulturalnego Województwa Częstochowskiego” w lutym 1984 roku, należy jednak zaznaczyć, iż właśnie w tym zbiorze opalizuje tytułowa fraza: „tak się bezradnie kręcę / jak ziemia w przestworzach” (*Opowieść o cieniu* – M[5]). Można przypuszczać, że rękopisy przechowują znaczną część pism niedrukowanych, wszak Stanisław Podobiński podkreślił: „[Zbigniew Jakubowski] Pisał dobre wiersze, wiele z nich ukazało się drukiem, wiele czeka na opublikowanie”⁹.

Gwoli badawczej ścisłości odnotujmy: najpełniejszy biogram poety zawiera kompendium *Słownik bibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)* Władysława Edwarda Piekarskiego i Zbigniewa Stańczyka (2006)¹⁰. Wymieńmy większe prezentacje poetyckie Zbigniewa Jakubowskiego na łamach „Nad Wartą”¹¹, przede wszystkim zaś w antologii *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975-2001*¹².

Częstochowianin, zapytany przez dziennikarkę, czy jest, czy bywa poetą, odparł:

Bywam. Nie zostałem poetą, ale przez przypadek odkryłem, że mogę pisać. Zresztą jest to rzecz, której nie potrafię wyjaśnić. Jest to jakiś wewnętrzny przytomus. Pisanie pozwala mi być lepszym, choćby dla najbliższego otoczenia. Przelewam na papier swoją złość, smutek i jestem spokojny¹³.

Nieco wbrew sugerowanej przez autora ostrości przekazu, jeden z krytyków, opiniując *Post scriptum*, uwydatnił w książce „atmosferę przemyślanego, stoickiego spokoju i zadumy”¹⁴, a recenzent *Miodosytni* pisał o zawartej w niej „niemałej kulturze i delikatności”¹⁵.

We wstępie do prezentacji 5 liryków Z. Jakubowskiego w dziale „Wierszem opisane” Redakcja Biuletynu Informacyjnego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie „Res Academicae” w 1997 roku (nr 4, s. 30) pisała o „szóstym już [...] tomiku, który ukaże się niebawem. Tomik nosi tytuł *Wszystkie opisanie wszystkiego* i – jak zapowiedział Autor – podsumowuje WSZYTKO”. Poeta przecież stwierdził: „jest taki czas / kiedy chce się zrozumieć wszystko / znaczenie i sens” (*Jest taki czas* – R[6]).

8 „*Tak się bezradnie kręcę*”.

9 S. Podobiński, *Zbigniew Jakubowski (2 X 1946 – 25 X 2002) – humanista niepokorny*.

10 W.E. Piekarski, Zbigniew Stańczyk, dz. cyt., s. 136-140.

11 Z. Jakubowski, *Elementarz*, ***(*i znowu sam*), ***(*liczę swoich przyjaciół*), ***(*twój uśmiech wypływa z głębi*), *Pytanie*, ***(*istnienie ciężkie jak ołów*), *Nad brzegiem morza*, *Nad ranem* [wiersze], *Miesięcznik Społeczno-Kulturalny Regionu Częstochowskiego* „Nad Wartą” 1984, nr 7, s. 5.

12 Tenże, *Metryka urodzenia*, *Biografia*, *Koncert na stare skrzypce*, *Powrót*, *Reminiscencje*, ***(*ze snem w przyjaźni*), ***(*piszę ten wiersz*), ***(*ilekroć wsiadam do pociągu*), *Potępienie Ikara*, ***(*małe dziecko ma trzydzieści osiem lat*), *Wątpliwość*, *Najbliższe mi miejsca*, *Panorama miasta*, *Na dobranoc*, *Opisanie snu*, ***(*przywracam wyraz twojej twarzy*), *Niecierpliwość I*, *Zimowe misterium*, ***(*żeby tak wszystkie rzeczy pokryć*), *Taka sobie modlitwa*, *Gra w listonosza*, *Wyznanie kundla*, *Znajomy pies*, *Przed snem*, *Erotyk*, ***(*nie rzucajcie*), ***(*matka poety*), ***(*śni*) [wiersze], [w:] *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975-2001*, część II, oprac. i red. W.E. Piekarski, Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa 2002 [seria „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”], s. 69-86.

13 „*Tak się bezradnie kręcę*”.

14 A.P., *Post scriptum* [rec. Z. Jakubowski, *Post scriptum*], *Miesięcznik Społeczno-Kulturalny Regionu Częstochowskiego* „Nad Wartą” 1985, nr 8, s. 3.

15 (tg) [T. Gierymski], *Poezja i życie. Nasycony gorzkim miodem*, [rec. Z. Jakubowski, *Miodosytnia*] *Miesięcznik Społeczno-Kulturalny Regionu Częstochowskiego* „Nad Wartą” 1984, nr 6, s. 5.

W wierszu *Na krakowskim dworcu* czytamy: „nie mam już nic / dla siebie / cały się podzieliłem / między ludzi i wiersze” (*Na krakowskim dworcu* – PS6). Poeta traktuje jednak pisanie poważnie, a w literaturze widzi nieodzowny składnik codziennego trwania: „mój niesforny wierszu / potrzebuję strof twoich / jak zgłodniały / chleba” (*Niecierpliwość I* – PS19), „kuścikam / podpierając się wierszem / jak laską / zakończona jest słowem / mocna / niewzruszona” (***(*kuścikam*) – M[7]). Jeśli wierzyć autodeklaracjom, Zbigniew Jakubowski w poezji nie ukrywa się, nie chowa, nie udaje, nie podszywa pod nikogo, liryki zaś nazywa szkicami do portretowania samego siebie:

tłumaczyłeś mi
że potrzeba wielu luster
by uzyskać odbicia twarzy
do
autoportretu

a lustra są drogie
i kruche

dlatego piszę
wiersze
by innym ułatwić
rozwiązanie
zagadki
kim
jestem

(*Prolog* – MŚ32)¹⁶.

Wiersze Zbigniewa Jakubowskiego nie były zbyt częstym przedmiotem zainteresowania krytyków literackich, którzy wypowiadając się o dokonaniach twórcy, korzystali raczej z form recenzji i bieżących omówień wydawniczych¹⁷, dlatego można zaryzykować twierdzenie, że w pracach ujmujących przekrojowo poezję regionu częstochowski autor był raczej wzmiankowany niż analizowany, czego dowodzi m.in. fragment szkicu Stefana Żółtowskiego *Życie literackie na Ziemi Częstochowskiej w latach 1944-1984*:

Nie o wszystkim, o czym chciałbym jeszcze napisać – napisałem. Ot, chociażby szerzej o twórczości Ewy Gorczyckiej, Tadeusza Gierymskiego, Zbigniewa Jakubowskiego, Janusza Mielczarka, Zbigniewa Żmigrodzkiego i innych, o Grupie Literackiej im. Marka Hłaski, powstałej przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Trudno¹⁸.

16 Jako ciekawostkę podajmy, że wiersz *Prolog* został chyba nieco na przekór umieszczony jako ostatni utwór w tomiku *Mój świat*, a w przedruku w *Reminiscencjach* stracił tytuł (***(*tłumaczyłeś mi*) – R[2]).

17 Zob.: T. Gieryski, *Poetycki debiut książkowy. „Mój świat” Zbigniewa Jakubowskiego* [rec. Z. Jakubowski, *Mój świat*], *Miesięcznik Społeczno-Kulturalny Regionu Częstochowskiego „Nad Wartą”* 1983, nr 12, s. 4-5; A. Browarska, *Debiut Zbigniewa Jakubowskiego* [rec. Z. Jakubowski, *Mój świat*]; (tg) [T. Gieryski], dz. cyt.; A.P., dz. cyt.

18 S. Żółtowski, *Życie literackie na Ziemi Częstochowskiej w latach 1944-1984*, Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria” nr 7, grudzień 1995 – styczeń 1996, s. 9; przedruk [w:] *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przelotem wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975-2001*, s. 10. Zob. też szkic pt. *Ludzie i książki. Życie literackie na Ziemi Częstochowskiej w latach 1944-1984* (cz. 3), „Informator Kulturalny Województwa Częstochowskiego” 1984, nr 12, s. 4.

Jakby badacze literatury nie wzięli sobie do serca zachęty Tadeusza Gierymskiego, że „o wierszach Zbigniewa Jakubowskiego można pisać i można rozmawiać”¹⁹. Niemniej obserwatorzy życia literackiego Częstochowy komentowali m.in. warsztat artystyczny pisarza. Cytowany przed chwilą autor *Rosy i rdzy* podkreślił także: „pisze [on] językiem prostym, używa zwykłej frazeologii, nie epatuje czytelnika lingwistycznym eksperymentatorstwem ani zuchwałą metaforą”²⁰, natomiast Stanisław Podobiński uwydatnił „niezwykły talent narracyjny”²¹.

Liryka autora *Post scriptum* została nasycona wartościami humanistycznymi. W wywiadzie poeta tłumaczył: „Jestem posądzony o egoizm, ale naprawdę jedynym moim obiektem zainteresowań jest człowiek, wszystko to, co przeżywa”²². Na potwierdzenie dwunastu ostatnich słów zacytujmy: „najbliższy jest mi / człowiek / którego usiłuję / ogarnąć skrzydłami / powiek” (***(najbliższe są mi) – MŚ1), „wystarczy mi / człowiek / którego usiłuję dotknąć / koniuszkami palców” (*Zeznanie* – M[7]), „ogarnąć / drugiego człowieka by ten na chwilę poczuł się / bezpieczny kochany potrzebny” (*Pytanie* – PS9). Oświadczenia nie mają jednak charakteru bezwarunkowego, gdyż człowiek nie zawsze odwzajemnia dobry gest czy przyjazne myśli: „są takie obszary / życia / na których nie wszędzie / nic / nawet cień / ziela / nadziei / podobnej w smaku / piołunowi” (***(są takie obszary) – M[7]). Chyba bezradność wobec postępowania współplemieńców podyktowała wiersz religijny *Wątpliwość*: „nie wiem panie co zrobić / z rękami / dłonie w pięści zaciskać / czy wyciągać ramiona” (*Wątpliwość* – PS14). W rozmowie z Anną Poznańską twórca reagował: „Ocieramy się o siebie, co wcale nie świadczy o tym, że jesteśmy blisko siebie”²³. Motyw samotności to częsty opis kondycji *homo sapiens*: „zupełnie samotny” (***(ze snem w przyjaźni) – MŚ8), „ogarnia / mnie / cisza / samotna / niesamotność” (***(dziedziniąc pustoszeje) – MŚ4), „w samotność schodzi się / powoli” (*Biografia* – MŚ29), „wspinam się [...] / [...] z samotności / w samotność” (***(wspinam się nocą po drabinie snu) – M[7]). W niemal autodestrukcyjnym akcie podmiot liryczny woła: „zostawcie mnie w spokoju / zostawcie mnie w miłości / zostawcie w samotności” (*Prośba* – MŚ31). W wierszu *Metryka urodzenia* otrzymujemy obraz godzenia się bohatera z utratą złudzeń i nadziei:

zawód
idę
sam jeden
sam jeden w żalobnym kondukcie
grzebać
co we mnie powoli konało i milkło
(*Metryka urodzenia* – MŚ9).

Niektórzy żyją pojedynczo, często w chcianym odosobnieniu, co może zapewnić dziwnie pojmowaną wolność. Alienacja zmienia postrzeganie świata, ostatecznie doskwiera wyludnienie, osaczenie niewyraźnymi kształtami: „dotykam przedmiotów / rozmazanych / twarzy” (***(wspinam się nocą po drabinie snu) – M[7]), „widzę świat jakby z dali / cały we mgle / nieznanymi kolorów” (***(ze snem w przyjaźni) – MŚ8), „odkrywam / puste ulice / puste parki / i pusty adres / na przedmieściu” (***(wspinam się nocą po drabinie snu) – M[7]). Wiwisekcję ludzkiej samotności, oddalenie „ja” od innych, ale i potrzebę nawiązania kontaktów przynosi

19 (tg) [T. Gierymski], dz. cyt.

20 T. Gierymski, *Poetycki debiut książkowy*. „Mój świat” Zbigniewa Jakubowskiego, s. 5.

21 S. Podobiński, *Zbigniew Jakubowski (2 X 1946 – 25 X 2002) – humanista niepokorny*.

22 „Tak się bezradnie kręcę”.

23 Tamże.

nieformalny „psi tryptyk” (wiersze: *Znajomy pies*, *Propozycja*, *Wyznanie kundla* – PS7-8), będący zapisem rozmów ze zwierzęciem i monologów psa.

Kształtowana przez człowieka, jego kompleksy i uprzedzenia rzeczywistość przeraża, lecz posiada też drugą, bardziej jasną stronę, dlatego poeta w wywiadzie z 1985 roku konstatował:

ostatnimi laty czuję się tak, jakbym szedł boso po ściernisku. [...] Kiedyś w jednym z wierszy napisałem, że śni mi się poezja, która godzi poetę ze światem. Takim światem, jaki on jest, okrutnym, „sprawiedliwym do bólu”, niekiedy koszmarnym, ale zarazem takim, w którym jest miejsce na szacunek, przyjaźń, dobro i uśmiech. Dobrze, jeżeli człowiek umie się śmiać z siebie samego²⁴.

Zbigniew Jakubowski w powyższym fragmencie „zacytował” swój wiersz *Sen* z arkusza *Reminiscencje*. Tekst posiada jednak dwa warianty. W wersji z 1983 roku brzmi następująco:

śni mi się
łąka
poła
kwiaty

śni mi się
woda
ziemia
słońce

śni mi się
życie w kolorach
białym i czarnym

i poezja
która godzi
poetę ze światem
(*Sen* – R[2]).

Po latach autor znacznie skrócił liryk, zmienił tytuł, a raczej go odebrał (po *Śnie* pozostał równie morfeuszowy incipit ***(*śni*)), rozbił ocalony tekst (przeprowadził słupkowanie, na siedem wersów pięć ma długość jednosłowną), zmuszając czytelnika do lektury szarpanej, skandowanej. Nastąpiła kondensacja treści – przez skupienie myśli na zadaniach literatury. W konsekwencji nowa wersja otrzymała poniższy kształt:

śni
mi
się
poezja
która godzi

24 ... *z potrzeby serca*, rozm. R. Majaka ze Z. Jakubowskim, Miesięcznik Społeczno-Kulturalny Regionu Częstochowskiego „Nad Wartą” 1985, nr 8, s. 3.

poetę
ze światem
(****(śni)* – SL31).

Składnikiem egzystencji jest przemijanie, upływ czasu, zanikanie i znikanie świata: „wiatr / zaciera litery / zapisane w piasku” (***(*dziedziniec pustoszeje*) – MŚ4). Życie jawi się nam jako „chocholi taniec”, płas apatii i bezradności, tan mechaniczny, bez krwi i oddechu: „jeszcze tylko ten raz / ostatni / zatańczysz / chocholi taniec” (*Ostatni taniec* – MŚ7). Byt „ja” okazuje się nieraz wątpliwy i nieoczywisty: „życie / jedyne / moje i nie / moje / jedynie moje / i niczyje” (*Troja* – MŚ14). Widzimy szamotaninę podmiotu lirycznego, poszukiwanie punktów orientacyjnych: „tak się bezradnie kręcę / jak ziemia w przestworzach” (*Opowieść o cieniu* – M[5]). Bohater błądzi między odbiciami, cieniami, nie przyznaje się do prawdziwego „ja”, zagłuszając siebie „ja” urojonym, fałszywym: „wstając spoglądam w lustro / które nauczyłem kłamać” (*Refren* – MŚ21). Niezbędne zdaje się być zatem podjęcie próby wprowadzenia ładu, porządku w życie „ja”, wdrożenie hierarchii wartości w oparciu o tzw. „rzeczy pierwsze”: „a jeszcze mi zostały wszystkie rzeczy / PIERWSZE / miłość / dom / chleb / i wiersze” (***(*coraz częściej odczuwam*) – M[2]), „i żeby wszystkie rzeczy ostatnie / na nowo stały się / pierwszymi / jak / woda chleb i ogień” (*Taka sobie modlitwa* – PS3).

W rejestrze utworów egzystencjalnych znajduje się zestaw wierszy szpitalnych. Poprzez odniesienie do sytuacji granicznych, łączących życie ze śmiercią, te właśnie liryki najbardziej oddają prawdę o losie człowieka. Wiele tekstów poprzez tytuły i noty lokalizacyjne kojarzy się z fragmentami wyrwanymi z dziennika chorego i rekonwalescenta; z dopiskami „Łódź 1982” wydrukowano liryki: *Klinika I* (MŚ11), *Klinika II* (MŚ10), *Powrót* (MŚ12-13), natomiast z danymi „Konstancin 1976”: *Świtanie* (MŚ17), ***(*rozmawiałem z człowiekiem*) (MŚ18), *Jesień* (MŚ26). Bardzo trudno oswoić szpital jako przestrzeń: „jest takie jedno jedyne / w swoim rodzaju / szpitalne oczekiwanie” (*Klinika I* – MŚ11), „jak się odmienia słowo / szpital / on żyje / on cierpi / odczuwa / i kona / szpitalna deklinacja” (*Deklinacja* – PS12). Ale właśnie w tej nieprzyjemnej przestrzeni możemy doświadczyć siebie, poznać prawdę o sobie, zrozumieć świat i powrócić do życia „po szpitalu” z nową wiedzą o tym, co chroni nasze człowieczeństwo:

człowiek
naprawiający ład natury

i znowu był sam
nijaki
niedorosły jeszcze
do zmartwychwstania
i niegotowy
na śmierć
sam
nijaki
człowiek
jeden z milionów
przypadek
który uratował tylko jedno
jedyne

marzenie
WRÓCIĆ

(Powrót – MŚ12-13).

Choć podmiot liryczny odczuwa swoją małość: „ja / owad / któremu na jeszcze jedną zimę / darowano życie” (***(rozmawiałem z człowiekiem) – MŚ18), rzucając wyzwanie okolicznościom, nieraz krzyczy: „cały mój świat w zadumie / cały mój świat / w nadziei / pomimo jesieni” (*Jesień* – MŚ26). Zbigniew Jakubowski znał cierpienie duszy i ból fizyczny: „Znosił godnie cierpienia w chorobie i nie uskarżał się, a jedynie w wierszach, które się niebawem opublikuje, zaznaczył swoje przecucia nieodwracalnej śmierci, której heroicznie się przyglądał”²⁵. Stanisław Podobiński w pożegnaniu kolegi zapowiedział druk jego liryków, w rzeczywistości były to krótkie prozy *Szpitalne zapiski bardzo osobiste*, które ukazały się na łamach Biuletynu Informacyjnego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie „Res Academicae” w 2002 roku²⁶. List poety do Redakcji Biuletynu z prośbą o opublikowanie *Zapisków* jest datowany na 10 sierpnia 2002 roku, autor zmarł dwa i pół miesiąca później – 25 października. Zbigniew Jakubowski w sygnałowanym liście zawarł niezwykle przejmujące słowa: „Przesyłam fragment mych grafomańskich bzdur. [...] Dziękuję za wszystko, boli. Zbyszek Jakubowski”. Upublicznienie zapisków poprzedził tekst wspomnieniowy *Z żalobnej karty*, odwołujący się do mowy wygłoszonej nad grobem zmarłego przez jednego z przyjaciół z uczelni (wówczas Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie):

„Nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że możesz być tak bardzo chory”. Może i wielu nie dowierzało, gdy przy rzadkich sposobnościach uskarżał się na swą bezradność, bezsilność, próbował rozmawiać o bliskim końcu, którego się spodziewał. Chyba nie znajdował zrozumienia i pokrzepienia w rozmowach, już w ostatnich dniach rzadkich, skoro refleksje swe przelewał na papier²⁷.

Zapiski to wzruszający monolog człowieka godzącego się z losem:

[życie] To ciągła próba. Nawet wtedy, gdy wydaje nam się, że tekst znamy na pamięć i czeka nas już tylko próba generalna²⁸;

Przyszły wyniki. Wiem. Wszyscy moi to samo wiedzą (milczenie). Trzeba odejść. Jak długo jeszcze? ON jeden nie zdradza swoich zamiarów i tajemnic. Czy aby wszystko posprzątam? Tak tego wiele. Tak rzadko mówiłem Kocham. Tak rzadko mówiłem przepraszam...²⁹.

Zbigniew Jakubowski pisał w wierszu z *Mojego świata*:

25 S. Podobiński, dz. cyt.

26 Z. Jakubowski, *Szpitalne zapiski bardzo osobiste*, Biuletyn Informacyjny Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie „Res Academicae” 2002, nr 7/8, s. 22-23.

27 *Z żalobnej karty*, Biuletyn Informacyjny Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie „Res Academicae” 2002, nr 7/8, s. 21-22.

28 Z. Jakubowski, *Szpitalne zapiski bardzo osobiste*, s. 23.

29 Tamże, s. 23.

mam jednak coś
co pozostało mi z życia
i co mam z poezji
gdy opadną już słowa
i forma
i treść

jest cierpienie
i
wiem że są dwa odcienie miłości
w geście ofiarowania
i przyjmowania
daru

(*Daję ci moją łzę* – MŚ24).

Częstochowski autor wiele lirycznej uwagi poświęcił dzieciństwu i miastu rodzinnemu. W jednym z wywiadów poeta wskazał: „Dużą wagę przywiązuję do wspomnień: domu rodzinnego, matki. Wydaje mi się, że reminiscencje, te powroty wstecz, to z jednej strony sfera marzeń, ale z drugiej – coś, co tkwi gdzieś w mojej świadomości”³⁰. Młode lata niejako konstytuują terażniejszość, są źródłem, do którego „ja” (wewnętrzne dziecko) wraca jak do prywatnego mitu: „spoglądam w lustro / refren słyszę / w dzieciństwie uczony na pamięć” (*Refren* – MŚ22), „Chciałbym w dzieciństwa powrócić wieczory” (*Wspomnienie* – R[8]). Dawny czas znamionuje aura botaniczna, sugerująca anturaż sielski, wiejski:

wiosna śni mi się wierzwą
niską
rosochatą
długi ich rząd nad rowem
ślad mego dzieciństwa
wszystko w kolorze słońca
delikatnych cieni

(*Wiosna* – R[8]).

Ale czy przyroda potrafi ocalić? – „teraz już wszystko będzie dobrze / posłuchaj / śpiewa ptak” (***(*teraz już wszystko będzie dobrze*) – M[11]), natura ma więc moc oczyszczającą, leczącą rany.

Zbigniew Jakubowski urodził się w grodzie Kraka, do którego wielokrotnie powracał w swojej poezji. Gdy poeta pisze o tym mieście, nie unika fraz kojarzących się z wizerunkiem wykreowanym przez Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w *Zaczarowanej dorożce*: „[wyruszymy] w cały nasz / nocny Kraków / wygodnie usiądziemy w zaczarowanej dorożce / by słuchać pomroku / gołębich pieszczoł” (***(*a potem z miodosytni zanurzeni w winie*) – M[2]). To swoista wariacja na temat wyjęty z tekstu wielkiego poprzednika. Przytoczmy również „spowiedź”:

Miasto mego dzieciństwa
Wiśła smok Wawel Zygmunt

30 „*Tak się bezradnie kręczę*”.

Dziwna rzecz jak można miłość
Wyznawać kamieniom

Smukłe wieże i bogate stwoszone ołtarze
Jadwigowy krucyfiks i Skalka z grobami
[...]
I latarń skrzynie otulające ulic bruki
Podwórkowe dzieciństwo
Żydowskie zaułki
(*Miasto* – MŚ19).

„Żydowskie zaułki” wiodą nas do krakowskiej dzielnicy Kazimierz i jej specyficznej aury:

dzisiaj już nie ma mojej ulicy
choć nazwa została
pamiętam wszystkie domy wielką synagogę
z liszajami tynku na której niewzruszenie tkwiły
mojżesza tablice
(*Krakowski Kazimierz* – PS5).

Terenem lirycznych podniet stał się dla Zbigniewa Jakubowskiego erotyzm i relacje sensualne z „ty”, nigdy jednak nieprzekraczające dobrego smaku, umiaru, nieraz też zawarte w obrębie cielesności fleksyjnej: „myślę o nieprzejrzystych obszarach / które nazwy nie mają żadnej” (*Twoje imię* – MŚ2). Gdzie indziej adresatka posiada ciało pobudzające partnera do wyrażenia apostrofy: „czekam na ciebie / dotyku twego ciała” (***(*w tę dziwną*) – MŚ3), „kto powiedział że miłość / nie jest szaleństwem” (*Troja* – MŚ15). Interesującą grupę liryków reprezentuje namiętna część zbioru *Miodosytnia*. Przytoczmy słownikowe znaczenia tytułowego rzeczownika: 1. „wytwórnia miodu pitnego”, 2. „lokal, w którym sprzedaje się miód pitny do spożycia na miejscu”³¹. W odniesieniu do omawianych wierszy „miodosytnię” rozumiałbym jako metaforę sycenia się kochanków, wzajemnego wypełniania czułością. Nie brak też bezpośredniego odwołania do miodu: „przychodzisz ciepłem / grzanego wina o smaku miodu / korzeni i przypraw / a ja zanurzam w tobie swoje usta / i spijam miłość” (*Miodosytnia* – M[2]). Te utwory przebiega dreszcz podniecenia, zbliżenia na odległość skóry: „wyruszymy nocą po dniu pełnym / miłości” (***(*a potem z miodosytni zanurzeni w winie*) – M[2]), „kocham cię we wszystkich kolorach / lecz najwięcej w zieleni / przepełnionej radością / ogromem nadziei” (*Gra w zielone* – M[4]), „miłość / naszych dwoje ust / i nasze cztery ręce” (***(*już dobrze moja droga*) – M[10]). Poeta definiuje „miłość”, proponując „objaśnienie” jej w kontekstach myślowych, kulturowych, rozumu, w mniejszym stopniu dotyku:

miłość nie jest uczuciem
znaczy stan odwagi
odmierzam naszą miłość
natężeniem pragnienia
i głębią tęsknoty
marzeniem

31 *miodosytnia* [hasło], [w:] *Słownik języka polskiego PWN*, t. 2: *L-P*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999, s. 174.

przetykanym odwagą
myślenia”

(*Definicja* – M[9]).

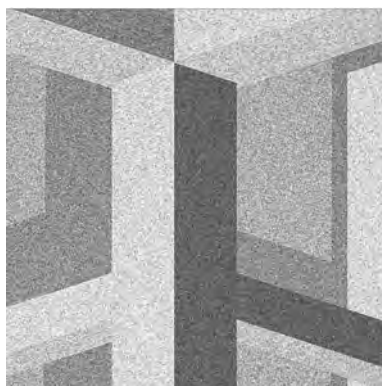
Zapoznajmy się także z fragmentem: „dwa śmiertelne ciała / usiłują zatrzymać w sobie / szczyptę nieśmiertelności // zanim nastąpi przebudzenie” (*erotyk* – SL26). Tkanka miłosna niekiedy porasta utwory podróżne, będące notatkami poetyckimi z odbytych peregrynacji, wszak liryk w ramach stażów odwiedził Belgię, RFN i Boliwię. W realnym „zamieszkaniu” w Brukseli należy upatrywać genezy *passusu*: „pozwól / na jedną małą chwilę / zagubić się / z Tobą / w sercu starej Brukseli” (*Grand Place* – MŚ5). Zatrącenie w przestrzeni przeistacza się w zagubienie/zapodziańnię w kobiecie: „nie lękaj się / szaleństwo miłość nie jest grzechem / przez jedną chwilę zgubimy się / w zaczarowanej / Brussel” (*Grand Place* – MŚ5). Na granicy liryki miłosnej i dotykającej obaw egzystencjalnych znajduje się z kolei *Biografia*:

i jest tam zapomnienie
i oczarowanie twoja we mnie obecność
i dotyk twojej dłoni
i głos który słyszę nikt cię już
nie goni teraz będziesz
bezpieczny

(*Biografia* – MŚ29).

Fraza: „twoja we mnie obecność / i dotyk twojej dłoni” sugerowałaby przenikanie ontologiczne oblubieńców, ale z każdą kolejną linijką zdaje się narastać niepokój, mimo iż fragment zbudowano z zapewnień o bezpieczeństwie. Sama jednak możliwość lęku została wywołana wyrazem „już” tkwiącym w próbie quasi-wyciszenia: „nikt cię już / nie goni”.

Zbigniew Jakubowski był przykładem humanisty, który pracą naukową skutecznie i z powodzeniem łączył z pisaniem wierszy. Być może nie stał się odkrywcą nowych dróg lirycznych, ale dzięki autentycznemu sposobowi nazywania świata i bolesnych przeżyć zasłużył na szacunek oraz kolejne spojrzenia krytycznoliterackie.

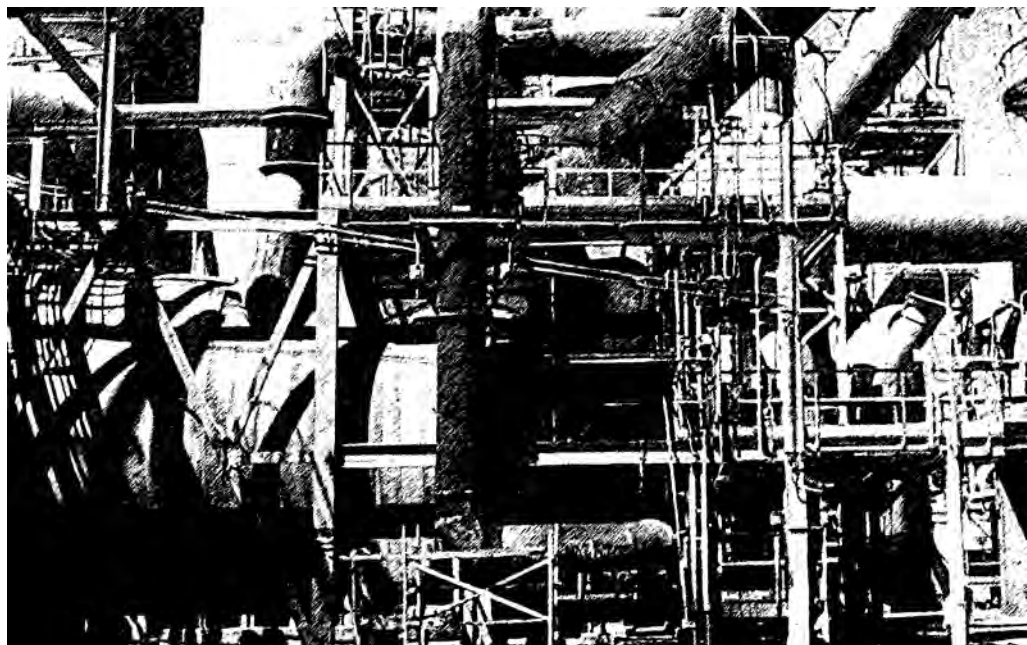


Andrzej Piechocki

WPŁYW SATURNA

*„Trust yourself,
Trust yourself to know the way that will prove true in the end.
Trust yourself”.*
Bob Dylan

O PIERWSZEJ PO PÓLNOCY OBUDZIŁO GO WARCZENIE SATURNA. O tej porze odgłosy pracy tego monstrem niosły się w promieniu jednego kilometra. Zsunął więc nogi na podłogę i wstał z łóżka. Dobrze wiedział, że po wydarzeniach ostatnich dni nie będzie mógł już zasnąć.



Kilkanaście godzin wcześniej był na pobliskim cmentarzu. W sierpniowym słońcu pożegnał się z matką. Tętniak w jej mocno posiwiałej głowie zaskoczył wszystkich. Zły los przyspieszył. Dni pięć, pięć dni, zaledwie tyle upłynęło od wyjazdu karetki pogotowia z domu do szpitala a wczorajszym pogrzebem. Bezradność w bezradności.

Pochówek odbył się zgodnie z gloszoną od lat wolą zmarłej: bez księdza i bez zbędnej celebry.

W tych stronach nie mieli żadnej rodziny. Na cmentarz, oprócz pana Zyguły w czarnym, niemodnym garniturze i najbliższych sąsiadów, przyszły jeszcze koleżanki mamy z brygady. Kilkanaście zmęczonych życiem kobiet. Przez lata tyrały razem w tej stojącej przy torach potężnej, czteropiętrowej przedalni z czerwonej cegły, która wyglądała niczym krzyżacki

zamek. To one, stare prządki wykonały funeralne rytuały. W perkalikowych sukienkach skupiły się nad grobem w falujący tłumek. Jedna z nich, Władzia Pakuła, była brygadzistka, a dzisiaj emerytka o ciągle bystrym spojrzeniu, powiedziała kilka ciepłych zdań o zmarłej koleżance. Nawet nieżeł jej to wyszło.

Później miejscowi grabarze spuścili trumnę w gliniasty dół.

Prządki odchodząc szarpały go w ramię. Tą bezceremonialnością okazywały mu współczucie. Wiedziały przecież, że on w wieku osiemnastu lat został sam, bez rodziców, bez rodzeństwa; sam pośród bardziej lub mniej obcych mu ludzi.

On, on od dawna – do swojej matki, do swojego ojca – zwracał się delikatnie, zawsze mówił miękko, bez grama szorstkości. Wcześniej rozumiał, jakim skarbem w jego życiu jest ta dwójka: ten szczudlasty mężczyzna z tą niepozorną, delikatną kobietą. Niektórzy koledzy ze szkoły czy z podwórka nabijali się z niego, drwili z tego, że on tak czule mówi do swoich najbliższych. Puszczając to mimo uszu, nie widział w tym żadnego powodu do wstydu. Używał zwrotów: mamusia, tatuś, matulka, tatko, starsi, staruszkowie i jeszcze innych wymyślonych przez siebie łagodności.

Wiszący w kuchni stary ponemiecki zegar wybił właśnie drugą godzinę.

Patrzył teraz przez okno w nocną dal. Nad Saturnem ukazała się krwawa luna – właśnie uwalniano czarną bestię z płynnego ognia.

W szkolnej bibliotece trafił swego czasu na cienką książeczkę wydaną z okazji którejś tam rocznicy powstania miejscowej huty. Wyczytał w niej, że Saturn, z którego co jakiś czas spuszczano surówkę, swoją nazwę, własne imię, zawdzięczał Ludwigowi Steinowi, wąsatemu bogaczowi z Duisburga. Pod koniec dziewiętnastego wieku ten niemiecki przemysłowiec postanowił poszukać kapitalistycznego szczęścia na naszych ziemiach. Steina poza mnożeniem pieniędzy pasjonowała astrologia. Prawdopodobnie z gwiazdznego wróżbiarstwa wzięła się nazwa dla przemysłowego kolosa stawianego w pobliżu torów. W astrologii planecie Saturn przyporządkowana jest melancholia.

Dziwne, bo akurat ten Saturn, hutniczy wielki piec, dzieło myśli inżynierskiej sprzed siedemdziesięciu lat, to czarne stalowe monstrum oplecione grubymi rurami, bestia otoczona liniami pomostów, przewodów i schodów, ta paskuda, ten brzydkał nie nastrajał nikogo do życia zbyt sentymentalnie.

Od kilku miesięcy zaczął nienawidzić Saturna. „Nienawiść, to najbrzydsza z emocji” – pamiętał te słowa mamy. Wiedział, że musi coś z tym zrobić. Tylko co? Wyczuwał nienormalność takiego odczucia.

Saturn górował nad okolicą niczym wieża strażnicza nad murami i budynkami więzienia. W dzień spozierał wyniosłe na wszystko, co stało po drugiej stronie torów klejowych: na ulice, domy, ogródki, na rynek, park z budynkiem szkoły, na dworzec z wieżyczkami, na hutnicze osiedle wybudowane z ciętego kamienia wapiennego, na robotnicze bieda domki przycupnięte w górnych uliczkach pod kościołem. Nocą zaś wielki piec, rzęście oświetlony, przypominał o swoim istnieniu, wydając groźne pomruki. Momentami charczał, czasami przeciągle syczał, bywało też, że wydawał z siebie głuchy łomot.

Miasto, które miał w swoim władaniu Saturn, nie było zbyt duże, liczyło trochę ponad dziesięć tysięcy mieszkańców. Na jego skraju biegło pasmo torów kolejowych. Położono je przeszło sto lat temu w celu połączenia Kongresówki z prawdziwą Europą. Patrząc na północ, po lewej stronie tego żelaznego traktu rozpostarła swoje hale, kominy i budynki potężna huta. Saturn został symbolem tego fabrycznego molocha. „Tam pracował tatuś, mój tatko” – tak to wspominał. Za płotami huty było kilkaset metrów martwej przestrzeni, płaski teren bez krzty zieleni, pełen szlaki,

gruzu, żwiru, kupek rdzewiejącego żelastwa i innych śmieci. Ten przemysłowy rumosz ciągnął się aż do czerwonych ścian wielokondygnacyjnej przędzalni, do której zwożono bele bawełny z odległych krajów świata. Przędzalnia powstała w tym samym czasie co huta, była dziełem francuskich włókniarzy z Lyonu. „Tam pracowała mamusia, moja matulka” – tak to też wspominał. Po prawej stronie torów, naprzeciwko Saturna stanął dworzec kolejowy, kiedyś naprawdę reprezentacyjny budynek. Pan Zyguła, kolega jego ojca z pracy, dużo opowiadał o tym miejscu. Dworzec miał spadzisty dach pokryty czerwoną dachówką, miał też zegar w attyce nad głównym wejściem oraz cztery wieżyczki zwieńczone blankami. Przez ciężkie dębowe drzwi z kolorowymi szybkami wchodziło się do obszernego holu, gdzie znajdowały się szykowne kasy biletowe, obok było wejście do eleganckiego baru. Podobno przed wojną na tej stacji zatrzymywały się „wiedeńczyki”, czyli eleganckie pociągi pokonujące trasę pomiędzy Warszawą a Wiedniem. Po 1939 roku dworzec podupadł. Niestety, w dalszych latach nie odzyskał już swojej świetności. Przez lata budynek z wieżyczkami zdiadział, po prostu zbrzydł. Później międzynarodowe „wiedeńczyki” zaczęły olewać stację z parszywiejącym dworcem. Na szczęście kilka dalekobieżnych, pospiesznych składów nadal honorowało to miejsce. W ciągu dnia zatrzymywały się tutaj dwa pociągi jadące do Gdańska i Gdyni. Jeden był tuż przed szóstą rano, drugi wieczorem koło ósmej. Sprawdził to niedawno na drewnianej tablicy z rozkładem jazdy, przymocowanej do ściany stacji.

Jego rodzice niechętnie rozmawiali z nim o wojennych czasach. Przeszłość wyciągał od nich mozolnie, zawsze z trudem. Niewiele się dowiedział. Nie mógł sobie wyobrazić, jak wyglądała ich młodość. Czasami myślał, że w ogóle jej nie mieli.

Tak więc jego matulka i jego tatko znaleźli się w tym mieście w czterdziestym szóstym roku. Przybyli z otchłani drugiej wojny światowej, obydwójce pochodzili z ziem położonych gdzieś na wschodzie, z krainy smutku, zwanej przez niektórych Kresami. Jego mama, mateczka, całą okupację przetrwała na wsi pod Grodnem. Jako dwudziestoczteroletnia niepozorna blondynka przyjechała w te strony w poszukiwaniu dalekich krewnych. Nikogo z rodziny nie zdołała już spotkać, znalazła za to pracę na czwartym piętrze w przędzalni za torami. Musiała obsługiwać długie rzędy wirujących wrzecion na angielskich przędzarkach. Została pracownicą prządka.

„Losy tatusia potoczyły się odmiennie – wspominał to po swojemu – mój tatko był żołnierzem prawdziwym, frontowcem, zwiadowcą w czwartej dywizji piechoty, która za patrona miała szewca – pana Kilińskiego z Warszawy”. Podczas walk na Pomorzu Zachodnim starszek dostał ciężki postrzał w prawe płuco. Wojna dobiegła końca, kiedy tatuś leżał w lazarecie. Po wyjściu ze szpitala wojsko już nie było nim zainteresowane. W tej sytuacji, po demobilizacji, poszedł na dworzec w Słupsku i zapakował się do jednego z pierwszych pociągów jadących na południe. Po trwającej kilkadziesiąt godzin jeździe, oblepione powojennymi wędrowcami wagony zatrzymały się na peronie w pobliżu Saturna. Tatuś miał dosyć takiej podróży, postanowił więc poszukać szczęścia w najbliższej okolicy. Bez problemu dostał robotę w hucie. Został skierowany do długiej, ponurej hali, w której wytwarzano różnego rodzaju drut stalowy. Był pojętny. Szybko opanował trudną sztukę posługiwania się specjalnymi kleszczami na długich ramionach. Przerzucał ogniste wstęgi stali z rołek transportera w paszcze innych urządzeń. Była to diabelska fucha, ryzykowna, ale za to dobrze płatna.

Z tego, czego zdołał się dowiedzieć, to jego rodzice poznali się na miejskiej potańcówce zorganizowanej przez Straż Pożarną w parku przy szkole. Pobrali się w czterdziestym siódmym. On przyszedł na świat rok później.

W mieście przy torach potoczyło się ich życie.

W pięćdziesiątym pierwszym, trochę szczęśliwym zbiegiem okoliczności, a trochę za wstawiennictwem pana Zyguły, przydzielono im *ludzkie*, dwupokojowe mieszkanie, z kuchnią,

z wodą oraz oddzielnym wychodkiem. Zamieszkali w jednym z domów osiedla, zwanych przez miejscowych „numerami”. Były to należące do huty kamieniczki z białego wapiennego kamienia, których narożniki ścian, wnęki drzwi oraz okna obramowane były wiśniową cegłą klinkierową.

Jego matulka zawsze, zawsze dokąd starczało jej sił, dbała o porządek, jego tatko zresztą też. Obydwoje strasznie byli zborni oraz praktyczni. Odczuwali coś więcej niż potrzebę schludności. Czyste, zadbane mieszkanie dawało im poczucie bezpieczeństwa, przynosiło spokój. Jego rodzice mogli wówczas bez trwogi spojrzeć w przyszłość – mieli szansę załapać się na optymizm.

On swojego tatusia zapamiętał jako żyłastego, szczupłego, wysokiego mężczyznę, który często się uśmiechał i nigdy nie podnosił głosu. Najbardziej utkwiły mu w głowie jego ręce: mocne jak konary wyniosłego drzewa, obłożone pasmami pożytecznych mięśni, bez zbędnej warstwy tłuszczu. Długie palce rąk ojczulka, mimo codziennego półgodzinnego moczenia w miednicy, zawsze miały ciemny nalot. Mówił, że to od ciężkiej pracy i przemysłowych smarów. Te dłonie potrafiły wszystko naprawić, wszystko zrobić – potrafiły przywrócić do używalności sfatygowany rower, posadzić warzywa i kwiaty na działce, pokroić równo chleb, obrać ziemniaki, pomalować ściany mieszkania, a przede wszystkim potrafiły objąć czule swoją żonę, a jego mamę – potrafiły przytulić kruchość matulki.

Jego tatuś przyjaźnił się z panem Zygułą, starszym od niego o kilkanaście lat elektrykiem z tego samego wydziału. Pan Zyguła miał zwichrowane życie, jak większość ludzi z tego pokolenia. Urodził się w „numerach”, od chłopaka pracował w hucie. W czasie okupacji na gruźlicę zmarła mu żona. Nie mieli dzieci, pan Zyguła został sam. Mając dużo czasu, udzielał się po wojnie, gdzie tylko mógł: wstąpił do partii, przystał do „ormowców”, gardłował w związkach i w Radzie Zakładowej. Wszędzie go było pełno. Ludzie w pracy, sąsiedzi w dzielnicy, wszyscy w okolicy akceptowali aktywność pana Zyguły. Ludzie zgadzali się na niego, bo był jednym z nich, a poza tym wygląd miał jowialny, przypominał bardziej zaradnego proboszcza niż robotnika z wielkiego przemysłu. Takich osobników się po prostu lubi. Do ich mieszkania pan Zyguła zachodził regularnie, zwykle w niedzielne popołudnie. „Mamusia częstowała go wówczas herbatą, powidłami z wiśni i ciastem z posypką. Wszystko mu zawsze smakowało”.

Elektryk Zyguła podczas tych wizyt opowiadał o tym, jak ciężko się żyło w dawnych czasach. Według niego teraz nastał polityczny porządek, który dla biednych ludzi jest dobry, sprawiedliwy i nigdy nie przeminie. Mówił, że dzisiaj młodzi powinni być szczęśliwi, bo mogą się swobodnie uczyć, a w przyszłości nie będą mieli żadnych problemów w znalezieniu pracy.

Jako rodzina tym różnili się od sąsiadów, że nie chodzili do kościoła. Nie wiedział, co było tego przyczyną. Może za tym stały złe, dawne wydarzenia, po których jego rodzice utracili wiarę w wieczność. Zresztą on sam też nie odczuwał potrzeby widoku księdza w sutannie ani kontaktu z chłodem kościoła. Razem byli gdzieś z boku.

W sześćdziesiątym roku zaczęło im się powodzić naprawdę dobrze: zostali właścicielami telewizora „Smaragd” i małej łódzki.

„Poza tym żyliśmy jak inni w tej dzielnicy – przewijał teraz szybko obrazki sprzed kilku lat – na co dzień rodzice tyrali na trzy zmiany, przy czym tatuś dodatkowo w jakimś dziwnym systemie czterobrygadowym. Pamiętam, że kiedy wracałem ze szkoły, zawsze któreś z nich odsypiało nockę. Nie w każdą niedzielę mogliśmy wspólnie zasiąść do obiadu, ale jak już się nam taka trafiła, to wtedy naprawdę mieliśmy czas dla siebie. Latem często były wyprawy za miasto. Tatuś zabierał wówczas swoje wędki, układał wałówkę w plecaku, mamusia zaś wkładała do wiklinowego koszyka emaliowaną bańkę z kompotem i dwie butelki z herbatą. Tak wyposażeni wsiadaliśmy do pociągu, który wiozł nas kilkanaście kilometrów za miasto,

nad Wartę. Po dotarciu na miejsce, ja z mamusią wdrapywałem się na wysoką skarpe. Patrzyłem później w dal, bo nie ma piękniejszego widoku na tym świecie niż rzeka wijąca się przez zielone łąki. W tym czasie na brzegu pod skarpe tatuś rozebrany do majtek stał bez ruchu z wędką po kolana w wodzie – na tle skrzących się w słońcu tęczyowych grudek mokrego piasku wyglądał naprawdę posągowo. Byliśmy chyba szczęśliwą rodziną – pomyślał – chociaż nie byliśmy podobni do innych rodzin. Byliśmy szczęśliwi na swój sposób”.

Skończył wtedy trzynasty rok życia. „Z tatusiem rozstaliśmy się przed pięciu laty” – odtwarzał tamto wrześnieowe popołudnie. W dzień urodzin mamusi do ich mieszkania przybyli posłańcy czarnej nowiny: przyszedł pan Zygula ze Zjawińskim z Rady Zakładowej. Przynieśli w oczach strach, przywlekli też zwątpienie. Później mamusia długo płakała. To był jeden z najtragiczniejszych wypadków w historii walcowni bruzdowej, a było ich tam zawsze za dużo. Tego dnia piękne, żyłaste ręce tatusia trzymające hutnicze kleszcze na długich dźwigniach nie wykazały się zręcznością ani czujnością. Coś poszło nie tak podczas czynności przerzucania ognistej wstęgi z transportera rolkowego. Może tatko w tym momencie myślał o tym, co kupić swojej żonie na urodziny. Zazwyczaj przynosił jej czekoladę w żółto-brązowym opakowaniu o egzotycznej nazwie „Java”. Niestety, mamusia nie dostała urodzinowego prezentu.

Śmiertelna struna rozżarzonej do białości stali wystrzeliła w górę i oplotła tułów ojczulka. Nie pomogła wykonana z grubej blachy ścianka ochronna. Na ratunek nie było najmniejszej szansy. Koledzy ojca z tamtej zmiany ledwo zebraли strasznie pokiereszowane ciało. On, jego syn, nie zobaczył go nawet w trumnie. Z przebiegu odbytego później pogrzebu nic nie zapamiętał, bo porażający żal zrobił swoje. Pierwszy raz w życiu zrozumiał, co to jest bezradność.

Na emaliowanym cyferblacie z rzymskimi cyframi strzałki wskazówek zegara przesunęły się na trzecią.

Powrócił myślami do tego czasu, kiedy po ukończeniu podstawówki poszedł do szkoły zawodowej. W poniedziałki, we wtorki, także w środy kierował swoje kroki do szarego budynku stojącego w pobliżu parku. Na lekcjach uczono go różnych rzeczy, bardziej lub mniej ciekawych. Drugą zaś część tygodnia, od czwartku do soboty, wypełniał machaniem pilnikiem przy imadle w warsztatach na terenie huty. W ten oto sposób takich jak on małolátów przygotowywano do wykonywania zawodu ślusarza. Dodatkowo niektórzy nauczyciele próbowali formować ich na ludzi nowego ustroju. Pan Zbrojny, dyrektor zawodówki, przodował w tej misji. Przy każdej okazji głosił wyższość tego, co jest teraz, nad tym, co było w naszym kraju przed trzydziestym dziewiątym rokiem. Z błyskiem w oczach mówił o pięknej przyszłości czekającej na młodych ślusarzy. Tyrazy pana dyrektora przypominały mądrości wypowiedane przez pana Zygulę.

W szkole zakolegował się Piotrkim Puchałą, synem miejscowego piekarza, którego wszyscy nazywali Mefisto. Nikt naprawdę nie wiedział, dlaczego do tego chłopaka przyłgnęła taka piękna ksywka. Może dlatego, że ten koleś wydawał się nieco dziwny, trochę tajemniczy. Mefisto był starszy od niego o dwa lata, miał za sobą nieudaną naukę w liceum; wyróżniał się wzrostem, dobrymi ciuchami, dosyć swobodnym stosunkiem do szkolnych obowiązków oraz długimi czarnymi włosami. Pierwszy w szkole nosił fryzurę „à la Beatles”, co nie wzbudzało entuzjazmu dyrektora Zbrojnego.

Z Mefistem szybko znalazł wspólny język. Okazało się, że ten osobliwy kandydat na ślusarza ma podobne do niego zainteresowania. Połączyło ich Radio Luxembourg. Na przerwach w szkole często rozmawiali o piosenkach wysłuchanych w trakcie nocnych audycji tej stacji. Podniecali się rzeczą, która docierała do nich z dalekich stron, praktycznie z innej planety.

Ostra, zbudowana na rytmie muzyka z „Luxy” spowodowała, że odmienne niż dotąd zaczęli patrzeć na otaczający ich świat.

Z trudem, męcząc język, wymawiali angielskie nazwy zespołów i tytuły piosenek. Tutaj Mefisto był dużo lepszy od niego, rzucał wyszukane słowa, używał zwrotów tajemnych, takich jak: *blus, rok, rytmenblus, fraza, stopa, bas, gary, sol, czynel...* czynel słońce z blachy, brekmaszyna – i jeszcze wielu innych mistycznych nazw. Poza tym Mefisto liźnął trochę angielskiego, uczył się tego języka przez dwa lata, zanim go wyrzucono z liceum w Katowicach.

Tak się złożyło, że w tym samym czasie w miejscowym kinie puszczała „The Beatles” – film pełen pięknych, intrygujących piosenek. On sam, w pojedynkę, zaliczył w sumie pięć seansów. Otworzył się przed nim celuloidowy muzyczny świat, czarno-biały, ale jakże piękny. Słuchając płynących z ekranu piosenek, otrzymał dawkę ciepła, sierp światła, kapkę radości pozwalającą zapomnieć o rzeczach pospolitych; najważniejsze jednak było to, że dostał chwilowe znieczulenie, łykał pabialginę na Saturna.

W tym samym czasie trafił w tygodniku „Na Przełaj” na angielski tekst utworu „A hard day’s night”; poprosił Mefista, swojego mądrego kolegę, o przetłumaczenie tej piosenki, ale niewiele z tego wyszło. Było tam coś o napracowaniu się jak pies albo o spaniu jak kłoda. Mimo korzystania ze słownika, nie dali rady temu zadaniu. Przyrzekli sobie, że kiedyś w lepszych warunkach, zaczną się solidnie uczyć angielskiego.

Pewnego dnia po szkole Mefisto zaprosił go do swojego mieszkania nad piekarnią. Na adapterze marki Bambino puścił mu z plastikowej żółtej pocztówki świdrujące „Satisfaction”. W tym czasie rodzice Mefista byli zajęci wydawaniem pracownikom worków z mąką przeznaczoną do nocnego wypieku. Mogli więc bez przeszkód, Mefisto i on, zanurzyć się w tych niespotykanych dźwiękach, w tej podniecającej vibracji wzmacnianej obuchem elektrycznego basu.

– „Satisfaction” to Stonsi, dużo lepsi od Beatlesów – wyrzucił z siebie Mefisto.

W radio „Luxy” też często grali ten utwór, słuchał go potem wielokrotnie, zawsze zachłannie. Wtedy pojął, że za brzmieniem „Satisfaction” przypominającym rozrywanie suchej deski kryje się ból z gniewem, gniew z buntem. Nie rozumiejąc tekstu, wyczuł, że dostał przesłanie skierowane do kolegów podobnych do niego, do takich, co zaczynają buszować w dorosłości.

Dzisiaj już wiedział, że wszystko to, co przez tyle lat mówili do niego dyrektor Zbrojny i elektryk Zygula było beużytecznym strzępieniem jęzora, jałowym trudem, bezsensem, stertą złomu wyrzuconą na śmietnik. Natarczywe wyobrażenie Zbrojnego z Zygulą o sposobie urządzania świata przegrywało z bluesem granym na elektrycznych gitarach.

Zaraz po ukończeniu zawodówki, dzięki znajomościom pana Zyguli przyjęto go do brygady ślusarzy zajmujących się Saturnem. Na początku lipca jako robotnik przekroczył bramę huty. Tydzień później jego mama, jego drobna matulka po raz pierwszy zemdląła podczas nocnej zmiany. Na krótko zabrano ją do szpitala. Po miesięcznym leczeniu poszła ponownie do pracy. Niestety, omdlenia powróciły. Okazało się, że jej płuca i serce są w bardzo złym stanie – trzeba się było rozstać z przędzalnią. Tak więc, kiedy on zaczynał chodzić do roboty w hucie, to jego mamusia została rencistką.

W zwykły dzień był na nogach już o piątej rano. Szybko wpadł w rutynę porannego postępowania. Doprowadzał się do porządku nad miednicą z zimną wodą. Potem, już ubrany, poprawiał kołdrę śpiącej mamie. Na stoliczku przy jej łóżku stawał talerzyk z tabletkami zapisanymi przez lekarza. Wyciągał z lodówki, przygotowane wcześniej wieczorem, zawinięte w biały papier kromki chleba posmarowane smalcem. Śniadanie umieszczał w plastikowej aktówce i wychodził z domu. Schodził pustą ulicą w kierunku dworca kolejowego. Idąc

dostrzegał znajome postaci, sylwetki odmienne, a zarazem podobne, tworzyli wspólnotę szarości, tłum podążający w codzienność. Milcząc palili pierwsze papierosy.

Do huty można było dotrzeć na dwa sposoby: albo idąc po szerokim betonowym moście wznoszącym się nad torami, albo tak jak on to zwykle robił, na skrót, przez dworcową stalową kładkę, od której odchodziły schody na perony. Zyskiwał w ten sposób około dziesięciu minut. Był jeszcze inny powód wyboru tej trasy. Lubił patrzeć na sunące dołem pociągi.

Po torach, nad którymi dwa razy dziennie przechodził do pracy i z pracy, pędziły z łoskotem różne składy: bezbarwne towarowe, brudne podmiejskie, pewne siebie aroganckie pospieszne, a czasami pojawiały się eleganckie międzynarodowe. Te ostatnie niosły z sobą powiew lepszego świata, błysk piękniejszego życia.

W listopadzie ubiegłego roku taki eksportowy pociąg, „wiedeńczyk”, z nieznaney przyczyny został zatrzymany przy peronie dworca naprzeciwko huty. Spiesząc wtedy do pracy, przed szóstą rano zobaczył rozświetlone okna wagonu restauracyjnego. We wnętrzu dojrzał twarze mężczyzn i kobiet siedzących przy stołach przykrytych białymi obrusami. Jakiś elegancki typ w szarym garniturze zwracał głowę znad talerza do krótko obciętej blondynki w różowej elastycznej bluzeczce. Zobaczył przelotną odmienność. Tamten obrazek zapadł w jego pamięci.

Obserwacja pędzących rannych pociągów wywoływała u niego rozdrażnienie połączone z arogancką dążnością do zmiany pomysłu na życie.

Po przekroczeniu portierni pilnowanej przez strażników w czarnych mundurach skręcał do baraku zbudowanego z zielonych desek. Tam w szatni przysposabiał się do pracy w pandemonium wielkiego pieca: wdziewał zawsze poplamiony smarami kombinezon z granatowego drelichu, zakładał ciężkie buty, pamiętał o roboczych rękawicach, obowiązkowo krył głowę pod czerwonym kaskiem, zarzucał na ramię parcianą torbę z narzędziami. Tak ruszał w surową przestrzeń. Nie miał innej możliwości. Piec – władca kapryśny, nienazarty smok, dysząc wzywał wszystkich, żeby się nim natychmiast zajęli, do jego dyspozycji musiała być służba.

Pracy Saturna, życiu tego brzydala towarzyszyło murmurando w wykonaniu trzech wysmulnych nagrzewnic, obok basowały wentylatory, szumiały dmuchawy, wyły pękate elektryczne silniki. W tym samym czasie wózek skipu rytmicznie toczył się aż na sam szczyt hutniczej paskudy, podążał prosto w otwór zwany gardzielą, na niższym poziomie dźwięk transporterów mieszał się ze śpiewem różnego rodzaju przekładni. Ta metalurgiczna suita zawsze wybrzmiewała w dynamice *fortissimo possibile*. Wszystkie urządzenia zwarte były w jeden organizm. W ruchu bezustannym, przy systemie nieuznającym żadnych przerw, stale coś odmawiało posłuszeństwa, coś się rozwalało, jakaś cząstka pękała i zawodziła z jękiem. Usuwanie awarii należało do obowiązków brygady, do której przyszło mu należeć. Pracował pod okiem dwóch „dinozaurów”, pod nadzorem dwóch szorstkich ślusarzy o pomarszczonych twarzach; obydwoj pamiętali jeszcze przedwojenne czasy. Jego rola w tym zgrzytającym odmęcie polegała przede wszystkim na zdejmowaniu i zakładaniu rozmaitych kół napędowych. Koła, z którymi się zmagali, były różnej wielkości, miały też odmienne profile boczne, inne rowki i wgłębienia, większe lub mniejsze wyżłobienia. Niektóre z nich swoimi wymiarami przypominały koła parowozów, inne trzymały średnice bochnów wiejskiego chleba, trafiały się też kółka niewielkie, wielkości pokrywek do garnków kuchennych. Czasami wymieniany element za nic nie chciał się przesunąć na gładkiej powierzchni wału. Wymiana trwała wówczas kilka godzin, męczyli się wtedy w trójkę co niemiara, a jeszcze więcej przeklinali. W takiej sytuacji najbardziej skuteczna okazywała się metoda polegająca na użyciu dwukilogramowego mocnego młota ślusarskiego. Zaszczyt „napierdalania” ciężkim obuchem przypadał zawsze jemu. Jeżeli przypadkiem dochodziło do tego w hali lejniczej, w której co jakiś czas płynęła

struga czerwonego ciekłego metalu, a w powietrze strzelały girlandy iskier, to on w takiej scenerii czuł się niczym Hefajstos w kuźni Etny. Znał tę grecką bajkę z amerykańskiego filmu obejrzanego kiedyś w telewizji.

Przez pierwsze miesiące od rozpoczęcia pracy wracał do domu mocno zmęczony, bolały go plecy, miał zakwasy w ramionach, czuł się upokorzony przez niedoskonałość własnych mięśni. Po południu rzadko gdzieś wychodził, zresztą nie bardzo miał na to czas. Większość powinności związanych z utrzymaniem mieszkania była teraz na jego głowie. Na szczęście matulka zaczęła wstawać z łóżka i w miarę swoich sił starała się coś zrobić w domu. Wieczorem, siedząc przed telewizorem, moczył swoje nadwyrężone łapy w miednicy wypełnionej wodą z mydlinami. Zauważył, że na skórze rąk, od nadgarstków po końce palców, ma ciemny nalot, pamiętał podobny odcień na dłoniach swojego tatki.

Kiedyś, leżąc w łóżku przed zaśnięciem, zrozumiał znaczenie słów Beatlesów: „I’ve been workin’ like a dog. It’s been a hard day’s night, I should be sleepin’ like a log”.

Na zegarze zobaczył czwartą. Noc nie chciała ustąpić.

Kiedy on poszedł do pracy przy Saturnie, to Mefisto znalazł sobie inny sposób na życie. Ten jego kolega, dziecko miejscowych piekarzy, nie był zainteresowany chodzeniem na gwizdek do zamkniętej fabryki. Zajął się teraz handlem obwoźnym. Podróżując pociągami po kraju, rozwoził obuwie wyprodukowane przez okolicznych szewców. Mefisto praktycznie przejechał całą Polskę. Taszczył swój towar w dwóch potężnych fibrowych walizach. Wstawiał buty do powstających tu i ówdzie prywatnych sklepów z galanterią. Zaliczał też targowiska w turystycznych miejscowościach. Najlepiej szedł mu handel na bazarach i w halach Trójmiasta. Podobno miał z tej działalności niezły zarobek.

Widywali się teraz rzadko, raz na kilka tygodni. Podczas tych spotkań Mefisto sprzedawał mu jakieś zachodnie ciuchy, czasami przywoził płyty angielskich zespołów, a najważniejsze – pięknie opowiadał o swoich przygodach.

Niedawno z Mefistem i jeszcze z dwoma starymi kolegami z klasy w majowe sobotnie popołudnie poszli do klubu o nazwie „Hutnik”, który mieścił się w budynku hotelu robotniczego. Tam od dawien dawna, zawsze w szósty dzień tygodnia, przygrywał do tańca zespół pod kierownictwem akordeonisty, pana Wargi. Od lat spływały na parkiet salki klubowej leciuteńkie walczyki, posuwiste fokstroty i inne miłe kawałki. Dawniej mieszkańcy tego miasta dobrze się bawili przy tym, co im oferował pan Warga z kolegami. Muzyka grana w ten sposób dawała ludziom dużo radości, przynosiła chwile zapomnienia, a nawet więcej: ona wzmagała w nich apetyt na życie po niedawnych ciężkich przeprawach. W latach sześćdziesiątych wśród amatorów tańca nastąpiła zmiana. Teraz zaczęli pojawiać się młodzieńcy o coraz dłuższych włosach oraz dziewczyny w coraz krótszych spódnickach. Niestety, tacy nie potrafili docenić maestrii pana Wargi. Nie chcieli już tańczyć przy brzmieniu akordeonu, nie pasowały im te rytmy. Z parkietu zaczynało wiać nudą.

Tego dnia, kiedy oni się tam znaleźli, było podobnie. Po jednej stronie sali przy okrągłych stoliczkach siedziało kilka dziewczyn, w tym fryzjerka Lufa, która miała najpiękniejsze, a przy tym najdłuższe nogi w całym mieście. On z Mefistem, inni też, zajęli stoliki pod oknem. Ktoś przyniósł z bufetu kawę w szklankach, niektórzy pili oranżadę prosto z butelek, wszyscy kopcili papierosy bez filtrów. Trochę to taneczne wyczekiwanie trwało. Wreszcie, w przerwie pomiędzy poszczególnymi kawałkami wstał Mefisto i ryknął w kierunku zespołu:

– Panie Warga, bluesa! Panie Warga, rocka!

A pan Warga, który przez tyle lat tak się starał, teraz nie potrafił zagrać ani rocka, ani tym bardziej bluesa.

W tej sytuacji ruszyli do drzwi. Pierwszy szedł Mefisto, a za nimi wyszli inni, w tym długonoga Lufa z koleżankami. On, wychodząc razem z Mefistem zauważył, że panu Wardze oraz członkom jego zespołu było naprawdę przykro.

Po wyjściu z „Hutnika” objął ich ciepły wieczór. Przed otwartym jeszcze sklepem spożywczym zrzucili się naprędce na kilka win owocowych. Później z tymi spontanicznymi zakupami poszli do parku położonego przy ich starej szkole.

– Musicie wreszcie coś z ty zrobić – zaczął Mefisto, pociągając wcześniej z butelki spory łyk wina – przy takiej muzyce to się wykończycie. Jeżdżę dużo po kraju i widzę, jak jest w innych miastach.

Patrzyli na niego z zachwytem. W świetle księżycy i parkowej latarni, z włosami do ramion, w dżinsach *Lee*, w błękitnej polówce, jawił się im niczym prorok.

– Opowiedz nam, co ciekawego ostatnio widziałeś – pierwszy go zagadnął, bo chciał, żeby wszyscy usłyszeli wieści z eleganckiego świata.

– W zeszłym miesiącu spędziłem sporo czasu w sopockim Non Stopie – rzucił tajemniczo Mefisto, wypuszczając dym z papierosa.

– „Nonstop”, a co to jest? – zapytała zdziwiona Lufa.

– Bez przerwy... *non-stop* to po angielsku znaczy bez przerwy – tłumaczył zadowolony Mefisto. – Ludzie tam tańczą cały czas, mogą bawić się przy prawdziwej muzyce. Dwa lata temu w Spocie, przy jednej z uliczek, blisko mola, niedaleko plaży otworzono letnią kawiarnię muzyczną. Powstała scena, a obok niej betonowa przestrzeń do tańczenia. Nad tym miejscem zawieszono duży brezentowy dach. Rockowe kawałki grają tam teraz muzycy z Trójmiasta. Świetnie się spisują. Mają aparaturę z wykopem, a dźwięk elektrycznych gitar niesie się z Non Stopu aż do Szwecji.

– Jak tam musi być pięknie – westchnęła Lufa – pewnie tam się trudno dostać.

– Ja osobiście z wejściem do Non Stopu nie mam żadnych problemów – odparł z dumą Mefisto – znają mnie, nawet trochę mnie lubią. Swoją drogą masz rację, w to miejsce podobni do nas pchają się tłumnie. W Non Stopie spotkasz ludzi z całego kraju, każdy pragnie dotknąć czegoś odmiennego. Szczera muzyka, ostry rock, zmywa z nas kurz codziennego trudu.

Lufa spojrzała ciepło na Mefista, lekko pogłaskała jego długie włosy.

Butelki z winem zostały opróżnione, więc wszyscy zaczęli się rozchodzić. Mefisto z Lufą poszli razem w ciemną alejkę w kierunku ławeczki stojącej w miejscu zasłoniętym gęstymi krzakami jaśminu.

On pobiegł do domu. Obiecał mamie, że wróci jak najwcześniej.

Przed wpół do piątej zrobiło się całkiem widno.

Przez okno w kuchni, na tle porannego nieba, widać było teraz czarny masyw wielkiego pieca. Pierwsze czerwone promienie porannego słońca zaczęły nablyszczać zewnętrzny pancerz Saturna. Patrząc w przemysłową przestrzeń, wyczuwał nadejście decydującej chwili, po której nie będzie już odwrotu. Ostatnio coraz mocniej zastanawiał się nad swoją tożsamością i przyszłością.

„Kim jestem w tym świecie? A w ogóle to jaki jest ten świat? – te pytania siedziały w nim od dłuższego czasu. – Będę musiał dokonać wyboru. Rzucę pracę, opuszczę to miasto. Większość moich kolegów nigdy nie zdecydowałaby się na taki krok”.

Rozstanie z hutą należało zrobić formalnie, urzędowo, zgodnie z przepisami. Powinien napisać wypowiedzenie, a potem zanieść je do kierownika, pewnie też do działu kadr.

„Gdy tylko to zrobię, to zaraz pojawi się pan Zyguła – przewidywał taki rozwój wydarzeń – Zyguła wytoczy ciężkie działo. Wypomni mi wszystko”.

Nie zamierzał powtarzać pracowitego życia swoich rodziców, nie chciał podążać ich śladami. „Czy kiedyś znajdę w sobie tyle odwagi, żeby odmienić moją codzienność?! Mam zamiar iść swoją drogą, nie dam się zatrzymać w bezruchu, żeby tylko nikt nie próbował mnie od tego odwieść” – rozmyślał.

Dodatkowo siedziała mu głowie opowieść Mefista. Bardzo chciał wejść pod dach Non Stopu, zobaczyć tych niepokornych, oddanych rytmowi muzyków, tych „dotkniętych *rockiem*”, tych od „I can't get no satisfaction”.

Przypomniał też sobie, że nigdy w życiu nie był nad morzem.

„Opuszczenie tego miejsca jest głupotą” – stwierdził, a mimo to w tej samej chwili podjął decyzję o wyjeździe.

Zegar wiszący na ścianie przesłał mu dźwiękowe ostrzeżenie – właśnie wybił piątą godzinę. Nigdy nie zdołał rozwikłać, dlaczego ten chronometr miał niemieckie pochodzenie. Powinien był już wyjść z domu na uliczkę prowadząca do kładki nad peronami. Saturn za oknem zgrzytał coraz groźniej.

Ruszył się z krzesła przy oknie. Z szafy wyciągnął stary brezentowy plecak, z którym zawsze jeździli nad Wartę. Zaczął się pakować.

Do wnętrza wrzucił rzeczy niezbędne: zrobiony na drutach wełniany sweter, dwa białe podkoszulki, kąpielówki, przybory do mycia i golenia w ceratowym woreczku, inne niezbędne drobiazgi. Te przygotowania uspokajały jego myśli.

Nałożył na siebie flanelową koszulę w czerwonej kratę, wciągnął letnie spodnie z granatowego caju. Jego ubiór dopełniła kupiona miesiąc temu od Mefista zielona amerykańska bluza, w której przepastnych kieszeniach schował pieniądze i dokumenty.

Ostatni raz rzucił okiem na mieszkanie. Przyglądał się tremo, trójdzielnemu lustru na dębowej szafce, przedwojennej fornirowanej szafie na ubrania, okrągłemu stołowi, któremu towarzyszyły cztery tapicerowane krzesła, pasiastemu chodnikowi rozłożonemu na wypastowanej podłodze z grubych desek.

Spojrzał na łóżko matki, na kaflowy piec w kuchni, na makatki na ścianie, na porcelanowe pojemniczki na przyprawy. Starał się wszystko zostawić w idealnym porządku.

Zamknął starannie drzwi. Nie wiedział, kiedy i czy w ogóle będzie chciał powrócić w to miejsce.

Na dworze kropił letni deszczyk, było ciepło, rześko, wyjątkowo przyjemnie. Szedł szybkim krokiem z plecakiem na ramionach w kierunku stacji.

Z kładki nad torami zobaczył, że na dole stoi długodystansowiec, czyli pociąg dalekobieżny, pośpieszny. Przeskakując po dwa stopnie, zbiegł na betonową platformę. Na drzwiach wagonu dostrzegł blaszaną tabliczkę, czerwone litery na białym tle tworzyły napis: Bielsko-Biała – Gdynia.

Pasażerowie wyglądali przez okna. Dwóch konduktorów w czarnych mundurach stało na świeżym powietrzu przed składem pociągu. Za ich plecami wślizgnął się przez otwarte drzwi do jednego z wagonów drugiej klasy. Usiadł wygodnie w pustym przedziale.

Teraz warczenie Saturna przestało do niego docierać. Stalowy potwór zamilkł, dla niego już nie istniał, zmora odpłynęła niczym mgła.

Szarpnęło, świat za oknem zaczął się przesuwać, mignął mu zarys przędzalni, w której jeszcze niedawno pracowała jego mamusia, jego matulka. Teraz pociąg płynnie rozpoczął swój bieg. Poczul ulgę, przed nim było nieznane. Tylko tyle, nic więcej.

Częstochowa, marzec 2022 r.

Zdzisław Opałko

GRZESZNOŚĆ, SPOWIEDŹ I PIOSENKA

(mała forma dramatyczna)

Występują:

Anna, młoda kobieta

Krzysztof, młody ksiądz katolicki

Biskup

Zalewski, lekarz, ordynator

Zakonnica

Starsza Pani

Sekretarka

Pielęgniarka Włodek

Strażnik I

Strażnik II

Scena I

Scena zaciemniona. Słychać skrzypienie ciężkich drzwi, a następnie stukot damskich obcasów. Reflektor wylania idącą rozglądającą się kobietę. Kobieta wzdryga się, gdy słyszy odgłos zamykających się drzwi. Wzdryga się powtórnie, gdy słyszy męski głos dobiegający z zaciemnionego miejsca. Rozmowa przebiega w spokojnej tonacji.

Krzysztof: Tu jestem... chwila ciszy No, śmiało, zapraszam!

Z mroku wylania się konfesjonał, w środku nikogo nie widać, półmrok.

Śmiało, śmiało! *kobieta podchodzi* Proszę uklęknąć, to jest konfesjonał, a pani jest w kościele.

Anna: Ja nie przyszłam się modlić ani spowiadać, tylko... tylko... *Nie klęka*

Krzysztof: Tylko po co?

Anna: Porozmawiać, pomyśleć...

Krzysztof: Tutaj? Z kim?

Anna: Też chciałabym to wiedzieć...

Krzysztof: Droga pani, nie mam nastroju na żarty! To nie jest miejsce i czas na rozmowę.

Mam dyżur w konfesjonale po to, aby wysłuchać grzesznika, który przyszedł wyznać swoje grzechy, prosić Boga o przebaczenie, oczywiście żałując za to wszystko, co złego uczynił. Po to ja, ksiądz, tu jestem – a żeby wysłuchać wyznania grzechów i udzielić rozgrzeszenia. Tego przecież chcecie, po to tu przychodzicie. I tego chce i wymaga nasz Kościół. Ale najpierw, moja kochana, trzeba się przygotować, przyjrzeć się swoim uczynom, zastanowić: jakie grzechy, ile razy, z kim, itd. Myśleć trzeba było wcześniej! Czas ucieka – wieczność czeka...

Anna: Ja nie żartuję... Ja naprawdę... Nie, to bez sensu. Przepraszam, pójdę sobie.

Krzysztof: Może jednak? Przystąpi pani do spowiedzi, skorzysta z okazji, zapraszam do konfesjonału.

Anna: Nie, nie... dawno nie byłam...

Krzysztof: No właśnie, to widać. Od kiedy?

Anna: Co – od kiedy?

Krzysztof: No, od jak dawna nie była pani u spowiedzi.

Anna: Od urodzenia...

Z konfesjonaułu słyhać odgłos spadającej książki

Krzysztof: Dziecko, czy ty w ogóle jesteś ochrzczona?

Anna: Tak, jestem, wiem to na pewno! Miałam w domu takie ładne obrazki, zdjęcia... Nie, to chyba z tej, no, komunii, tak, z komunii! Pamiętam, bo dostałam na prezent taką śliczną torebkę. Musiałam być ochrzczona, bo nie mogłabym iść do komunii. Pamiętam to zdjęcie: mama z tatą stoją obok mnie, ja w środku w białej sukience trzymam taką długą, grubą świecę, taką, jaką babcia zapalała, gdy była burza, czyli gromnicę...

Ponownie słyhać spadającą książkę i słowa:

Krzysztof: Chryste Panie!

Anna: Co ksiądz powiedział?

Krzysztof: Nic do pani, tak tylko... Biedne stworzenie!

Anna: Ja właściwie nie chciałabym rozmawiać z jakimś księdzem ani z kimś podobnym, tylko... tylko...

Krzysztof: Tylko z kim?

Anna: Z kimś spokojnym, cierpliwym, kto nie przerywa, nie wtrąca się, nie zniechęca, tylko słucha. Podobno Pan Bóg taki jest. Ktoś mi powiedział, że do Niego można zwracać się w każdej sprawie i wszędzie, więc w kościele chyba też... Może dlatego tu przyszedłam... nie wiem... Bałam się wchodzić.

Krzysztof: Bała się pani? Czego?

Anna: Nie wiem... Tu wszystko takie duże, majestatyczne, zimne... Nie chcę się spowiadać, tak nagle klękać przed kimś, o coś prosić, za coś żałować. Chciałabym nie tyle o czymś myśleć, co właśnie porozmawiać, tak po prostu, zwyczajnie...

Krzysztof: O czym?

Anna: O wszystkim: o życiu, o sobie, o ludziach, o różnych sprawach.

Krzysztof: Drogie dziecko! Tobie bardziej potrzebny jest psycholog niż ksiądz, wizyta u specjalisty. Radziłbym pójść do naszej przyparafialnej poradni, gdzie dyżuruje...

Anna: Proszę mi nie radzić! Wszyscy chcą doradzać, pouczać, instruować – i co z tego? Wcale mi od tej dobroci, troski nie jest lepiej... nie zmieniło się na lepsze, ale pogorszyło. Ja wiem, co mam robić, tylko nie zawsze wiem, jak. I proszę nie nazywać mnie dzieckiem! Dzieckiem to ja byłam dawno temu. Tak dawno, że nie pamiętam, kiedy to było. Pamiętam tylko, że bardzo nie chciałam nim być... bałam się, płakałam... Chciałam być dorosła, silna, tak silna, by ukraść samochód i odjechać nim jak najdalej!

Krzysztof: Proszę się uspokoić...

Anna: Jestem spokojna. Chyba popełniłam błąd, przychodząc tutaj.

Krzysztof: Ależ nie, moja droga, skierowałaś swoje kroki do kościoła, bo Duch Święty cię natchnął, tak jak wielu innych ludzi!

Anna: Nie czuję, aby mnie ktoś lub coś natchnęło. A ludzie nie przychodzą tu rozmawiać z Bogiem, tylko odprawiać jakieś rytuały... i wszystko robią pod dyktando, na znak, polecenie, na sygnał, aż przykro na to patrzeć.

Krzysztof: Chyba pani przesadza...

Anna: Przesadzam? Dzwonek – wstają, dzwonek – siadają, dzwonek – znowu wstają, klękają, śpiewają, przestają śpiewać, odpowiadają – i tak w kółko, jak bezmyślne marionetki.

Krzysztof: Ależ proszę pani! To nie bezmyślność, lecz przejaw wiary, zaufania, że to, co proponuje w swej treści i formie Kościół jest słuszne, potrzebne, prowadzi do zbawienia!

Anna: To dlaczego wszyscy są tacy smutni, nie ma w nich radości? Nawet wesołe teksty kołęd śpiewają jak na pogrzebie: *nuci grobowym tonem:* „weselmy się, radujmy się...” Ten smutek mnie przeraża, dołuje. Może dlatego weszłam do kościoła, kiedy nie ma w nim ludzi. Chyba zaczynają się schodzić... Muszę iść!

Szybko wychodzi, stukając obcasami, łoskot zamykanych drzwi, cisza, ciemność.

Scena II

Z ciemności wylania się konfesjonał i pozostaje w półmroku. Słychać otwieranie i stukot obcasów. Wylania się Anna i staje obok.

Anna *chrząka znacząco, dalej cisza:* Jest tam ktoś?

Z konfesjonału słychać ciche chrapanie.

Halo! Proszę księdza! *Stuka w konfesjonał.*

Krzysztof: Tak, jestem, jestem! A, to pani! Przepraszam, chyba się zdrzemnąłem. Dzisiaj jakoś nie ma ruchu...

Anna: To ja przepraszam... za wczoraj. Chyba byłam trochę niestosowna wobec...

Krzysztof: Ależ nie szkodzi, nic się nie stało, przeciwnie, to znaczy... dała mi pani trochę do myślenia. Nawet zaimponowała mi pani potrzebą rozmawiania z Bogiem i to w kościele... Powinienem pani w tym pomóc, zachęcić, a byłem taki może zbyt... zasadniczy. A czy dzisiaj przyszła pani do spowiedzi, czy na rozmowę?

Anna: Nie wiem... To znaczy chciałabym może trochę... coś z siebie wydobyć, odrzucić, ale mam problem.

Krzysztof: Jaki?

Anna: Nie mam poczucia winy. Bardziej upokorzenia, opuszczenia...

Krzysztof: Moje dziecko, przepraszam: droga pani, siostro! Nie ma człowieka bez winy, grzechu. Wszyscy jesteśmy grzeszni, każdy ksiądz, nawet papież, też muszą się spowiadać. Najwięksi święci popełniali grzechy w chwili słabości. Jesteśmy tylko ludźmi. Już rodzimy się obciążeni grzechem pierworodnym. Poza tym, nawet gdy ktoś czuje się niewinny, to wcale nie znaczy, że jest niewinny. Może mieć fałszywe poczucie swojej niewinności.

Anna: Albo mieć fałszywe poczucie winy i być niewinny. Nie przesadzajmy z tym doszukiwaniem się wszędzie jakiejś winy, grzechu, zła... w sobie i w innych. Za co mam być stale obwiniana, czego mam żałować? Że żyję, mam ciało, odczuwam przyjemność, pragnę miłości, chcę być szczęśliwa? Ból jest bezgrzeszny, a przyjemność prawie zawsze grzeszna? Powinno być odwrotnie! To wy, kapłani, wymyślacie i wmawiacie nam grzechy, poczucie winy, by mieć powód do spowiedzi, zaglądać do naszego wnętrza. Chcecie wiedzieć o nas wszystko, by nami manipulować, sterować, wykorzystujecie naszą wiarę, naiwność, niewinność... Dziecko rodzi się w grzechu – co za nonsens! Taki sam jak ten, że Maryja zaszła w ciążę, urodziła i dalej była dziewicą... i jest do dzisiaj. Chyba że zastosoowano metodę *in vitro*, a później cesarkę, ale o tym nie piszą w waszych pismach. Może kiedyś i to dopiszecie, bo coraz mniej ludzi wierzy w te wasze religijne ściemy.

Krzysztof: Podważa pani fundamenty wiary katolickiej, prawdę przekazywaną od wieków!

Anna: Nie prawdę, tylko waszą teorię o niej – a to jest różnica.

Krzysztof: Czego pani chce?

Anna: Szukam siebie i... nie wiem, może Boga, ale tego prawdziwego, nie wymyślonego przez

wiarę i reklamowanego w religijnych pismach. A tych wyznań, różnych religii jest tyle, że można zwariować, i każda ma swojego Boga i swoje pisma. Nie zastanawia to księdza?

Krzysztof: Nasz Bóg jest prawdziwy!

Anna: Jaki wasz, nasz? Czy Bóg może być czyjś? Przynależć do jakiejś grupy, sekty, jednej religii? Dać się w niej zamknąć, ograniczyć do jej doktryn, uzależnić od jej kapłanów? Ma mnie ksiądz za idiotkę?

Krzysztof: Ależ... wcale nie!

Anna: To dlaczego jest ksiądz taki... zasadniczy, powieli wiekowe bzdury? Sutanna do tego upoważnia?

Krzysztof: Kościół jako część społeczności ludzkiej popełnia błędy, ale głosi też prawdę.

Anna: Niech ksiądz będzie poważny! Prawdy nie da się przekazać, wmówić. Trzeba ją przeżyć osobiście, doświadczyć, sprawdzić na sobie, dotknąć, potwierdzić. Cudza prawda jest tylko czyjąś prawdą, nie moją. Powtarzanie cudzych prawd nie zmienia człowieka, nie rozwija go, nie ulepsza dopóty, dopóki nie odczuje jej w sercu, umyśle, w całym ciele, stale pogłębiając. Ja próbuję...

Krzysztof: Ja też!

Anna: Ksiądz tylko siedzi w konfesjonale i powtarza formułki! Jest ksiądz...

Krzysztof: No – jaki?

Anna: Szczęśliwy?

Krzysztof: To zależy, co się przez to rozumie...

Anna: Niech ksiądz nie kombinuje! Być szczęśliwym to... to doświadczać życia w jego przejawach, najróżniejszych. Czy odczuł ksiądz kiedyś prawdziwy strach, przerażenie albo wielką radość, ekstazę, rozkosz? Czuł wiatr we włosach, kamienie pod gołymi stopami, gorący piasek, nieograniczoność? Czy pędził gdzieś jak szalony, śpiewał z radości, śmiał się do łez, wył z bólu, kochał, rozpaczał, nienawidził? Szamotał się z niemocy w sytuacji bez wyjścia? Czy spełniło się coś, o czym marzył, lub zdarzyło coś, o czym nawet nie śnił? A może odczuwał spokój i radość tylko z tego powodu, że niczego nie pragnął, nie oczekiwał, nikogo nie osądzał, nie potępiał? *Chwila ciszy.* Mam prośbę... Nie musi jej ksiądz spełnić...

Krzysztof: Zaryzykuję, słucham.

Anna: Mówmy sobie na ty...

Krzysztof: Słucham?

Anna: Przejdźmy na ty, tak po prostu! Mam na imię Anna. *Po chwili:* No, śmiało, śmiało, tu jestem!

Ksiądz wychyla się z konfesjonatu, rozgląda, Anna odchyła się z klęcznika, na którym od jakiegoś czasu siedziała, podają sobie dłonie.

Krzysztof: Krzysztof...

Anna: Anna...

Szybko wracają na swoje miejsca, chwila ciszy.

Krzysztof: Anno...

Anna: Tak, Krzysztofie?...

Krzysztof: Może na dzisiaj starczy...

Anna: Tak, rzeczywiście... Dziękuję, że znalazłeś dla mnie trochę czasu!

Wstaje i odchodzi, słychać oddalające się kroki.

Krzysztof: Anno!

Anna zatrzymuje się.

Krzysztof: To ja dziękuję!

Kroki, odgłos zamykanych drzwi, cisza, ciemność.

Scena III

Gabinet Biskupa, Krzysztof, ubrany w sutannę, czeka na rozmowę. Wchodzi Biskup.

Biskup: Witam, księże Krzysztofie! Jak to miło, że mimo ogromu zajęć na parafii zechciał ksiądz przybyć na moje wezwanie! Widzę, że zdrowie służy; ta cera, rumieniec, postawa, gęste włosy... Wygląda ksiądz jak młody Bóg! Ale do rzeczy, nie mam zbyt wiele czasu, grupa parlamentarzystów znowu chce się ze mną spotkać w jakiejś ważnej sprawie. Otóż, drogi Krzysztofie, doszły mnie słuchy, że stosuje ksiądz oryginalne metody spowiedzi. Zamiast zachęcać do wyznania grzechów i udzielać rozgrzeszenia, prowadzi ksiądz dziwne rozmowy. Ja nie wątpię, że próbuje ksiądz zrozumieć drugiego człowieka, wczuć się w jego problemy, to dobrze, to bardzo dobrze! Proszę jednak mieć na względzie przede wszystkim dobro naszego świętego Kościoła. Nie zapominać o wymaganych procedurach i obowiązkach. Powiem wprost: nie będę tolerował odstępstwa od zasad i szacunku należnego świętym sakramentom – a takim jest sakrament pokuty – należnego godności kapłana i powagi miejsca, jakim jest kościół! Rozumiemy się? A teraz słucham: co ma ksiądz do powiedzenia? No, słucham!...

Krzysztof: Z całym szacunkiem, księże biskupie, ale nie sądzę, bym dopuścił się jakiegos uchybienia względem Kościoła. Przeciwnie: myślę, że...

Biskup: Ja nie pytam, co ksiądz sądzi i myśli, tylko czy zastosuje się do moich uwag i wskazówek podyktowanych duszpasterską troską.

Krzysztof: Księże biskupie, z całym szacunkiem, ale ja też troszczę się o nasz Kościół i staram się, by nasi wierni, a także ci stojący obok czy poza Kościołem, odczuli jego dobroć i wielkość. Przecież sam Ojciec Święty papież Franciszek naucza nas, by nie...

Biskup: Och! Franciszek, papież Franciszek... Wiem, czego naucza i jak, ale... ma tyle spraw na głowie, że nie zawsze dostrzega – powiem inaczej – rozumie w pełni specyfikę lokalnego Kościoła, uwarunkowań, w jakich musi działać, nie mówiąc o mentalności i zwyczajach ludzi zamieszkujących określony obszar geograficzny nam powierzony... A ktoś wie lepiej od biskupa odpowiedzialnego za swoją diecezję i wszystkie jej parafie, co się u niego dzieje i jak przeciwstawić się złu? Od biskupa, którego przecież mianuje papież! Odpowiedzialność jest ogromna, a warunki społeczno-polityczne zmienne... szczególnie w demokracji. Trzeba wykorzystywać każdą okazję, nie można sobie pozwolić na duszpasterskie eksperymenty!

Krzysztof: Przyzna ksiądz biskup, że są przypadki wymagające indywidualnego podejścia. Przypadki coraz bardziej liczne, wobec których tradycyjne metody nie spełniają oczekiwań i należałoby odejść od niektórych... Mam na myśli, na przykład...

Biskup: Rzecz dyskusyjna. Oczywiście zależy nam na każdej owieczce, ale czasem trzeba poświęcić mniejszą część, aby ocalić całość. Nawet gdy odczuwamy z tego powodu dyskomfort i mamy świadomość straty. Niestety, drogi Krzysztofie: samo życie...

Krzysztof: Zdumiewa mnie i zasmuca ksiądz biskup tym, co słyszę, ale postaram się zastanowić nad swoim postępowaniem, przemyśleć jeszcze raz...

Biskup: Mój drogi Krzysztofie, troszczę się o księdza jak o swojego syna i zależy mi na owocach jego pracy kapłańskiej. Dlatego proponuję, by odpoczął ksiądz trochę od pracy

na parafii i wyjechał do Rzymu. Na kilka lat. Będzie okazja pogłębić wiedzę teologiczną, postudiować na uczelniach watykańskich, zrobić doktorat. Rzym, Watykan, to dobre miejsca na przemyślenia, które ksiądz obiecuje. Wyjazd za dwa tygodnie, więc ma ksiądz czas do pozamykania swoich spraw na parafii, pożegnania się ze znajomymi. Życzę powodzenia, a teraz – z Bogiem!

Krzysztof przyklęka jakby całował pierścień na palcu biskupa, ukłon, wychodzi, ciemność.

Scena IV

Konfesjonał w półmroku. Świeci się na nim zielona lampka sygnalizacyjna. Do spowiedzi podchodzi młoda Zakonnica, lampka zmienia kolor na czerwony.

Zakonnica: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Krzysztof: Na wieki wieków amen!

Zakonnica: Z pokorą i żalem wyznaję, że obraziłam Boga następującymi grzechami...

Następuje cisza.

Krzysztof: No, słucham! *Cisza.* Siostrzo, proszę mówić, jakimi grzechami!

Zakonnica *placzkliwym głosem:* Dzisiaj przechodziłam obok sklepu jubilerskiego i... zatrzymałam się przy oknie wystawowym...

Krzysztof: I co w tym dziwnego?

Zakonnica: I spodobały mi się obrączki, pierścionki... i przez chwilę, tylko chwilę, ale jednak... zapragnęłam je mieć... wszystkie. Zgrzeszyłam myślą przeciw cnocie ubóstwa, gapiłam się na nie jak złodziejka!

Krzysztof: To wszystko?

Zakonnica: Niestety nie... Chyba ośmielony diabeł mnie skusił, bo weszłam do drogerii i... zaczęłam wąchać różne zapachy...

Krzysztof: No i...

Zakonnica: Zdarzyła się rzecz okropna! Odczuwałam w tym przyjemność, zadowolenie, jakiegoś dziwny dreszcz... Stałam się nieczysta moralnie... Bardzo żałuję za te grzechy! Wstyd mi za siebie!

Krzysztof: To rzeczywiście straszne! Ale myślę, że dobry Jezus zlituje się nad tobą, wybaczy ci te chwile słabości, więc odpuszczam ci w jego imieniu. Idź w pokój!

Zakonnica: Jak to? Nie zada mi ksiądz pokuty?

Krzysztof: Już ją odprawiłaś, przychodząc tutaj.

Zakonnica: Nie rozumiem...

Krzysztof: Siostrzo, mało jest takich, którzy pojmują coś z tajemnicy sakramentów, zwłaszcza pokuty. Proszę nie wątpić w wielkość Bożego miłosierdzia... Szczęść Boże!

Zakonnica odchodzi lekko zdezorientowana, zapala się zielona lampka. Podchodzi Starsza Pani, zapala się czerwona.

Starsza Pani: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego amen. Zgrzeszyłam myślą, mową, czynkiem i zaniedbaniem...

Krzysztof: Do rzeczy, proszę, do rzeczy!

Starsza Pani: No właśnie! Dzisiaj jest piątek, a jak ksiądz wie, ja w piątek nie jadłam mięsa, a przyszła mi ochota na kiełbasę... Taka śliczna była!

Krzysztof: I co z tego?

Starsza Pani: A to, proszę księdza, że kupiłam i powąchałam z przyjemnością.

Krzysztof: Jeszcze jedna! To znaczy... miałem na myśli... Czy zjadłaś?

Starsza Pani: Na szczęście nie! Co to, to nie! Ale wąchałam, aż mi ślina ciekła!

Krzysztof: To rzeczywiście obraza boska! Co jeszcze zrobiłaś?

Starsza Pani: Nic więcej, to mnie najbardziej gnębiło...

Krzysztof: Żałuj za grzechy! Za pokutę odmówisz sto razy „Zdrowaś Maryjo” i obiegiesz dziesięć razy kościół dookoła.

Starsza Pani: Aż tyle?

Krzysztof: Ciesz się, że tylko tyle! Z Bogiem!

Starsza Pani wstaje, całuje stulę, odchodzi, zapala się zielona lampka. Słychać westchnienie i słowa:

Krzysztof: Gdyby zjadła, dałbym mniej...

Wychodzi z konfesjonatu. Słychać otwieranie drzwi i znajomy stukot obcasów, Anna zbliża się do konfesjonatu.

Krzysztof: Miło cię widzieć, Anno! Myślałem, że już nie przyjdiesz. Jesteś zdenerwowana...
Witają się uściskiem dłoni.

Anna: Krzysztof! Muszę ci coś powiedzieć, wyznać! Nie wiem, czy zdążę...

Krzysztof: Aniu, coś się stało? Mów spokojnie, nie spiesz się, nie bój!

Słychać odgłos gwałtownie otwieranych drzwi, głosy, kroki.

Strażnik I: Ona musi tutaj być, widziałem jak wchodziła. Teraz już się nie ukryje! O! Jest! Mamy ją!

Anna: Zostawcie mnie! Nie chcę! Jestem niewinna, zdrowa! Niewinna! Zostawcie mnie! To boli!...

Krzysztof: Panowie, co się dzieje? Tak nie można, to dom Boży! Dokąd ją zabieracie?

Strażnik II: Tam, skąd uciekła... do szpitala więziennego, jest chora psychicznie, proszę nam nie utrudniać!

Strażnik I: No, już dobrze, idziemy, idziemy, spokojnie!...

Krzysztof: Szpitala więziennego? Co zrobiła?

Strażnik II: Ksiądz nie wie? Zabiła męża...

Krzysztof staje jak wryty, łoskot zamykanych drzwi, cisza ciemność.

Scena V

Pokój ks. Krzysztofa. Światło wylania ks. Krzysztofa siedzącego w fotelu. Czas sceny w całości wypełnia muzyka z piosenką Pawła Łowickiego pt. „Przeznaczenie” z płyty „Do zobaczenia” zrealizowanej w HoM Studio Michał Dalikowski (lipiec/wrzesień 2014). Aktor wyraża stan niepewności, walkę wewnętrzną (siedzi, wstaje, chodzi, przegląda jakieś papiery, zastanawia się, wsluchuje, itp.)

Scena VI

Sekretariat gabinetu ordynatora Zalewskiego, wchodzi Krzysztof w stroju cywilnym z kolaratką.

Krzysztof: Dzień dobry! Czy mógłbym się widzieć z ordynatorem oddziału?

Sekretarka: Dzień dobry! Był pan... przepraszam, ksiądz umówiony?

Krzysztof: Nie... Nie mogłem się dodzwonić.

Sekretarka: A w jakiej sprawie, mogę wiedzieć?

Krzysztof: W bardzo ważnej sprawie. Pani wybaczy, nie mogę wszystkiego tutaj powiedzieć. Tylko na chwilę...

Sekretarka: Chwileczkę, sprawdzę, czy pan doktor jest u siebie. *W stronę drzwi gabinetu ordynatora:* Panie doktorze, jakiś ksiądz do pana! Nie, nie, mówi, że w ważnej sprawie, tylko na chwilę. Dobrze, dobrze! *Do Krzysztofa:* Pan doktor jest bardzo zajęty, ale ksiądz przyjmie, wyjątkowo. Proszę iść schodami w dół, potem na górę, znowu w dół i pierwsze drzwi na lewo.

Krzysztof: Dziękuję!

Scena VII

Gabinet doktora Zalewskiego, wchodzi Krzysztof.

Krzysztof: Dzień dobry! Jestem ksiądz Krzysztof, z sąsiedniej parafii.

Zalewski wyciągając rękę: Zalewski. Czym mogę służyć?

Krzysztof: Przepraszam, że zajmuję panu doktorowi tak cenny czas, ale na pana oddziale przebywa pacjentka o imieniu Anna, skazana podobno za zabójstwo męża. Chciałbym się tylko dowiedzieć, jak się czuje, czy nie stało się jej coś złego, ponieważ byłem świadkiem, jak strażnicy zabierali ją, używając siły.

Zalewski: Ach tak... Zna ją ksiądz?

Krzysztof: Widzieliśmy się kilka razy... Pana ludzie zabrali ją z kościoła w trakcie naszej rozmowy.

Zalewski: Cóż... Tę panią skazano za morderstwo, co prawda w procesie poszlakowym, niemniej dla składu sędziowskiego sprawa była jasna, wina oskarżonej nie budziła wątpliwości. Zainteresowałem się tym przypadkiem, bo uparcie nie przyznawała się do winy, stanowiąc zagrożenie dla samej siebie. Bardzo ciekawa osobowość o złożonej charakterystyce procesów myślowych i nietypowych reakcjach struktur psychofizycznych. Na ich przejawach możemy prześledzić i określić z dużym prawdopodobieństwem stopień oddziaływania różnych medykamentów stosowanych w najnowszych wskazaniach psychiatrii...

Krzysztof: Gdy rozmawialiśmy, nic nie wskazywało na taki dramatyzm sytuacji, na nietypowość zachowań.

Zalewski: Niektórzy pacjenci potrafią doskonale maskować swoje prawdziwe oblicze, problemy, sprawiać całkiem pozytywne wrażenie. Ciekawe, co też księdzu naopowiadała... Ale nie wnika, podobno obowiązuje was tajemnica spowiedzi. Szkoda, bo dla potrzeb medycyny, dalszego przebiegu terapii, mogłaby z tego wyniknąć cenna wskazówka, być może decydująca o dalszym kierunku leczenia, doborze odpowiednich preparatów...

Krzysztof: Testujecie leki na pacjentach więziennych? Pytacie ich o zgodę?

Zalewski: W szczególnych przypadkach nie zawsze to jest uzasadnione, zwłaszcza gdy chodzi o szeroko rozumiane dobro pacjenta i bezpieczeństwo społeczne.

Krzysztof: Ciekawe, kto decyduje o tym, kto jest szczególnym przypadkiem i czyje dobro jest tak naprawdę uwzględniane?...

Zalewski: Dobre pytanie, szczególnie gdy wypowiada je przedstawiciel duchowieństwa... Biorąc ten problem pod uwagę, to stosujemy metody podobne do waszych. Podobne, bo nie tak podstępne.

Krzysztof: Nie rozumiem...

Zalewski: Na przykład gdy chrzciecie noworodka... Nie chcę, by zabrzmiało to złośliwie, ale robicie to z premedytacją tak wcześnie, by nie trzeba było pytać go o zgodę. Oddziałujecie na człowieka zanim zacznie myśleć, być świadomym... Sprytne!

Krzysztof: Pan wybaczy, ale to rodzice z własnej woli przynoszą swoje dzieci do chrztu, my ich nie zmuszamy!

Zalewski: Nie bezpośrednio, ale przez swoje wpływy tworzycie społeczną atmosferę, w której łatwiej jest podjąć taką decyzję, a nie inną. Trochę wam tego zazdrościmy...

Krzysztof: Czego?

Zalewski: Tego rozmachu, zakresu wszechwładzy, społecznej akceptacji dla waszych, nazwijmy to... duchowych eksperymentów. Nam, lekarzom wszyscy patrzą na ręce: rodzice, sądy, prokuratura, dziennikarze... A skutki zabiegów i ewentualnych błędów od razu widać na ciele. A co widać na duszy? Trudno zgadnąć, a cóż dopiero udowodnić...

Krzysztof: To, o czym pan mówi, jest bolesne dla mnie i przykro mi, że tak pan to widzi!

Zalewski: Staram się oddzielać fakty od mitów...

Krzysztof: No cóż... Skoro obaj działamy dla dobra, choć w tak różnych dziedzinach i różnie pojętego... Mam pytanie: czy pozwoliby mi pan na rozmowę z Anną? Bez względu na stopień trudności czy złożoność procesu leczniczego, nie powinien pan utrudniać czy zabraniać pacjentowi dostępu do opieki duszpasterskiej, jeśli pacjent tego sobie życzy.

Zalewski: Nie zawsze to, czego sobie życzy pacjent, służy jego dobru. Są przypadki świadczące o tym, że po wizycie tak zwanej osoby duchownej stan pacjenta znacznie się pogorszył... Ale zgoda, na piętnaście minut. Zadzwońię do pielęgniarki.

do Pielęgniarki: Panie Włodku, niech pan do mnie przyjdzie! Tak, teraz! Zaprowadzi pan księdza do pomieszczenia Anny. Tak, może wejść. Nie, nie musi pan, ale niech pan będzie w pobliżu.

Krzysztof: Dziękuję panu! Myślę, że Anna się ucieszy i że będę mógł jej pomóc.

Zalewski: Nie jestem o tym przekonany, ale i nie mogę wykluczyć.

Scena VIII

Izolotka Anny w szpitalu więziennym, wchodzi Krzysztof.

Anna: Krzysztof? Ty tutaj? Nie zdążyłam ci powiedzieć...

Krzysztof: Anno!... Masz sińce na głowie, ramionach! Kto ci to zrobił? Oni, w kościele?

Anna: Nie... to tutaj... Pielęgniarkę Włodek... Przy każdej okazji łapie mnie, próbuje obmacywać i mówi, że nie może się doczekać, kiedy mnie przeleci.

Krzysztof: Bydlak! Mówiłaś o tym komuś? Lekarzom, komuś z opieki społecznej?

Anna: Próbowałam, ale jak myślisz, komu uwierzą w takim miejscu jak to?... A nawet jeśli i uwierzą, to myślą: siedzi za morderstwo, jest winna... Dobrze jej tak!

Krzysztof: Tu nie ma w co wierzyć, wystarczy popatrzeć. Zgłoszę ordynatorowi!

Anna: Nie, Krzysztof, proszę, to nic nie da! Mogę mieć jeszcze większe kłopoty... Mogą zrobić ze mną wszystko, uśpić, znieczulić i wtedy...

Krzysztof: To jakiś koszmar!... Nie można tego tak zostawić!

Anna: Nie pierwszy i chyba nie ostatni... Muszę wytrzymać! Ale dziękuję i proszę: nie rób niczego pod wpływem chwilowego impulsu! Już nauczyłam się znosić swoją sytuację. Nie mam złudzeń.

Krzysztof: Anno, powiedz mi... Chciałbym wiedzieć, to dla mnie bardzo ważne. Czy ty... zabiłaś?

Anna: I tak, i nie...

Krzysztof: Jak mam to rozumieć?

Anna: Naprawdę chcesz wysłuchać mojej wersji? Jak na spowiedzi? Zresztą, skąd będziesz wiedział, czy mówię prawdę? Przecież jestem „psychiczna”, leczą mnie w psychiatryku...

Krzysztof: Nie będę wiedział, ale ścieżka wiedzy nie jest jedyną możliwością poznawania. To mój problem...

Anna: Poślubiłam go, gdy byłam bardzo młoda. Pił alkohol, bił mnie, poniżał, był zazdrosny. Mówił, że mnie kiedyś zabije, albo siebie... To trwało wiele lat. Myślałam, że się zmieni, kochałam go, czekałam... Tego dnia wrócił pijany wcześniej niż zwykle, odkurzałam mieszkanie... Chwycił nóż kuchenny, złapał mnie, włożył nóż w moje dłonie i ścisnął swoimi... Mówił wprost do ucha: i co teraz? Zabijesz mnie? Może tak, może tak, a może tak... – i przystawiał nóż z moimi dłońmi do swojej szyi, piersi, brzucha... Napierał na mnie całym ciężarem... Nie mogłam się wyzwolić z uścisku, był silny... Szamotaliśmy się po całym pokoju. Zawadziliśmy chyba o odkurzacz i runęliśmy na podłogę... Nóż wbił mu się w serce... Leżałam pod nim, nie mogłam się ruszyć, zalewała mnie jego krew, moje dłonie i jego wciąż trzymały nóż... Wydostałam się... Siedziałam obok, patrzyłam na nóż tkwiący w jego piersi. Wtedy weszła teściowa, później inni... Dostałam 20 lat, próbowałam to skrócić, zjawił się doktor...

Krzysztof: Anno...

Anna: Dziękuję, że przyszedłeś, ale idź już. W niczym mi nie pomożesz, nie pocieszysz, nie przytulisz – choćbyś chciał... Za późno! Idź już i... nie przychodź więcej. Nie chcę, byś mnie tu oglądał, widział, jak się starzeję!

Krzysztof: Ja też się starzeję...

Anna: Spotykamy się prawie jak przy konfesjonale – pamiętasz? Wystraszyłam się, gdy powiedziałeś tak nagle: tu jestem! A ja tu – odpowiadam dzisiaj. Każde na swoim miejscu...

Gasną światła, zapada cisza.

Scena IX

Dowolne miejsce, w którym przebywa ks. Krzysztof. Czas sceny w całości wypełnia piosenka „Nie odgadnę siebie” Pawła Łowickiego z płyty „Do zobaczenia”, zrealizowanej w HoM Studio Michał Dalikowski (lipiec/wrzesień 2014). Aktor wyraża stan uczuciowy podobnie jak w scenie V.

Scena X

Sekretariat gabinetu ordynatora Zalewskiego. Wchodzi Krzysztof ubrany w strój cywilny z koloratką, w ręce trzyma dużą torbę.

Krzysztof: Dzień dobry! Zastałem szefa?

Sekretarka: Dzień dobry! Doktor Zalewski wyjechał na międzynarodowe sympozjum lekarzy psychiatrów, będzie za trzy dni.

Krzysztof: Daleko?

Sekretarka: Do Francji!

Krzysztof: O! To z pewnością wzbogaci swoją i tak już ogromną wiedzę o nowe metody leczenia. Ja też muszę wkrótce wyjechać i to na znacznie dłużej, dlatego bardzo chciałbym zobaczyć się dzisiaj z pacjentką Anną.

Sekretarka: Pan doktor nie zostawił mi informacji dotyczącej dalszych wizyt księdza...

Krzysztof: Może zapomniał? To dziwne, bo ostatnio rozmawialiśmy o możliwościach, a nawet problemach opieki duszpasterskiej nad pacjentami, już od najmłodszych lat...

Sekretarka: Na pewno nie zapomniał! Pan doktor ma bardzo dobrą pamięć!

Krzysztof: Jestem pod wrażeniem pani pewności, ale myślę, że pod tą piękną i gustowną sukienką skrywa pani jeszcze piękniejsze kobiece serce... Dlatego proszę! Anna, pacjentka Anna, nie spodziewa się tej wizyty. Chciałbym jej zrobić niespodziankę w dniu imienin. Tylko na chwilę i już mnie pani nie zobaczy!

Sekretarka: Dzisiaj nie ma imienin Anny!

Krzysztof: Chodzi o imieniny świętej patronki wybierane przy sakramencie bierzmowania, bardzo ważne!

Sekretarka: Ach, ci księża! Ciągłe czegoś chcą i zawsze im mało! Zadzwoń do pielęgniara.

Do Pielęgniara: Panie Włodku, mam prośbę! Mało śmieszne... Przyszedł ksiądz do pani Anny, tak, ten co ostatnio... Proszę go wpuścić na dziesięć minut, nie więcej. Niech pan nie będzie taki dowcipny!... *Do Krzysztofa:* Już idzie. Ale tę dużą torbę musi ksiądz zostawić!

Krzysztof: Absolutnie nie mogę! W tej torbie przechowuję najświętszy sakrament oraz szaty liturgiczne i nie pozostawię jej bez mojej opieki i nadzoru w żadnym miejscu!

Sekretarka: Ale przepisy nie pozwalają!

Krzysztof: Droga pani! Ksiądz idący do chorego z najświętszym sakramentem nie podlega żadnym przepisom, tylko samemu Bogu Ojcu! Chyba nie chce pani stanąć na przeszkodzie woli Bożej i temu pięknemu zbawczemu zwyczajowi? A może chce pani?...

Sekretarka: Nie, nie chcę!...

Krzysztof: Mądry wybór! Dziesięć minut mi wystarczy...

Wchodzi Pielęgniarz.

Pielęgniarz: Witam księdza!

Krzysztof: Dzień dobry, panie Włodku!

Pielęgniarz: Jak widzę, ksiądz łatwo się nie zniechęca...

Krzysztof: Podobnie jak pan!

Pielęgniarz: Ale ta duża torba...

Krzysztof: Jest niezbędna w pracy duszpasterskiej, szczególnie dzisiaj. Sekretarka pańskiego szefa wie o niej, dostałem zezwolenie, inaczej bym tutaj nie wszedł.

Pielęgniarz: No dobra... Dziesięć minut! Chociaż nie bardzo mi się to podoba...

Krzysztof: Niech pan będzie w pobliżu... na wszelki wypadek!

Scena XI

Izolotka Anny, wchodzi Krzysztof.

Anna: Krzysztof! Ty znowu tutaj?

Krzysztof: Anno!... Nie mamy wiele czasu. Przebieraj się! Tu są ciuchy: koszula, spodnie, sweter, czapka bejsbolówka... Ale to założysz później. Będziesz wyglądać jak miss Polonia w czasie urlopu na wsi. Teraz natomiast musisz się przebrać za zakonnice. O, tu wszystko jest: habit, czarne pończochy, buty, chusta... Masz!

Anna: Porywasz mnie? Krzysztof...

Krzysztof: Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia, pospiesz się!

Odwraca się, Anna się przebiera

Krzysztof: Wyglądasz super! A teraz posłuchaj... Gdy zawołam tu Włodka, złapię go, przytrzymam, ty przyłożysz mu do ust i nosa tampon z eterem. Tu jest butelka z eterem i tampon. Pamiętaj: wchodzi, ja go trzymam, ty otwierasz szybko butelkę, wylewasz na tampon – nie żałuj! – i przykładasz mu do twarzy tak długo, aż zwiędnie... Gotowa? Panie Włodku! Proszę do nas na chwilę!...

Wchodzi Pielęgniarka, postępują jak wyżej

Krzysztof: Teraz owiniemy mu ręce i nogi taśmą, zalepimy usta i wsuniemy pod łóżecko. Tak... tak, dobrze, grzeczny Włodziu, miłych snów! Pokój oczywiście zamykamy na klucz... Włodziu, w której kieszeni masz klucz? O, jest...

Anna przestraszona: Jak przejdziemy przez portiernię? Nie mam przepustki... Przecież nie wchodziła tu zakonnica!

Krzysztof: Może wchodziła, może nie... Tu masz przepustkę!

Anna: To jest twoja przepustka! Nie wpisałeś nazwiska, tylko... osoba duchowna, ale nas jest dwoje...

Krzysztof: I niech tak zostanie, przynajmniej na jakiś czas. Nie przejmuj się strażnikami, dzisiaj jest nowy. To pobożny człowiek, nie będzie się czepiał.

Scena XII

Krzysztof w stroju cywilnym i bez koloratki oraz Anna jadą samochodem.

Anna: Nie mogę uwierzyć! Porwałś mnie! To chyba sen...

Krzysztof: Dlaczego? Czasem zdarza się coś, o czym się nawet nie śniło...

Anna: Będą nas ścigać, poszukiwać... Co zrobimy?

Krzysztof: Nie mam pojęcia...

Anna: Jak to? Nie wiesz, co dalej? Dokąd jedziemy?

Krzysztof: Nie martw się... Mam swoje pomysły i miejsca, które tylko Bóg zna.

Anna: Nie boisz się konsekwencji, negatywnego rozgłosu? Wkrótce wszyscy się dowiedzą i przeczytają w gazetach: młody ksiądz ucieka z chorą psychicznie morderczynią, ukrywają się. Staniesz się źródłem sensacji, plotek... Twój przełożeni, biskup, parafianie będą w szoku!

Krzysztof: Przeżyją to jakoś, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Anna: Nie będziesz już księdzem...

Krzysztof: W świetle prawa popełniłem przestępstwo.

Anna: Stracisz sutannę... przeze mnie...

Krzysztof: Odzyskam znacznie więcej...

Anna: Jesteś pewien?

Krzysztof: Zaryzykuję! Z kamieniami i gorącym piaskiem pod gołymi stopami, z wiatrem we włosach...

Anna: Będziemy mieli wrogów, wielu znajomych się odwróci.

Krzysztof: Ci prawdziwi zostaną. Znajdziemy innych...

Chwila ciszy

Anna: Będzie z nami?

Krzysztof: Kto?

Anna: Twój Bóg?

Krzysztof: On zawsze trzyma z najsłabszymi... wypędzonymi, prześladowanymi.

Anna: Mam wątpliwości, ale nie chcę teraz o tym myśleć. *Po chwili:* Krzysztof!...

Krzysztof: Co, Anno?

Anna: Będziemy mieli dzieci?

Krzysztof: Być może...

Anna: Dużo?

Krzysztof: W granicach rozsądku...

Anna: A skąd wzięłeś strój zakonnicy?

Krzysztof: Pożyczyłem...

Anna: Od kogo?

Krzysztof: Wszystko od razu chciałabyś wiedzieć...

Anna: Ty mnie o nic nie pytasz – dlaczego?

Krzysztof: Mam pytanie...

Anna: Nareszcie!

Krzysztof: Jak masz na trzecie imię?

Anna: Trzecie imię? Nie mam trzeciego! Nic o tym nie wiem... Nie mam nawet drugiego...

Krzysztof: Tak myślałem...

Anna: A dlaczego o to pytasz?

Krzysztof: Tak sobie, coś mi się przypomniało...

Anna: Krzysztof!...

Krzysztof: Co jeszcze, Anno?

Anna: Włącz muzykę!

Przytula się do ramienia Krzysztofa. Słychać całą piosenkę Pawła Łowickiego „Niepomarańczowo” z płyty „Do zobaczenia”. W tym czasie aktorzy grają bez słów: jadą, oglądają widoki, zatrzymują się na kawę, itp.

Koniec



Agnieszka Dumańska, „inDUSTrial”



Iwona Góraj, „Ptak nocą”, collage, tektura, 23,5 x 13 cm, 2017

IWONA ELŻBIETA GÓRAJ



Studiowała w latach 1989-1994 na Wydziale Malarstwa i Tkaniny Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (u prof. S. Rodzińskiego i u prof. W. Śliwińskiego) oraz na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, dyplom uzyskała w ASP w Warszawie w roku 1994 (z malarstwa u prof. S. Gierowskiego, z tkaniny artystycznej u prof. W. Sadleya). Była członkiem i delegatem na Polskę Académie Internationale de Lutèce w Paryżu w latach 1996-2008, członkiem Fundacji TAYLOR i Société Arts-Culture ASAC w Paryżu, Société des Poètes Français, Poètes Sans Frontières L'ETRAVE, Academia Europea Arti w Palermo i Arts-Sciences -Lettres w Paryżu. Swoje prace wystawiała w Polsce oraz za granicą: w Paryżu, Pradze, Kanadzie, Chinach, Belgii i w Niemczech.

Najważniejsze nagrody:

- I miejsce w konkursie, tkanina, Jaxa 1992;
- III miejsce, tkanina, Tisca, Paryż'92;
- medal srebrny w 1998 r. i 1999 r., brązowy w 1996 r. w Grand Concours International, A.I.L., Paryż;
- Nagroda Specjalna „Regards”, Paryż 1999;
- Srebrny medal, malarstwo, Arts-Sciences-Lettres, Paryż 2005;
- Pierwsza Nagroda na 5. Ogólnopolskim Przeglądzie Malarstwa Młodych Legnica'95;
- Grand Prix Grupy Barbakan 1996, Warszawa;
- poezja nagrodzona m.in. Złotym Medalem w XXV Concorso Internazionale di Poesia, Sicilia'99, Palermo, Włochy.

Prezentujemy kilka prac artystki oraz jej wiersze ekfrastyczne (w dziale „Poezja”).

Marian Panek

PRZENIKANIE. O TWÓRCZOŚCI IWONY GÓRAJ

DOROBEK ARTYSTYCZNY IWONY GÓRAJ jest niezwykle bogaty i ciągle poszerzany o nowe dokonania. Artystka rozwija się w różnych dziedzinach: w malarstwie, tkaninie, rysunku, sztuce instalacji. Jej liryczne poetyckie utwory często powstają do muzyki, która jest dla niej inspiracją. Śpiewa swoje teksty. Te twórcze światy przenikają się w działaniach Góraj – tworzą nową wartościową jakość wystawienniczą o specyficznej atmosferze, nastroju i ekspresji. Powstaje rodzaj synkretycznego, przestrzennego spektaklu, odmiennego od zwyczajowej ekspozycji. Widzimy u Iwony Góraj synkretyzm, czyli pomieszanie, zespolenie w jednym dziele, w tym wypadku wystawie, wielu aspektów i kontekstów różnych dziedzin sztuki. Widzimy tu synkretyzm, który występował w sztuce u jej początków w kulturze chińskiej, indyjskiej czy w antycznym teatrze greckim.

Iwona Góraj poszukuje w swojej twórczości wartości transcendentnych, pozamaterialnych. Oscyluje w swym obrazowaniu pomiędzy wyobrażeniową realnością a abstrakcyjnym sensem struktury przedstawieniowej obrazu, sensem zawierającym wiele odmiennych treści, mówiących o jej zachwycie nad pięknem natury. Odnajduje też w swych kompozycjach duchowy puls przemiany rzeczywistości.

Poszukuje wewnętrznego życia obrazu, które wypracowuje przenikającymi się warstwami koloru i materii. W swoich pracach zawiera osobiste odczucia oraz emocje związane z procesem twórczym i analizą realności otaczającego ją świata. Posługując się swoim życiowym *elan vital* – kreacyjną siłą będącą motorem rozwoju świata istot żywych, osiąga w przedstawieniu malarskim osobną wyrafinowaną jakość dynamicznego piękna. W jej pracach czyta się, odbiera ten tak zwany smak życia, swoistą radość tworzenia.

Dla artystki istotą, domeną jej działań kreacyjnych stało się przenikanie wielości wypowiedzi twórczych między sobą. Na przykład zamiana malarskich materii dotykowych w dźwiękowe i odwrotnie, poetyckich artykulacji pojęciowych czy metaforycznych w głosowe, śpiewane performatywne działania o rytmicznych, synkopowych wybrzmieniach, przechodzących z głośnych w ciche i bezgłośne.

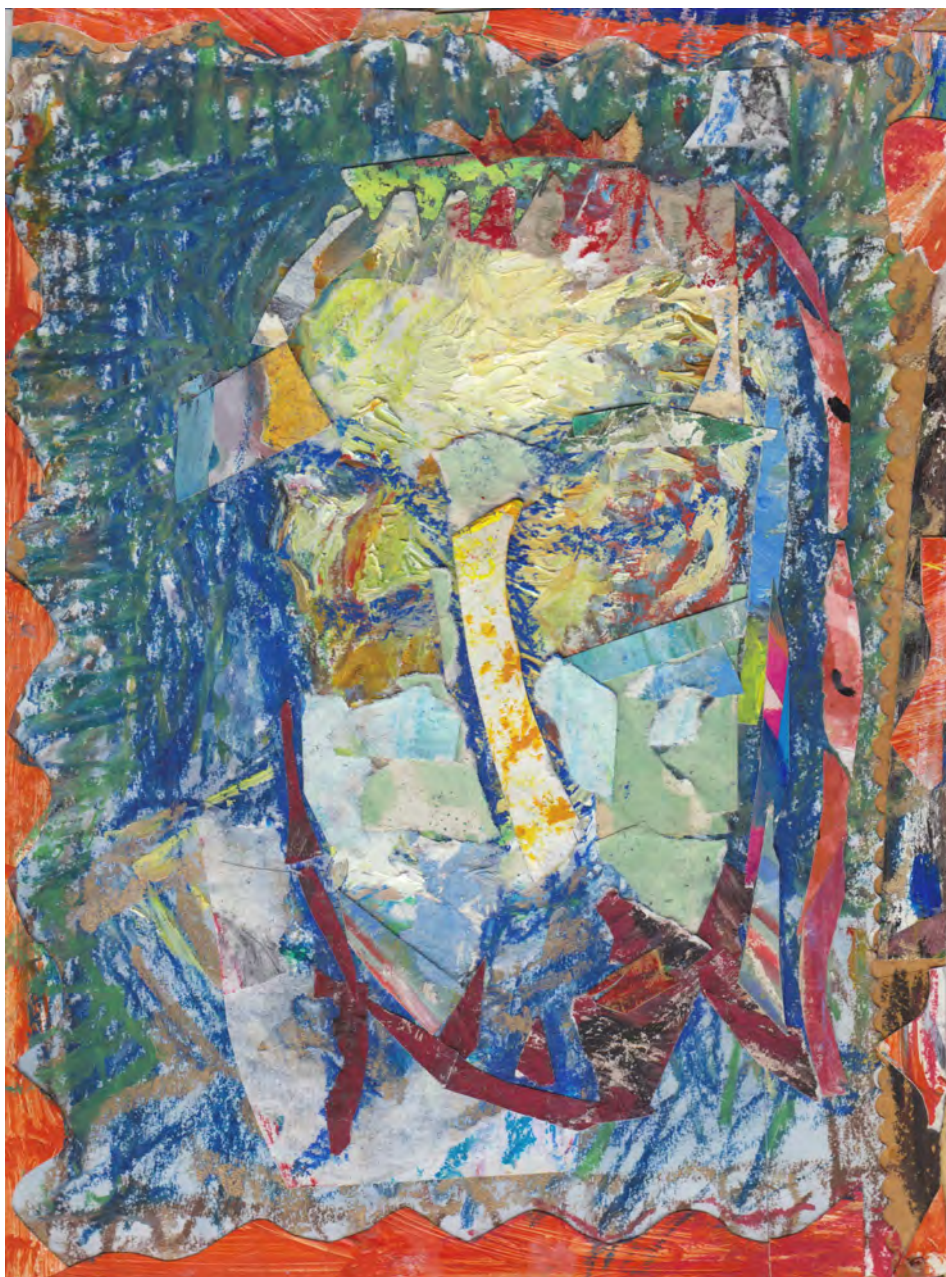
Prace Iwony Góraj prezentowane na wystawie „PRZENIKANIE 19” dają nam smak jej niecodziennej i nietuzinkowej sztuki. Liryczny kontekst procesu obrazowania świata odbieranego przez nas zmysłami, sensualność zawarta bez wątpienia w jej dziełach, czyni je zarówno bardzo osobistymi, jak i kulturowo uniwersalnymi w odbiorze.

Oddajmy też głos samej autorce wystawy, która w jednej ze swoich wypowiedzi stwierdza:

przenikanie jest dla mnie radością tworzenia i szukania piękna, które nie milnie. Jest jak przechodzenie od Bachowskich kantat do wirtuozerii dźwięków utworów Vivaldiego, czystych i radosnych, które pozwalają delektować się ich niewidzialną materią. Barwy, które wywołują niczym oko projektora i rzucam na płótno czy papier, są następstwem, ciągiem dalszym moich poszukiwań, fascynacji samym procesem twórczym. Tworzę kompozycje z koloru, odnajdując go

w naturze – słysząc równocześnie jej dźwięki, kontrapunkty, pauzy, gwałtowne pasaży i przejścia tonalne lub temperaturowe. To one przechodzą płynnie w mój malarski świat.

W kreacjach Iwony Górąj odczuwamy to niewątpliwe przenikanie się sztuk wizualnych z muzyką i poezją.



Iwona Górąj, „Głowa Chrystusa na zielonym tle”, collage, papier, 23 x 17 cm, 2017



Jarosław Dumański, „inDUSTrial”

Bogdan Knop

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ – WSPOMNIENIE

O RYMKIEWICZU USŁYSZAŁEM PO RAZ PIERWSZY w czasach licealnych, w pierwszej połowie lat 70. (potem dowiedziałem się, że debiutował w roku 1957, tym samym, w którym się urodziłem). W podręczniku szkolnym figurował jako przedstawiciel neoklasycyzmu przeciwstawiony z jednej strony poezji zaangażowanej, a z drugiej lingwistom, konceptualistom i bliżej nieokreślonej reszcie. Trochę ten klasycyzm był politycznie podejrzany, choć tolerowany. A potem został jednym z pierwszych laureatów nagrody „Nike” za tomik poezji *Zachód słońca w Milanówku*, który i mnie zachwycił.



Po roku 2010 dla wielu Rymkiewicz został poetą politycznym, szczególnie gdy opublikował słynny wiersz „smoleński” zatytułowany *Do Jarosława Kaczyńskiego*. Chyba i sam autor uznał się za poetę politycznego, gdyż w tymże roku 2010 ogłosił tom zatytułowany *Wiersze polityczne*, opatrując go posłowiem, w który ów słynny wiersz lokował w literackiej tradycji ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Adama Mickiewicza i jedyne, nad czym bolał, to fakt, że kontekst historyczny i mickiewiczowski wiersza został zignorowany.

Był znawcą i komentatorem twórczości Adama Mickiewicza. W cyklu *Jak bajeczne żurawie* na przestrzeni ponad trzydziestu lat w sześciu potężnych tomach towarzyszył dziełu i życiu wieszca. Pisał o Słowackim, Leśmianie i Fredrze.

W latach 2007-2013 wydał eseistyczną tetralogię o historii Polski – *Wieszanie, Kinderszenen, Samuel Zborowski oraz Rejtan. Upadek Polski*. Do nich dołożyłbym napisanego dużo wcześniej *Wielkiego Księcia*. Dzieła napisane językiem, jakiego esej historyczny pisany po polsku od dawna nie widział (a może nigdy), z subtelnością i przejrzystością charakterystyczną dla poezji, z jasnością myśli i urokiem dawnej prozy. A jednocześnie dzieła przecież wywrotowe! Skrajne w osądach i wnioskach. Kiedyż to ostatnio mieliśmy pisarza historycznego, który czytelnika zniewala? Sienkiewicza? Rzewuskiego? Paska? Ale to przecież byli prozaicy, żaden z nich nie posługiwał się formą eseju. A esej powinien być mądry i nudny. Tymczasem objawił się nam poeta piszący o historii. I zrobił może to, co Montaigne w *Próbach* dla Francuzów. Nie sądzę, bym przesadzał.

Poezja Rymkiewicza (poza tą polityczną, a może i nie poza) jest klasycystyczna, zanurzona w tradycji literackiej, a jednocześnie osobna. Ulubił sobie formę oktostychu, czasem sonetu, ale nie był ich więźniem. Świat po leśmianowsku mieszał z zaświatem, a jego spojrzenie na śmierć miało coś ze średniowiecznej sztuki niemieckiej – owej duererowskiej „Ritter, Tod und Teufel” – może to części germańskie odziedziczone po przodkach dawały znać o sobie w tej arcywłoskiej poezji? Tak jak wkład tatarski w genealogii może wiązał go tajemnym splotem z Mickiewiczem. Odszedł olbrzym, my zostaliśmy.

06.02.2022 r.

Jarosław Kapsa

„ZIUT” DAŁ... (ERRATA DO *POMIĘDZY* ANTONIEGO „ZIUTA” GRALAKA)



Spotkanie z Antonim „Ziutem” Gralakiem w OKF „Iluzja” 25 maja b.r.

USŁYSZAŁEM O WSPOMNIENIACH „ZIUTA” i natychmiast chciałem tę książkę mieć. Dostałem – przesyłkę, ozdobioną artystycznie skomponowanym adresem. Już samo to wprawiło w zachwyty. Lektura tym bardziej, zwłaszcza gdy otwarły ją słowa: „co mi odebrało, że zdecydowałem się w takim miejscu przyjść na świat? Jak nic, musiałem być mocno najebany, żeby wybrać ten smutny, szary świat, pełen zdeformowanych wojną i socrealizmem ludzi”.

Podobnie czasem myślę; pocieszam się, że mogło być gorzej. Mogłem urodzić się w Woroneżu lub jakiejś innej wschodnioeuropejskiej Mławie. Podobnie jak „Ziut”, jestem przyjezdnym częstochowiakiem. Jego rodzina ukarała, przenosząc z Ziemi Zachodnich Obiecanych do podjasnogórskiej dzielnicy; mnie załatwiono gorzej, przywożąc wrzaskiem protestującego trzylatka z samego Krakowa (a właściwie to z Nowej Huty). Podobieństw było więcej: chodziliśmy po tych samych ulicach, do tych samych miejsc, potykając się o nogi wspólnych znajomych. Książkę więc czytałem, odlatując co chwila w przeszłość, próbując sobie układać w myślach, czy to tak, a może nie tak. I z tych odlotów zrodziła się obrazoburcza myśl, by erratę, uzupełnienie takie, dopisać.

I

Organizacja społeczna na Górcie przypominała trochę strukturę ludów pierwotnych. Wielopokoleniowe i zwykle wielodzietne rodziny, pilnując swoich interesów, łączyły się w klany obejmujące ulicę, większe podwórka i najbliższą okolicę. Zbiór klanów łączył się w plemię. Nasze plemię dzieliło się na dwie części – Kordeckiego i Barbary – skupione wokół ośrodków kultury „Zagłoba” i „Parkowa”. Drugą stroną klasztoru zamieszkiwało pokrewne plemię Rocha, Rynek Wieluński, skupione wokół baru „Pokrzep się” i półlegalnej mety „U Papierzowej”.

Tak to było, gdy mieliśmy kilka lat, a naszym światem było podwórko, po którym biegaliśmy z kluczem na szyi. Podrastając, odkrywało się inne podwórka i ulice je łączące. Kamienice były „niewiadomokogo”, mieszkania – rodziców, więc chodziło o to, by podwórka i ulice były nasze. Ta „naszość” rozdzielała się na archipelag różnorodnych plemion. „Ziut” przynależał do Górki, obszaru otaczającego Jasną Górę. Dla mnie to były dzikie pola zamieszkałe przez „medalikarzy”. Moje było cywilizacyjne centrum: ul. Dąbrowskiego, plac Biegańskiego i przyległe Aleje. Przydatny był sojusz z tymi z Wieluńskiej, bo słynęli z bojowości... Ale z wyższością obywateli centrum świata drwiło się z tego ludu w przyciasnych marynareczkach, kaszkieciakach, co to pili wodę „strażacką” (z czerwoną nalepką) i zagryzali wata cukrową.

„Medalikarze” to było określenie, jakim mieszkańcy innych miast, ze szczególnym podkreśleniem Katowic i Warszawy, obdarzyli ogół obywatelski Częstochowy. Dla nas to określenie było obraźliwe: „medalikarze” to tam, pod Jasną Górą; to tam wciskano pielgrzymom medalik lub krzyżyk, domagając się w zamian dychy; to tam, pewnie w każdym domu przerabiano dziesięciogroszówki na medaliki, powielano masowo kolorowe obrazki z przypominającym Marksa św. Józefem; to tam powstawało różańcowe, lusterkowe, tasiemkowe badziewie sprzedawane na straganach na placu podklasztornym. Lud podjasnogórski wyrabiał swój charakter od stuleci. Na Rynku Wieluńskim był koński targ, furmanom służył „Pokrzep się”. Nawet gdy koni zabrakło, charakter furmański został, a wejść bez bata do „Pokrzepu” było jak wkroczenie żeglarzy angielskich do krainy kanibalów.

„Ziut” mieszkał przy Kapucyńskiej, ulicy, którą znają jedynie mieszkańcy Kapucyńskiej. Bo i po co było ją znać? Granica cywilizacji prowadziła ulicą Pułaskiego, brzegiem parków, potem ulicą nazwaną z niewiadomego powodu Starucha, gdzie w ceglonym budynku znajdowała się „pałarnia” – komenda MO. Były to czasy, gdy wędrując przez miasto trzeba było być przygotowanym na pytanie, „z jakiej parafii jesteś”. Katolicyzm w tym nie grał roli ani administracyjne podziały Kościoła Powszechnego. Parafia to „górką” albo wyodrębniona: Rocha, Barbary... Istotne było znać aktualny układ: Rocha trzymała sztamę z Lenina i Jasnogórską, Barbary z Sobieskiego; wrogami odwiecznymi byli ci ze Stradomia i Zawodzia. Wspomina „Ziut” owe czasy walki, potyczki przy przejeździe kolejowym, dzielącym cywilizację śródmiejską od ugorów Stradomia; bitwy o „wesołe miasteczko” na rogu Sobieskiego i Pułaskiego... Bywało tu jak w filmie „Gangi Nowego Jorku”, gdy wataha śródmiejska wspomagana przez „górkę” ruszała na ordę stradomską sprzymierzoną z „trójmiastem” (Dźbów, Kawodrza, Konpiska); lud zbrojny w metalowe rurki, łańcuchy, kastety, tasaki ruszał na „bój ostatni”.

Ten krajobraz w mojej młodości już należał do przeszłości. Wyrugowano handel z placu podklasztornego, tworząc rezerwat kramów na Barbary. Cywilizacja i blokowiska wszędzie wkraczały. Mocne urki, bohaterowie bitew pod „wesołym miasteczkiem”, dostawali delirium. Samo miasteczko przeniesiono, więc nie było się o co bić. Część podwórkowej młodzieży, w tym autor wspomnień, wpadła w czar Beatlesów i Stonsów, zapuszczała długie włosy, udawała

dzieci kwiaty, katowała gitary (zazwyczaj produkty domostrojstwa), próbując akordy „Domu wschodzącego słońca” (Hause of the rising sun) Animalsów. Zauroczenie przyszło z za „żelaznej kurtyny”, było jak nieznamy nam smak coca-coli, znalazło żyzny grunt w każdej peerelowskiej pipidówce. „Ziut” słusznie zauważył, że w tamtym czasie nie było problemów z dostępem do różnorodnych domów kultury, służących nieodpłatnie instrumentami, nagłośnieniem, salami do prób i występów. Władza okazywała cień mądrości: bezpieczniej, by młodzi siedzieli w domu kultury, niż mieliby „rządzić” po ulicach.

Ten pęd sprawił, że każde miasto miało swoich Beatlesów i Stonsów. Dla mnie i dla wielu dojrzewających w połowie lat 70. chłystków Stonsami i Beatlesami w jednym był Reverberator TWI; nazwa łączyła wzmacniacz gitary elektrycznej z zakodowanymi nazwiskami muzyków (Tarkowski, Wroński, Iwański). W czasach, gdy na dziewczyny najlepiej działało zagranie „Hey, Jude” lub „Satisfaktion”, Iwański, zwany chyba już Yaniną, stał się Bogiem. Zapleczem częstochowskiego rocka stał się Dom Kultury „Stradom”, mistrzostwa akordów uczyła zmurzała szkoła muzyczna przy ul. Jasnogórskiej. Dawne gimnazjum żydowskie, nieremontowane od czasu Holocaustu, przygarniało uzdolnionych, oferując w zagrzybionych salkach katorgę powtarzalnych etiud. Kształcono na poziomie podstawowym i średnim, co oznaczało, że przyszła gwiazda polskiej muzyki musiała rano chodzić do zwykłej podstawówki, po południu do muzycznej, potem do zwykłego i do muzycznego liceum. Kadra szkoły niechętnie patrzyła na „rockowanie” uczniów. Praca w kieracie jednak przynosiła efekty. W szóstce absolwentów, kończących w 1975 r. wraz z moim bratem Mirkiem średnią szkołę muzyczną, byli: Terasa Czekaj, znakomita pianistka, interpretatorka Szymanowskiego, Marek Walarowski, pianista jazzowy, laureat konkursu młodych w Kaliszu, Janek Pospieszalski – tego dyplomowanego kontrabasisty przedstawiać nie muszę. Dobra muzyka, także zbuntowany rock, nie rodziła się tylko ze stylu życia. Gralak, Yanina, bracia Pospieszalscy, Krzysztof Majcharzak, ten podstawowy skład Tie Breaku wyszedł z zagrzybionych sal szkoły muzycznej, z nudnej powtarzalności etiud i wprawek.

II

Raz do roku, latem, w okolicy Jasnej Góry odbywał się zjazd hippisów. Poznałem tam kilku ciekawych modeli i zaprosiłem do domu (...). Byli trochę starsi i wyglądali zawodowo. Włosy długie, ciuchy w kwiaty, łańcuchy, koraliki itd. – pełna profeska.

Były rzeczy zupełnie dziś niewiarygodne. Pod Jasną Górą odbywały się msze św. rockowe; Kościół starał się przyciągać młodych, nie wybrzydząc na ich strój, zachowanie i gusty estetyczne. Był taki ksiądz, Andrzej Szpak, który do klasztoru prowadził pielgrzymki Młodzieży Różnych Dróg; szły z nim polskie dzieci kwiaty. Złoty hippisów odbywały się na biwaku za klasztorem, a gdy tam zrobiło się zbyt ciasno – przeniosły się do Olsztyna. Częstochowa to widziała, lękała, a część miasta próbowała naśladować. Część, powiedzmy, mniejsza, a nawet mniejszość z mniejszości, bo wszelki rodzaj buntu był marginalizowany, spychany do getta.

Obowiązywała zasada równości, realizowana przez glajszachtowanie. To określenie wymyślił pan Hitler, przeszło więc do naszej codzienności w brzmieniu niemieckojęzycznym. Zasadą było równanie w dół, niszczenie wszelkiej inności, odrębności, indywidualności, zmienianie ludzi w jednolitą masę. Formy były zmienne. Po 1968 r. wrogiem społecznym, oprócz dyżurnych ponadpokowych Żydów, byli hipisi i bananowa młodzież. Jednych i drugich łączyła

estetyczna sympatia dla koloru, długich włosów i muzyki Stonsów. Bananową młodzież stać było na banany, bo ich rodzice byli notablami albo prywaciarzami. Robotniczą, porządną młodzież stać było tylko na cebulę, więc w imię sprawiedliwości klasowej pozwalano jej bić bananowców. Patrole ORMO wraz z młodym aktywem robotniczym ZMP polowały na ulicach na „hipisów” i strzyły ich do zera maszynką. Gdy przyszedł dobrotliwy „liberalizm” Gierka, dół głajszachtowania podniesiono na wyższy poziom: banany i długie włosy stały się dozwolone wszystkim. Muzyka też stała się „zachodnia” – zamiast potańcówek z oberkiem były dyskoteki z Sośnicką i Donną Summers. Ideał zgłajszachtowanej młodzieży był „abbopodobny” (wyglądać wypadało tak jak dziewczęta i chłopcy ze szwedzkiego kwartetu). Ważne, by w minispódniczkach i spodniach-dzwonach manifestować poparcie na pochodzie 1-majowym.

Każda akcja rodzi reakcję, im silniejszy napór na głajszacht, tym liczniejsza „ucieczka do wolności”. Miało to różne formy, także dalekie od wolności. Dawne podziały „parafialne” zanikły, liczyły się grupy i środowiska. Inna była młodzież z „zawodówek”, inna z liceum – światy były odrębne. Każdy z nich dodatkowo się dzielił: cyganeria artystyczna była z „plastyka” i „muzycznej”, za elitę miała się młodzież z Traugutta i Sienkiewicza, z pogardą odnosząca się do „kopernikusów” i „dąbrowszczaków”. Na ulicach i podwórkach rządzić zaczęli git-ludzie; pytanie o „parafię” zastąpiono trudniejszym: „gdzie garowałeś, ile ważysz” (w którym więzieniu siedziałeś, czy grypsowałeś tam, czy byłeś frajerem). Gitowcy nie znosili koloru i inności, zajęli się więc dla sportu polowaniem na hipisów, zaniedbanym przez popadających w sybarytyzm ormowców. Dzieci kwiaty przeszły na etap Pink Floyd i krakowskiego Osjan, oddając się psychodelii.

Czas psychodelii przestawał czarować. W peerelowskiej rzeczywistości LSD, meskalina, peyotl właściwie były niedostępne – żelazna kurtyna była naprawdę szczelna. Te braki uzupełnialiśmy miejscowymi środkami, przeważnie mieszkankami piguł parkopan, fenmetrazyną, efedryną oraz eterem. (...) Człowiek z pozytywnym potencjałem zwykle doświadczy cudnych boskich lotów, podczas gdy ten sam środek w identycznych warunkach zewnętrznym osobą gniewną czy pełną nienawiści zaprowadzi w światy piekielne i może zdarzyć się, że ciekawy pozostanie tam dłużej. (...) Siostra morfina już nie była taka wymagająca. Swoją euforię dzieliła w jednakowym stopniu między mądrych i głupich, wrażliwych i szubrawców, a w końcowym okresie swojego panowania, w najmocniejszej heroinowej wersji, przyciągnęła do siebie tyle zagubionych dziewcząt i chłopców, że ulice zaroiły się „narciarzami”. Delikwent stał na ugiętych nogach na środku ulicy i nie potrafił zdecydować, czy to, czy tamto, a może tamto i to? Taki był koniec, a początek? To już zupełnie inna bajka.

Świat gierkowski otworzył się na młodzież innym rodzajem upojenia: masową podażą napojów winopodobnych, zwanych winem owocowym, z najsłynniejszym tego gatunkiem J-23 (winem marki „Wino”, kosztującym do 1973 r. 23, potem 33 zł). Udostępniono nawet dzieciom z podstawówek wersję rozlewaną do buteleczek łudzaco przypominających oranżadę. Gdy lud znudziła „winna siara”, zaczynały się eksperymenty. Elity intelektualne metodą doświadczalną wypróbowały medykamenty: relanium, krople Inoziemcowa, leki na bazie opiumatów itp. Niższy ogół odkrywał urok kleju butapren lub płynu tri, odszukiwał grzybki i inne dary natury. Coraz więcej małałów siedziało z mordą w plastikowym woreczku, śmierdząc jak żarecka wytwórnia obuwia.

„Ziut” jako poszukujący właściwej frazy muzyk trafił w krąg elitarny; przemilcza we wspomnieniach nazwiska, wymieniając jedynie Tomka Klamę. Słusznie – różne były losy; dawne bractwo lub ich bliscy mogą niechętnie wspominać błędy młodości. Była grupa znająca się z czasów dzieciństwa, od zabaw szkolnych, wspólnie chodząca na prezentacje płyt rockowych przez Tacka Miśkiewicza, wspólnie bawiąca się na koncertach w klubach studenckich, odwiedzająca „Gościńną”, „Astorię”, „Gaj” („Teatralną”), „Adrię”. Grupa zatracająca się w dyskusjach o sztuce, każdy – niebezpiecznie – wierzył w swój talent muzyczny, plastyczny, literacki; każdy szukał czegoś innego niż szarzyzna glajszachtu. Z pewnych powodów, do których później przejdę, obraz tej grupy zachował się w materiałach SB, przechowywanych w katowickim archiwum IPN. Wzorem Gralaka, nie mogę wymienić nazwisk.

W 1979 r. przez narkotyki odszedł „Hendrix”, jego dziewczyna Krystyna P. po odratowaniu trafiła na oddział odwykowy szpitala na Tysiącleciu, pod opiekę lekarza o anielskim usposobieniu, Marka Sternalskiego. Dramat ten zmusił milicję do zainteresowania się nowym zjawiskiem. W PRL (a może i teraz) problem nienazwany nie istniał; narkomanię zauważano na „zgniłym zachodzie”, u nas młodzież była porządna, najwyżej trochę popijała i chuliganiała. W końcu lat 70. trudno było nie zauważyć „narciarzy”, coraz więcej zgonów wiązało się z makiwarą (domowej produkcji heroiną). Powstał MONAR, działał Kotański, a komendy MO zmuszone były otwierać sprawy operacyjnego opracowania. Otwarta takowa pod nazwą „Nirwana” określiła skład snującej się po naszym mieście grupy, przez którą omal nie odeszła Krystyna P. Był w niej Tomek Klama, były uczeń „Słowackiego”, był jego kolega z liceum, „Mikołaj”, był Grzegorz S., był „Dżef” i jego dziewczyna Basia, „Dudek” z „Kopernika”... Do tej grupy zaliczono także „Ziuta”. Milicja dopisała także słynnego „Saszę”, uważającego siebie za pierwszego hipisa w Częstochowie, bohatera piosenki Muńka o Kingu; ale tu już rozpoznanie przesadziło, bo „Sasza” nie był lubiany w kręgu Tomka Klamy.

Towarzystwo, zdaniem MO, weszło w narkotyki w 1976 r. Początkowo były to eksperymenty z lekami, potem morfina z zasobów szpitali. Kupował ją w Warszawie, Łodzi, Zakopanem Tomek K. wspólnie z „Mikołajem”, kombinowano ją także ze szpitala na Tysiącleciu, gdzie przez pewien czas pracował Grzegorz S. i „Dudek”. Ojciec „Dżefa”, milicjant, miał altankę na ogródkach działkowych, tam odbywały się seanse; korzystano także z mieszkania dziewczyny „Dżefa” – Basi. „Ziut” z „Dudkiem” mieli także metę na działkach przy ul. św. Barbary, goszcząc u pewnego kucharza jasnogórskiego. MO dodatkowo zelektryzowane zostało donosem ojca Grzegorza S., inżyniera pracującego w Hucie Katowice. Ojciec zabił się w 1979 r. na syna silnie uzależnionego; miał on w ciągu ostatniego roku cztery zapaści. Grzegorz, były uczeń Traugutta, wyrzucony ze szkoły, maturę zrobił w liceum korespondencyjnym. Tam ponoć poznał „środowisko ćpunów”. Mieszkał u ojca na Tysiącleciu w dwupokojowym mieszkaniu, dzieląc pokój z dorosłą siostrą. Siostra pracowała w szpitalu i tam załatwiła pracę bratu, co pozwalało mu wyreklamować się od wojska. Zdaniem ojca Grzegorz stawał się po narkotykach agresywny, groził wyrzuceniem wszystkich z mieszkania i sprzedaniem mebli. Miał wspólnie z Tomkiem K. i „Mikołajem” narkotyzować się w piwnicy przy ul. Kosmicznej. Środki na narkotyki mieli zdobywać, włamując się do piwnic, sklepów spożywczych i do biura jednego z przedsiębiorstw budowlanych. Donos ojca Grzegorza S. ożywił zainteresowanie milicji, ale w tym czasie grupa już się rozpadła. „Mikołaj” zerwał z narkotykami, w Łodzi odbył kurację odwykową. „Dudek” dostał się na studia medyczne w katowickiej uczelni, „Ziut” także wyemigrował do Katowic, rozpoczynając studia na Akademii Muzycznej. Utrzymywano jeszcze sporadyczne kontakty, między innymi „Mikołaj” na prośbę rodziców Tomka próbował go wyciągnąć z nałogu.

Ludzie, którzy poznali, co to życie, wymyślają czasami multum pomysłów, by je zmarnować. Grzegorz S. zapowiadał się na dobrego malarza, intuicyjnie odkrywającego grę kolorów.

Sławek Wroński, „Dudek” i „Mikołaj” rywalizowali między sobą w rzemiośle metaloplastyki. Nieżyjący już, niestety, „Mikołaj” do dziś pamiętany jest jako plastyk, grafik komputerowy i poeta.

Słowo tu dodać trzeba o diabelskim wynalazku, jakim była makiwara. Przed kruczają Kotąńskiego makówek na polskich polach nie brakowało. Trzeba było tylko ścinać słomę, ładować do worka i przetwarzać na kompot. Z tym był problem, bo gotowanie trwało kilka godzin i śmierdziało na cały blok. Wywar wstrzykiwano do żył. Z tym były kolejne problemy: w Polsce do 1990 r. nie było igieł i strzykawek jednorazowych; nawet w szpitalach jedną igłę stosowano kilkadziesiąt razy, sterylizując w autoklawach. Zwykły ćpun autoklawu nie miał, igłą dzielić się musiał, żyły miał już tak poprzekłuwane i zakrzepłe, że trudno było tępą igłą się przebić. Mieszkałem przy Dąbrowskiego 1, między „Astorią” a „Gajem”, na dole była kawiarnia MKPiK z najtańszą kawą w mieście. Z powodu taniości gromadzili się tam emeryci i ćpuni. Na klatce schodowej znajdowałem zniszczone strzykawki, na ścianach bryzgi krwi po nietrafionych przekłuciaczach... Czasem na podwórku potknąć się można było o denata w zapaści... Takie czasy, taki koniec psychodelii.

W naturze ćpuna wpisany jest program pozyskiwania nowych adeptów. Taki nowy staje się ćpuna żywicielem. Przez jakiś czas będzie źródłem kasy, bez której trudno zdobyć towar czy składniki do jego produkcji. Kłama miał charakter i gonił szczeniaków. Bronił ich przed gównem, w które sam się wpakował. (...) Był wyjątkowy, kto to widział, żeby ćpun na pogrzebie zgromadził taki tłum zajebistych ludzi.

III

Był sobie rok. Rok 80. Rok przełomu, rozbudzonych oczekiwań i nadziei, że wszystko da się zmienić. Gdy biernym oporem, nieposłuszeństwem i strajkiem odebraliśmy komuchom pewność siebie, na jakiś czas zaryglowali się w swoich komitetach. (...) My – Naród – nie chcieliśmy stracić ani jednego dnia wyszarpanej wolności, więc rozpoczęliśmy wielkie świętowanie.

Atmosfera karnawału opanowała całą młodzież, bycie „ekstremalnym antykomunistą” stało się modą. „Ziut” wrócił z Katowic, pożegnawszy orkiestrę Jerzego Milana. Istniał już Tie Break, założony przez Yaninę i Majchrzaka, nierozwiązany przez Cześka; „Graal” wraz z młodymi Pospieszalskimi (zastąpili w składzie basistę Janka) nadał mu nowe brzmienie. „Ziut” miał także dylemat związany z „duchem czasu”: wejść „w politykę” czy skupić się na muzyce.

„Dudek” w Katowicach stał się KPN-owcem, próbował to przenieść pod Jasną Górę, ale zderzył się z wieloma innymi KPN-owcami, uważającymi się za ważniejszych. „Mikołaj” i starzy koledzy „Graala” – Piotrek G. i Sławek W. dziwnym zrzędzeniem losu odnaleźli się w Ruchu Młodej Polski. Przewaga znajomków powodowała, że ku temu środowisku skłaniał się „Ziut”. Skończyło się to zaangażowaniem – i słusznie – na jednej imprezie. Tego słowa „słusznie” używam z pełnym przekonaniem; też bowiem, dziwnym losu zrzędzeniem, stałem się jesienią 1981 r. liderem częstochowskiego środowiska RMP. Mój wybór był jednak moim wyborem, cena płacona – moim kosztem, a zasadą: nie można nikogo zmuszać do powielania własnych wyborów. Stwórca dał Gralakowi pewien talent i tego talentu muzycznego, mimo usilnych prób, nie zmarnował, czym przyczynił się dobru ludzkości.

Było więc tak, że z „Dudkiem” i KPN-owcami, my – „młodopolacy” – urządziliśmy pierwszą w historii Częstochowy manifestację w rocznicę agresji sowieckiej 17 września 1981 r. Miał być na niej Leszek Moczulski, bo data ta była jednocześnie rocznicą utworzenia KPN. Leszek nie przyjechał, bo go wsadzili ponownie do więzienia. Była Maria, jego żona. Po manifestacji spotkaliśmy się w mieszkaniu „Mikołaja”. Maria, bez obrazy, zbyt mądrze nie gadała. „Ziut” posłuchał, popatrzył, doszedł do wniosku, że ta cała opozycja to amatorskie „harcerstwo” i na tym skończył „młodopolskie” zaangażowanie.

„Ziut” dostrzegł „harcerstwo” – a SB zagrożenie systemu. W listopadzie rzucili się na przesłuchiwanie osób związanych z RMP, licząc, że kogoś złamią, zastraszą, skłonią do współpracy. Rozpoznając środowisko, zwrócili uwagę na „Mikołaja”, wyciągnęli z MO akta sprawy „Nirwana” i zaczęli motać legendę, że cały nasz ruch to „banda ćpunów”. W końcu listopada przesłuchiwali „Mikołaja”, indagując go na temat Tomka K., „Dżefa”, Grześka S. Potem wzięli się za Tomka K., wyciągając od niego długą listę nazwisk osób z dawnego towarzystwa. Stan wojenny nie przerwał tej zabawy. 7 stycznia 1982 r. przeprowadzono rozmowę ostrzegawczą z „Ziutem” Gralakiem, tak przynajmniej oficjalnie to nazwano. Rozmowa i rewizja są opisane w książce:

Następnego dnia rozpoczęły się codzienne „sesje nagraniowe”. Nie przymknęli mnie, bo, jak się wyraził ten zły przesłuchujący, ten od mielonego z cebulą, mieszkam na tej samej ulicy, więc szybciej i taniej będzie, jak sam będę przychodził. Nie trzeba wozić i karmić. Przynajmniej na razie. Ha, ha, ha. (...) Moje wyjaśnienia, potwierdzone zeznaniami innych nieszczęśników, pozwoliły mi uniknąć internowania. Sprawy związane z narkotykami były poza zainteresowaniem bezpieki. To był wstydlivy temat PRL-u, zamiatany pod dywan. Nigdy nie lubiłem organizacji (...). Próbowałem kolegom otworzyć oczy:
– Panowie, to jakaś ściema, to nie jest dla nas miejsce. Prowadźmy o wiele poważniejsze badania naukowe „Wpływ opiatów na świadomość – chemiczna ścieżka wyzwolenia”.

„Mikołaj” uniknął internowania 13 grudnia. Prawie od razu zaangażował się w działalność podziemną; wspólnie z Marianem Rawinsem wydawał i kolportował „Gazetę Wojenną”. Wpadł w marcu 1982 r. W śledztwie po raz kolejny SB próbowała „doszyć” mu wątek „ćpuński”. To nie było tak, że sprawy narkomańskie były poza zainteresowaniem SB; ich interesowało wszystko, co mogło być przydatne do łamania ludzi.

To już jednak inna, nie „Ziutowa” historia. Przypominam ją, bo czuję się współwinny, że to przez nasze RMP-owskie środowisko „Graal” narażony został na nieprzyjemność dyskusji z kapitanem Wilkiem. Ku pokrzepieniu serc dopowiem, że w papierach esbeckich wystawiono „Ziutowi” dobrą opinię: „Józef Gralak dał się poznać jako osoba inteligentna, o wysokich ambicjach muzycznych (...), nigdzie nie należy, bo nie ma ochoty i czasu, zajmuje go muzyka”.

Przynajmniej raz się SB udało napisać prawdę.

Tyle moich uzupełnień. W sumie – niepotrzebnych, bo opowiadania „Ziuta”, skrząc się ironią, zachowując dystans do rzeczywistości, mówią wszystko o tamtych czasach, tamtych miejscach, tamtych ludziach.

Cytaty pochodzą z książki: A. „Ziut” Gralak, *Pomiędzy*, Wydawnictwo TARARARA, Lublin 2022.

Konrad Ludwicki

O TRENACH I ŚWIADOMOŚCI JANUSZA STROJCA

JANUSZ STROJEC, POETA, NAUCZYCIEL, HUMANISTA, nie jest debiutantem. Wprawdzie dopiero teraz wydaje swój pierwszy wolumin-antologię, jest jednak twórcą z dorobkiem. Swe liryki publikował głównie w periodykach regionalnych i portalach internetowych (*Opoka*).

Cykl jego trenów wchodzi w skład obszernego tomiku (a nawet tomu) pod znamienym tytułem *Stygmaty*. Strojec w swym dotychczasowym lirycznym tonie – jak można wnioskować z lektury – uderza mocniej w obszar *sacrum* niż tylko w *profanum*. Pokażną ilością wierszy w wydanym tomie wpisuje się on – nie mam co do tego wątpliwości – w nurt poezji religijnej, a nawet, uściślając, w nurt poezji pasyjnej.

Cykl XXIV trenów poświęcony jest zmarłej Matce. To liryki, które są nie tylko do czytania, ale i są tekstem, który się czuje. Mamy do czynienia z osobliwą relacją-deskrypcją kochającego syna do Matki. To swoiste reprodukcje przeszłości. Sprawozdanie syna, który ubolewa, nie tylko i nie tyle nad odejściem Mamy, ale i żałuje tego, czego względem Niej zaniechał. Czego nie zrobił – a co przepadło bezpowrotnie. W treści liryki jest opis czasu obecnego – tu i teraz. Niemniej są i retrospekcje – wspomnienia tego, co było i snucie refleksji tego, co być jeszcze może.

Smutek i żal, a nawet dramat syna ujęty jest w zasadzie realistycznie. Jednak nadawca – ów podmiot liryczny – mimo swego realizmu nie jest wyłącznie realistyczny. Autentyzm trenów przedstawiony jest też alegorycznie i metaforycznie czy wreszcie emocjonalnie. Każdy utwór zaczyna się zwrotem – rodzajem apostrofy – „Kochana Mamo”. Trudno o bardziej wymowne otwarcie. To wspomnienia i przypomnienia. Intymny diariusz. To zapis obrazów dzieciństwa i młodości konfrontowanych z dziś. Przekaz minionego czasu życia. Czasu, który był ekstatyczny, melancholijny, ale i szczęśliwy. Nadawca zabiera czytelnika w bezpretensjonalną podróż tekstu-wyznania. To ascetyczny i wzruszający cykl. To treny będące epitafiami, ale będące też nokturnami. Tak je nazywa sam autor. W trenie XIV pisze:

wreszcie napisałem wiersz
w akordach
nokturnu żałobnego
lutowego dnia
na mojej twarzy.

Strojec opisuje (nawet nie komentując) znikomość i absurdalność ludzkiej egzystencji. Owa efemeryczność to niejako klamra trenów. Pisze bez egzaltacji o codzienności pozbawionej rytuałów. Toczy się ona z dnia na dzień, w rytmie wykonywanych czynności. Autor wie, że sens egzystencji jest gdzie indziej. Jest po drugiej stronie. Po śmierci. Już sam tytuł *Listy do nieba* w sposób niemal dosłowny sugeruje jego świadomość. Może to i tytuł afektowany, lecz przez to i śmiały.

Janusz Strojec, twórca dojrzały, momentami jawi się jako gorzki ironista i przede wszystkim wirtuoz minimalizmu. Minimalizm płynnie łączy on z nostalgicznym wspomnieniem

młodości i dzieciństwa. Całość (na)pisana jest językiem prostym i zrozumiałym, którego nie trzeba interpretować – to wersy, które najlepiej wyjaśniają się same.

Lektura uświadamia czytelnikowi, iż poeta zapatrzony jest nie tylko w swój styl, lecz jeszcze bardziej zapatrzony jest w świat. Autor ma świadomość, iż sens życia musi być poza nim.

W swej prostocie Strojec dotyka kwestii zasadniczych. Bytu, sensu i tego, co po. Opisuje – i to jak – śmierć, a raczej przejście... W trenie XXI pisze:

patrzę jak śpisz
ostatni oddech
rozrzedził powietrze
szpitalnej sali
powieki zatrzasnęły drzwi
ziemskiego labiryntu.

To wiersze-doświadczenie. To poezje świadome. Janusz Strojec wie, iż życie i nauka nie powiedziały na temat świadomości i śmierci nic więcej niż literatura. W swoich trenach przedstawia i opisuje, a przez to – co jest cechą sztuki w ogóle – zatrzymuje istnienie. Zatrzymuje, by przetrwało. Zaklina byt nie tylko swej Rodzicielki, ale i swój. Pisanie o Mamie jest ostatecznie pisaniem o sobie i pisaniem siebie. Bo przecież aby odtworzyć sceny sprzed iluś tam lat, musi wymyślić s i ę. Przypomnieć i pokazać siebie. Strojec wie też i mówi o tym – jakkolwiek w sposób niekoniecznie dosłowny – iż przeszłość jest niezmienna. Jedyne, co możemy względem niej zrobić, to ją opisać. Uczynił to delikatnie i mocno. Dokonał tego subtelnie i wyraziście. Pisanie Janusza Strojca jest przede wszystkim naturalne. Jest klasyczne, a nawet odrobinę archaiczne w zderzeniu z dzisiejszymi wierszami w wersji pop, gdzie twórcy-influencerzy zręcznie grają zdania. Poezja Strojca nie jest *cool*, jest raczej *passé*. Nie jest liryką skrojoną pod Instagram. To treny jak najbardziej – w dobrym tego słowa znaczeniu – klasyczne. Modelowe, jakkolwiek z nowymi (bądź prawidłowo: i n n y m i) treściami i sensami. Zmarli – wie to autor – tylko pozornie nikomu nie służą. Janusz Strojec czuje Matkę po śmierci równie mocno jak za życia. A może i nawet mocniej, bowiem jest Ona bliżej prawd wiecznych. A przez to staje się bardziej trwała, bo i duch(owość) jest trwalsza niż materia.

Tak ja odczytuję te treny. Ale przecież każdy stawia inne akcenty na te same wersy, czytając tę samą lirykę.

Konrad Ludwicki – doktor nauk humanistycznych, prozaik i eseista. Autor m.in. monografii *Kino Marka Hłaski* (Katowice-Warszawa 2004), *Pisanie jako egzystencja(lizm). Refleksja autotematyczna na marginesie „Księgi niepokoju” Fernanda Pessoa* (Warszawa 2011), *Bóg – Zło – Modlitwa. Wokół „Uwag 1940-1942” Karola Ludwika Konińskiego* (Kraków 2016). Jest też autorem dwóch wydań powieści *Lakrimma* (Katowice 2008 i 2016) oraz zbioru opowiadań *Ściana i inne miniatury* (Warszawa 2011). Publikował m.in. w „Akancie”, „Bulionie”, „Gazecie Polskiej”, „Gazecie Wyborczej”, „Horyzontach”, „Niedzieli”, „Nowym Napisie”, „Materiałach i Studiach Sławianoznawczych”, „Studium”, „Schulz/Forum”, „Studia Historiolitteraria”, „Studia de Cultura”. Zawodowo związany z Uniwersytetem im. Jana Długosza w Częstochowie.

Andrzej Piechocki

NA MARGINESIE ARTYKUŁU *ULEGŁOŚĆ CZY OBOJĘTNOŚĆ?...*

MACIEJ RUDLIICKI ZAMIEŚCIŁ W SZEŚĆDZIESIĄTYM NUMERZE „GALERII” tekst zatytułowany *Uległość czy obojętność?...* Jego wypowiedź jest ciekawym głosem w powszechnej dzisiaj dyskusji o źródłach zła tkwiących we współczesnych społeczeństwach. Autor, aktywny i istotny uczestnik naszych literackich poczynąń, zamieszczając swoje przemyślenia, powołuje się w kilku miejscach na mój esej zatytułowany *Trzy przesłania*, który został opublikowany w drugiej połowie ubiegłego roku na łamach „Galerii”. Będąc przyjemnie połączony faktem cytowania moich słów, zauważyłem, że autor tekstu, w odróżnieniu ode mnie sięgnął głębiej do prądów faszystów. Trafnie powołuje się na poglądy Fryderyka Nietzschego i Josepha de Maistre’a. Od takich filozofów jak ci dwaj wcześniej wymienieni zaczęło się to, co Zygmunt Bauman nazywa „nowoczesnością zagłady”, a co według mnie jest przyczyną naszych dzisiejszych cywilizacyjnych nieszczęść.

Na pytanie: uległość czy obojętność? – stawiam na OBOJĘTNOŚĆ! Obojętność to destrukcyjny żywioł, a uległość to konsekwencja obojętności, poręczny synonim. Wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu dni nadały naszym rozważaniom mocniejsze brzmienie; wszystko się wyostrzyło, spotęgowało i przybliżyło. Nasze myśli teraz przemieszczają się pomiędzy utopią a dystopią.

W końcowej części swojego artykułu Maciej Rudlicki zatrzymuje się nad, niestety stale aktualną, sprawą uchodźców na granicy z Białorusią. Postawił też niezwykle ważne i zarazem niebezpieczne pytanie: „Czy na czele drabiny społecznej stoi człowiek, czy naród?”. Na ten dylemat mogę tylko odpowiedzieć poprzez zacytowanie protestanckiego pastora i filozofa Reinholda Niebuha, którego nauki są do dzisiaj drogowskazem dla amerykańskich demokratów. Oto jego przemyślenia z początku lat czterdziestych, gdy nazizm osiągał swoje apogeum:

Naród to zbiorowa jedność podtrzymywana siłą i emocjami, a nie racjonalnością. A ponieważ nie ma etycznego działania bez autokrytyki, tej zaś nie ma bez zdolności do przekraczania własnych ograniczeń. Zatem staje się zrozumiałe, że postawy narodu nie będą zbliżać się do postaw etycznych.

Szanując pojęcie narodu, nie należy się zwalniać z zasady „krytycznego rozumu” albo, jak ktoś chce, z „autokrytycznego oglądu”.

Na piętrzące się przed nami problemy związane z uchodźcami – z ludźmi uciekającymi przed wojną w Ukrainie, jak również z tymi ukrywającymi się w lasach przy granicy z Białorusią – polecam 10 wskazań prof. Tadeusza Sławka, które ten „luminarz na ciężkie czasy” zaproponował nam podczas swojego wykładu zatytułowanego: „Gdzie znaleźć azyl? Kto mi da gościć?”. Przyjrzyjmy się zatem życzliwym i mądrym podpowiedziom emerytowanego profesora z Katowic.

Tak zostały one sformułowane:

1. To co żyje, nie musi mieć ojczyzny, aby żyć.
2. Życie jest bezpaństwowe i nie ma paszportu. Paszport można zgubić, odzyskać – życia nie! Wiza może być wielokrotna. Życie, każde życie, jest wyłącznie jednokrotne.
3. Jeżeli nie przystajesz na prawo innego do bycia domownikiem, to przyznaj mu przynajmniej prawo do odwiedzin.
4. Wspólne życie koło siebie i ze sobą jest nieuniknione. Chodzi o rozumną politykę migracyjną, ale ta będzie tylko czysto administracyjną konstrukcją, jeżeli nie zakorzeni się w empatycznym rozumieniu. Dlatego jest to wielkie zadanie dla nas wszystkich, ale najbardziej dla szkół. Podtrzymujmy nade wszystko wrażliwość.
5. Jest człowiekiem – to punkt wyjścia. Na pytanie, skąd przyszedł, o co mu chodzi, przyjdzie czas.
6. Gdy ci mówią, że masz większe prawa jako obywatel niż jako człowiek – nie wierz im ani przez chwilę.
7. Zachowaj zdolność do zdziwienia, to bowiem pozwala ci zobaczyć, że nie wiesz wszystkiego, że nie wszystko potrafisz przewidzieć. Obroni cię to też przed tymi, którzy wszystko wiedzą i wszystko przewidują.
8. Wbrew politykom spróbuj znaleźć wspólny horyzont dla polityki i etyki. Tak, wiem, nazwą cię naiwnym albo pożytecznym idiotą. Trudno! To i tak niska cena za przyzwoitość.
9. Zawsze pamiętaj o wielkiej nauce Spinozy. Ta nauka brzmi: „Nikt nie rodzi się obywatelem – obywatelem trzeba się stać”.
10. Jest drugie ostrzeżenie Spinozy: „Społeczeństwo ludzi dających sobą powodować i bezmyślnie posłuszne nie jest społeczeństwem, lecz pastwiskiem, na którym pasie się trzoda”.

Wychodzi na to, że trzeba będzie wrócić do dorobku Barucha Spinozy, niderlandzkiego filozofa żyjącego w XVII wieku. Przeszło pięćdziesiąt lat temu „Starsi Panowie Dwaj”, Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski, napisali rytmiczną piosenkę zatytułowaną „Mambo Spinoza”. Refren tego utworu brzmi następująco:

Spinoza –
 Nie imię to dziewczyny!
 Spinoza –
 To nie z importu lek!
 Spinoza –
 Nie nazwa to rośliny,
 To był filozof wzięty!
 Nieprzeciętny łeb!



Barbara Strzelbicka

OPOWIEŚĆ O POETYCKIEJ TWÓRCZOŚCI ARKADIUSZA FRANI (część trzecia)

WALDEMAR SKRZYPCZYK w pośłowiu do drugiego tomu poetyckiego Arkadiusza Frani *powiedz mi siebie*, wydanego w roku 1995, podkreślił, iż jest to spójna, dobrze skomponowana „książka poetycka”, poniekąd antycypując tę cechę późniejszych tomów lub też wskazując ją jako pożądaną. Pod tym względem tom *oset*¹ znacznie przewyższa wszystkie wcześniejsze „książki poetyckie”. Wydaje się, że osiągnięcie wysokiego stopnia spójności wierszy, a jednocześnie uniknięcie wrażenia, że autor ciągle pisze jeden i ten sam wiersz, wcale nie jest proste. Liczący 40 wierszy zbiór jest przykładem świetnie skomponowanej książki, której tematem jest poetycki proces twórczy i, co oczywiste, sytuacja twórcy.

Autor zastosował zabieg kompozycyjny, polegający na pewnym rozdzieleniu – do czego przyznaje się w wierszu o wymownym incipicie „wiersz bardzo łatwo nas podwaja” (O, 12), powtórzonym z niewielką zmianą w kodzie: „wiersz bardzo łatwo nas rozdwa”. Gdy użyjemy tych słów jako klucza do odczytania wierszy zawartych w tomiku, ujrzymy, jak podmiot liryczny obserwuje, a może nawet podgląda siebie w trakcie pisania/tworzenia/niepisania wierszy i... opisuje to w wierszach. Sytuacja paradoksalna, ale nie jest to tak niedorzeczne, jak by się wydawało, a tych pozornych niedorzeczności jest w tomiku znacznie więcej.

Wyjaśnijmy, iż takie rozdzielenie nie jest bynajmniej objawem schizofrenii, wszak już w trakcie podstawowej edukacji z zakresu teorii literatury przekonywani jesteśmy do tego, by autora wiersza nie utożsamiać z jego podmiotem lirycznym, nazywanym także „ja”. A więc jest autor, myślący o sobie „ja” i jest „ja” liryczne. W wierszach zamieszczonych w tomie *oset* dochodzi do pewnego odwrócenia sytuacji: „ja” liryczne obserwuje poetę, który staje się bohaterem wierszy, dochodzi też między nimi do interakcji i do dialogu. Oto przykłady opisanego relacji pomiędzy podmiotem i bohaterem lirycznym – dwoma aspektami tej samej osoby: „nie mogę pójść dalej / niż w siebie który zaciemnia mi obraz” (O, 18) albo puenta prośby do siebie o napisanie wiersza: „żebyś tylko przepisał siebie z siebie” (O, 24).



1 Arkadiusz Franja, *oset*, Norbertinum, Lublin 2019; odwołania w tekście: (O, nr strony).

Nasuwa się pytanie, po co autorowi taki zabieg. Najwyraźniej w ten sposób można wyraziście ukazać złożoność ludzkiej psychiki, jej niejednoznaczność i sprzeczności; można także próbować dotrzeć do tajemnicy procesu twórczego, dziejącego się w pewnej części poza świadomością, pozostającego poza kontrolą myśli.

Jak więc wygląda praca poety, owo zmaganie się z materią słowną? Wiersze często „uciekają”, zanim zostaną zapisane, gdy spłoszy je hałas: „rozsypany się dźwięki / uciekł wiersz” (O, 5), więc na wszelki wypadek „obok poduszki zamiast pistoletu / trzymam kartkę papieru czystą z obu stron” (O, 19). Zdarza się, że wiersz zostaje zapisany: „warto było jednak wstać / i zapisać koślawym ściegiem sześć kartek / z których jutro może do wiersza pasować będzie / pół ostatniego słowa” (O, 23). W dalszej części wiersza znajdujemy wyjaśnienie tytułu nadanego tomowi – *oset*: redukcja nocnego plonu prowadzi na manowce, bo pojawia się całkiem inne słowo, powtórzone trzykrotnie, jakby natrętne, a w końcu także i ono ulega skróceniu do jednej sylaby: *ost*. Tytułowy *oset* tworzy się sam, bez udziału pracy myślowej poety. Można uznać, że stało się tak, jak życzył sobie poeta: „niech litery świadomie / budzą ze snu sens wyrazów” (O, 6) – litery zatem, nie twórca, są odpowiedzialne za ostateczny sens wypowiedzi poetyckiej.

Selekcja nie ogranicza się do plonu jednej nocy, kolejna ma miejsce po napisaniu na przykład dwudziestu wierszy: „nic tylko przebierać wyrzucać” (O, 37), aż pozostanie to, co najważniejsze, co „jest całą resztą / całą połową / całym ułamkiem / całym mną”. Zwróćmy uwagę, że zacytowane określenia służą podkreśleniu kompletności tego, co zostanie po odrzuceniu zbędnego, choć pierwotnie jest częścią. Także człowiek, jako ułomny w swej istocie, kompletny staje się dopiero po odrzuceniu tego, co zbędne. Wydaje się, że to zupełnie logiczne – w odniesieniu do wszystkiego, co podlega doskonaleniu, rozwojowi. Takie podejście jest zgodne z zasadą ekonomii myślenia, znaną jako „brzytwa Ockhama”, zachęcającą do prostoty i niemnożenia bytów ponad potrzebę.

Etymologii i znaczeniu tytułu tomu wiele uwagi poświęca Tadeusz Luterek², kończąc swoje rozważania następującą konkluzją:

Oset ma dla niego [Arkadiusza Frani] znaczenie dosłowne, jak i metaforyczne, nawiązujące do jego naturalnych właściwości. Najpewniej oznaczać ma zwieńczenie złożonego i wyczerpującego procesu pisania wiersza. Procesu, w którym piszącemu zdarza się doznawać duchowych oschłości, bolesnych ukłuc i zadrapań, a nawet krwawienia. Czy jednak tak przebiegający akt twórczy nie posiada właściwości oczyszczających wyobraźnię? Czy dla piszącego nie jest rodzajem autoterapii?³

Poeta jest organicznie zrośnięty ze swoimi wierszami, jakby jego ciało w akcie tworzenia przestaczało się w ciało wiersza. Dobrze ilustruje to wiersz ^{***}(*od kilku dni...* – O, 8), wprowadzający atmosferę jak w horrorze. Napisany na kartce wiersz leży na niej jak serce ryby wyrzucone na piasek, jeszcze żywe. Poeta przebija wiersz – serce, a ściślej – worek osierdziowy – „dobrze naostrzonym długopisem” jak sztyletem, by wyspały się litery. Nie widzi jednak swoich zakrwawionych rąk, lecz „krew na rękach”, co ma inne znaczenie, metaforycznie bowiem krew na rękach oznacza winę – ale to nie koniec grozy. Okazuje się bowiem, że morderstwo jest jednocześnie samobójstwem, gdyż narzędzie zbrodni przebiło na wylot samego poe-
tę w miejscu, gdzie zwykle się umieszcza uczucia – w piersi.

2 Tadeusz Luterek, *Poety Arkadiusza Frani dotykane ostu* [w:] Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” nr 52, październik-grudzień 2019, s. 82-85.

3 Tamże, s. 83.

Podobna jest wymowa wiersza ***(*tak to jest nie* – O, 28). Drugi jego wers, bliźniaczy wobec pierwszego – „nie to jest tak” pokazuje w lustrzanym odbiciu świat, jak gdyby poeta, przeglądając się w lustrze, widział tam swoje wiersze i zauważał, że „te wiersze przytyły”. Jednak nie przerzuca na nie wszystkich negatywnych zjawisk, spowodowanych upływem czasu, niehigienicznym życiem i własnymi zaniedbaniami, zwraca się bowiem ku sobie, stwierdzając na koniec: „tak to jestem ja”. Parafrazując: moje wiersze to ja.

Krwawe sceny rozgrywają się także w innych wierszach, w których obecne jest ciało, jego fizyczność i ból. Podczas pisania niecierpliwość serca przenosi się na kursor, który domaga się świeżej krwi: „kursor bije jak niecierpliwe serce / gdzie te krwinki gdzie ten tlen” (O, 13), w innym wierszu pojawia się inna „krwista” metafora: „słowniki krwi” (O, 31), opisująca żywotny związek poety z zasobami leksykalnymi. Syndromy prawdziwego życia i nierozłącznego z nim prawdziwego pisania to „oddech bicie serca / przepływ krwi do mózgu” (O, 44), życie zaś trwa „aż do ostatniego oddechu” (O, 9).

Najbardziej „cielesny” wiersz zaczyna się od słów „rozbierz mnie do cna...” (O, 35), ale nie chodzi tu o rozbieranie z odzienia, lecz raczej o rozbieranie w znaczeniu rzeźniczo-masarskim: „do łyka / do tchawicy / do żył // ogryź rękę z mięsa i ścięgien / (...) / żeby zostały tylko kości”. Po co to „rozbieranie”? Bo ciało jest nieadekwatne wobec odczuwania siebie, jest zbędne, obce, więc trzeba złożyć je w ofierze. W innych wierszach znajdziemy cielesność opisaną mniej drastycznie, choć „ciało rozłożone na tkanki i kompost” (O, 7) również epatuje biologizacją.

Podobnie często jak serce i krew pojawiają się w tych wierszach ręce, a zwłaszcza palce, będące ostatnim ogniwem łańcucha przenoszącego myśl na papier albo na ekran monitora. Gdy brak słów, „w rozłożonych rękach tężeje milczenie” (O, 10), długopis „nie pasuje do ręki palców odcisków” (O, 22), wiersz może „uciekać z moich palców” (O, 16), a ktoś może go napisać „choćby palcem w powietrzu” (O, 24). Bywają też takie chwile, że „pióro ucieka mi od ręki” (O, 41), a przy podejmowaniu prób pisania „kołyszą się słowa i drży ręka” (O, 44).

Pisanie jest czynnością wymagającą energii, zwłaszcza gdy materia jest oporna i nie chce się poddać woli piszącego: „słowa nie idą po kolei / zachodzą na siebie / ale żadne nie chce z innego wynikać” (O, 13). Słowa są jak żywe istoty, mają własną wolę, mają też uczucia.

Wiersz ***(*w sobotnie popołudnie...* – O, 15) przypomina przypowieść, której tematem jest słowo. Oto poeta w sobotnie popołudnie napisał słowo – w natchnieniu, skoro wyznaje, że: „tak jakoś napisało mi się słowo”. Mimo prób i wysiłków żadne inne słowa do niego nie pasowały, zwłaszcza że poeta zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, za dalsze losy wiersza, który ma powstać ze słów dołączonych do pierwszego. Pobrzmiewa tu delikatne echo słów „Na początku było Słowo...”, rozpoczynających Ewangelię wg św. Jana, ale – jak to u Arkadiusza Frani – sparafrazowanych, bo słowo pojawiło się u niego „na dobry początek”. Niestety, wiersz – przypowieść kończy się konstatacją: „siedzę nad kartką od stu lat / i czuję się podle / bo nie umiem odpowiedzieć na wołanie słowa”. Można jednak z tego zakończenia wysnuć istotny wniosek: rolę poety jest usłyszeć wołanie „słowa” i umieć na nie odpowiedzieć.

Poeta żyje w świecie słów: „w brzuchach słów / schował się cały świat” (O, 16), a nawet pozostaje w ich władaniu, gdy tworzą się same albo odmawiają przyjścia. Są surowcem, jak kapusta do kiszenia: „rzucam słowo na słowo / mieszam ze słowem / zostawiam do skisnięcia” (O, 13), kamieniem i brzemieniem dla człowieka – Syzyfa:

mam tylko dwie ręce i dwie nogi
jak więc wtoczę na szczyt

trzynaście liter
 głazów wielkich jak „całe moje życie”
 (O, 14).

Wiersz objawia się poecie etapami: „jest przeczcucie wiersza / zaraz potem jego zarys” (O, 21), ale może pierzchnąć, choć i wtedy nie wszystko stracone: „niech inny człowiek napisze mój wiersz” – kończy poeta. Po raz kolejny manifestuje, że wiersze przychodzą nieoczekiwanie i w różnych sytuacjach: „wiersz zniecka spadł mi na głowę” (O, 18), „morze wyrzuciło na plażę wiersz” (16), mogą też wychodzić z ziemi po deszczu jak dżdżownice: „a z ziemi zaczęły wychodzić wiersze oślizłe jak glisty” (O, 11) czy dopaść nagle poetę „przy przejściu na skrzyżowaniu ulic / sobieskiego i nowowiejskiego / muszę zapamiętać wiersz” (O, 26). Czasem poeta, choć jest przygotowany na przyjęcie wiersza, celowo decyduje się pozostawić go na etapie „przedślovnym”:

mam pod ręką długopis
 pod palcem główkę atramentu
 ale nie strzelam
 na razie zostawiam wiersz bez słów

wiersz biały jak czysta kartka

czy poczeka
 (O, 29).

Zwróćmy uwagę na porównanie, w którym zmienione jest znaczenie terminu „wiersz biały” – tutaj oznacza on wiersz niezapisany, niewidoczny.

W tomie *oset* jest także kilka wskazówek co do tego, jak powinno się pisać wiersze. Nie są to wskazówki na serio, raczej powtórzone za tymi, którzy ich udzielają – po to, by się z nimi rozprawić i pokazać, jak są nieprzydatne. Oto jedna z nich:

wiersze powinno pisać się
 od razu na czysto
 bez skreśleń poprawek dodatków
 (O, 36).

I zaraz potem puenta, sprowadzająca do absurdu powyższą zasadę: ów zapisany od razu na czysto, schludny, chciałoby się dodać, wiersz powinien zawierać – bagatela! – „dygotanie duszy i kilka słów miażdżących nicość”. Inna rada: „wiersze powinno się pisać rzadko” (O, 6) ze względu na innych, którym może się nie podobać, że ktoś pisze często, a pisanie niezbyt częste ma dawać gwarancję, że powstanie „wiersz na odległość wspomnienia / na głębokość bólu w klatce piersiowej”.

Ostatecznie jednak okazuje się, że pisanie oznacza życie, a życie – pisanie, które to podsumowanie zawiera ostatni wiersz zbioru, zaczynający się stwierdzeniem „jest za późno / zdecydowanie za późno na prawdziwe pisanie / i prawdziwe życie” (O, 44). To sprzęgnięcie wcześniej zostało ujęte w lapidarnym wierszu: „pióro ucieka mi od ręki / słowo ucieka mi od języka / życie ucieka mi od śmierci” (O, 41).

Trafnie ujmuje to Tadeusz Luterek:

Po kilkakrotnej lekturze tomiku z przekonaniem mogę powiedzieć, że *Oset* jest zbiorkiem, świadomie i z potrzeby twórczej poświęconym sztuce pisania wierszy, skoncentrowanym głównie na tym procesie oraz stanowiącym jednocześnie swoistą, bolesną wiwisekcję na żywym organizmie autora, dzięki której pogłębia on swoją wiedzę o dylematach twórczych⁴.

Ten skromny objętościowo tomik jest niezwykle bogaty w treści i asocjacje, które pozwala wydobyć uważna lektura. W materii słownej Arkadiusz Frania porusza się nad wyraz swobodnie – jest to po prostu jego naturalne środowisko i choć dobrze znane, to ciągle interesujące i fascynujące. W 2023 roku minie 30 lat od daty publikacji pierwszego wiersza poety. W tym czasie dojrzał jako człowiek i jako twórca. Cechami, którym pozostał wierny, są wrażliwość, konsekwencja i organiczny wręcz związek z pisaniem. Pomimo często padających pytań o jego sens, nie mam wątpliwości: Arkadiusz Frania będzie pisał, bo dla niego pisanie oznacza życie.

Kończąc opowieść o poezji Arkadiusza Frania, subiektywność rozważań w niej zawartych usprawiedliwię, odwołując się do słów samego Poety:

każdy z czytelników ma bowiem prawo odnaleźć w wierszach ślady własnych doświadczeń, zinterpretować je zgodnie z uprzedzeniami i preferencjami, nawet gdyby odbywało się to wbrew intencjom poety. Od dawna hołduję zasadzie, że najmniej o utworach wie autor, bo właśnie jest tylko autorem, przecież w jakiś sposób wiersz musiał „objawić się” na kartce papieru. Czy zatem osoba pisarza to najmniej ważne ogniwo obiegu literatury?⁵



4 Tamże, s. 85.

5 A. Frania, *Próba przywrócenia. Poeta Stefan Żółtowski*, [w:] Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” nr 61, styczeń-marzec 2022, s. 52.

Małgorzata Nowakowska- Karczewska

CIAŁO



I

„Ten nasz dom – ciało”
[Mikołaj Sęp Szarzyński]

DESMOND MORRIS, ZOOLOG – AUTOR POPULARNYCH ONGI PRAC na temat historii naturalnej, choćby *Nagiej małpy* czy *Nagiej kobiety* – mniemał, iż ciało ludzkie, a niewieście zwłaszcza, jest najdoskonalszym dziełem natury. Każda kobieta to istota wyjątkowa, niezwykła, o czym zapewniał i Jan Andrzej Morsztyn w wierszu *Do Anny*:

„Cudzie nad świata siedm cudów starego,
Najdoskonalsza natury roboto”.

Rozkwitająca kobiecość zwykle fascynuje – „jestem zaczadzona pięknem swojego ciała” – pisała Halina Poświatowska. Młode kobiety wierzą, podobnie jak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, iż:

„Póki mam twarz białą z różowym,
bez żadnych zmarszczek na skroni,
marzyć o tym lub owym
nikt mi nie wzbroni”.

Studiując pilnie swoje ciało, panie zawsze były gotowe, by szybko skorygować niedoskonałości urody, które wyrządził upływający czas, stąd niemal każda posiadała „arsenał” podobny do tego, który opisał Hieronim Morsztyn:

„Farbiczki i bielidła, więc i szpikandrowe
Wódki, olejki z róże, więc i balsamowe
I wszystko to, co ciału lubo rozkosznemu”.

Przychodził wszak nieubłagane czas, gdy ubytku urody już ukryć nie sposób, a spojrzenie w lustro stawało się bolesne, tedy lepiej było pozbyć się zwierciadła, podobnie jak owa Lais, hetera, bohaterka jednej z fraszek Jana Kochanowskiego :

„Gładkość od ciebie, Wenus, ale nie trwa w mierze,
Bo co ty dasz, to zasię z nienagła czas bierze!
Ponieważ tedy widzę, że mię twój dar mija,
Weźmiż i świadka daru swego, o Pafija!”.

Człowiekowi niewątpliwie zawsze drogie było jego ciało, choć niektórzy – Sebastian Petrycy choćby – narzekali, iż „na świecie pierwiej bywa ciało, niż dusza rozumna”. Człowiek chciałby tedy jak najdłużej zachować swe członki, przeto – jak pisał Charles Baudelaire:

„(...) Różni różnie
Oszukać się starają okrutnego wroga –
Czas!”.

Korzystano więc chętnie z rozmaitych receptur, porad, które miały gwarantować jeśli nie nieprzemijającą urodę, to przynajmniej długi żywot w zdrowiu. W jednym ze starych kalendarzy obok „umierności w jedzeniu i picciu” doradzano unikanie „zbytnej serca i głowy zgryzoty, niepomiarowanej wesołości, spania długiego i próżniactwa”.

A ciało potrafi boleśnie przypomnieć rozmaite zaniedbania. Doświadczył tego choćby Wespazjan Kochowski, w młodości żołnierz, po latach człowiek przytłoczony przez dokuczliwie niemoce, w tym i kołtun pono. „Teraz dopiero postrzegam, że życie ludzkie nie jest żywotem, ale pojazdem do śmierci i męczeństwem jednym, którego z nas, ze samych przyczyna” – pisał.

Najczulsza jednak troska nie zapewni – niestety – wiecznego żywota. Z upływającym czasem ciało szpetnieje, niedołęźnieje, coraz natrętniej pojawia się przecucie nadchodzącego kresu życia, zmienia się też postrzeganie siebie. Przyznawał to z nutką goryczy Józef Wittlin:

„Już krew znużona w mych żyłach ostyga
i własne ciało jest mi obcym ciałem.
O, jak mi obrzydł ten stary dziadyga,
którym się stałem”.

A nieunikniony moment rozstania ciała z duszą z właściwym sobie poczuciem humoru przedstawił Konstanty Ildefons Gałczyński w wierszu *Każdy wiek ma swoje sporty*:

„Na starość, mój miły wnuku,
gdy będziesz miał brodę mleczną,
we drzwi ktoś puknie: puk-puku!
I „skok o tycze”... w wieczność”.

II

„Szlachetne płótno, na którym leżało
Owo tak piękne w oczu moich ciało”.

Jan Kochanowski

Owa poduszka, o której wspomniał Kochanowski w swej fraszce, przywodzi na myśl jedną z tych potrzeb ciał, o które człowiek powinien zadbać, nim przyjdzie mu wykonać ten ostatni skok w wieczność.

Łóżko, intymne schronienie, w którym każdy spędza znaczną część życia, przeszło w ciągu wieków mnóstwo przemian zależnie od gustów, obyczajów. Bywały wykwintne łoża alabastrowe, hebanowe wysadzone srebrem, osłonięte purpurowymi baldachimami, ale przepychu nie trzeba, by wypocząć rozkosznie, o czym zapewniał Andrzej Zbylitowski:

„Pościeli-ć nie mam kosztownych (...)
Materac – trawa zielona,
Wonnym kwieciem ozdobiona,
Poduszki – kwiat fiołkowy,
Wierzchnia kołdra – list klonowy”.

Opis nieco bardziej wyszukanego pośłania odnajdziemy w *Iliadzie* Homera. Polecił je przygotować Achilles dla króla Priama, przybyłego błagać o oddanie zwłok Hektora. Siwa głowa Priama wzruszyła Achilleusa niepomierne, przystał na owe błagania, a także zadbał o odpoczynek starego króla:

„Kazał poślanie zgotować w przedsionku, a przy tym polecił
Przykryć je piękną tkaniną z purpury, pod spód dać kobierce
Oraz dwie chłajny wełniane na wierzch dla ciepła przyrzucić”.

Zupełnie inaczej wyglądał spoczynek w klasztornych dormitoriach. Zakonne życie wiązało się z niewiarygodną wolą umartwiania się, stąd i w dormitoriach o żadnych wygodach nie myślano. Początkowo było to duże pomieszczenie przeznaczone dla wszystkich braci i opata, do snu mnich zdejmował jedynie szkaplerz, bywało, iż sypiano na gołej ziemi, czasem na deskach czy siennikach wypełnionych suchymi liśćmi. Nakazywano też, by przed udaniem się na spoczynek wybrać sobie jakiś poważny problem do rozważań, by zasnąć spokojnie, a serce o głupstwach nie marzyło. Jedynie w infirmerii były cele i łóżka, co czasem rodziło pokusę, by symulować jakąś słabość, ale z kolei jednym z obowiązków infirmera było zadbać, aby owej pokusy nie nadużywano.

Ciekawą rolę odegrało łoże w *Odysei* Homera. Oto bowiem Odys, powracając do domu po dwudziestu latach tułaczki, mógł rozwiązać wątpliwości swej małżonki Penelopy. Tylko on znał wszelkie szczegóły konstrukcji łoża, które sam wyciosał z oliwnego drzewa rosnącego na dziedzińcu :

„(...) ściąwszy koronę drzewa gęstolistą,
Sam pień aż do korzeni ociosałem czysto,
Zrównałem ostrzem miednem gładko i pionowo (...)
Wygładziłem łożnicę wspianiałej struktury,
Zdobiać ją w kość słoniową, toż srebrem i złotem,
Wreszcie kraśnych rzemieni obciążając splotem”.

Dbalność o czystość ciała jest także ogromnie ważna. Codzienne mycie, kąpiele są czymś naturalnym, choć w tych sprawach gustów zawsze było wiele. Jedni lubią się zanurzyć w „pieszczocie pian”, inni wolą dodać do wody wywary z ziół albo pachnące olejki. Napoleon lubił kąpać się w szlafmocy, pryskał przy tym wodą na wszystkie strony, czasem zanurzał się cały, by zrobić bul... bul, przeto towarzyszący ablucjom cesarza kamerdyner Constant trzymał na zgiętym ramieniu kilka suchych szlafmocy, by monarcha mógł ich użyć w miarę potrzeby.

W dziejach świata bywały wprawdzie okresy, gdy codzienne mycie, a zwłaszcza kąpiele, uważano za szkodliwe dla zdrowia czy nawet grzeszne, ale jednak potrzeba czystości osobistej zwyciężyła. Dużą wagę dla takiej potrzeby ciała przywiązywano w starożytnym Rzymie. Wspaniałe, ogólnie dostępne termy pozwalały zażywać kąpiele nawet kilka razy dziennie. Ogromne budowle zachwycały i architekturą, i mozaikowymi posadzkami, malowidłami czy rzeźbami, które zdobiły wnętrza, po kąpeli można się było udać do sali relaksu albo coś przekąsić, poczytać czy przysłuchać się różnym dysputom.

W starożytnej Grecji, gdy gość przekroczył progi domostwa, pierwszą powinnością gospodarza po zwyczajowych powitaniach było zaproszenie go do łaźni. Grek nie siadał do stołu, nie wykąpał się wcześniej. Podobnie przyjęty został Odys na wyspie Feaków, kiedy to król Alkin polecił najpierw wykąpać przybysza:

„Weszła klucznica, sprasza gościa do kąpiele
Ciepłej w wannie. Ten widok serce mu weseli,
Dawno on już kąpiele nie miał tak wybornej (...)
Więc go dziewczki wymyły, namaściły sprawnie,
W piękne szatki oblokły, dały płaszcz z chitonem.
Wyszedł z łaźni z pijących połączyć się gronem”.

Ważniejszą jeszcze rolę dla rozwiązania dziejów Odysa odegrała scena mycia, która odbyła się, gdy po latach tułaczki znalazł się w progach swego domu:

„(...) starka miednik wraz przyniosła śliczny
Do nóg mycia, i wlała w niego źródź kryniczny
Przymieszawszy coś wrzątku (...)
(...) poczęła myć pana”.

Starką ową była Eurykleja, która niańczyła Odysa, gdy był dzieckiem. Rychło rozpoznała go, gdy spostrzegła bliznę, zadaną mu ongi kłębem dzika. Zobowiązana do zachowania tajemnicy, pomogła swemu panu zrealizować plan zemsty na zalotnikach.

Nieco inaczej wyglądała ongi higiena w zakonach. W księgach zwyczajów poszczególnych klasztorów szczegółowo opisywano porę, dzień, kiedy odbywać się może kąpiel, kiedy można myć głowę, golić brodę czy obcinać paznokcie. Rozbierać się do kąpiele należało z zachowaniem wszelkich zasad skromności, nie zwlekać przy myciu i od razu wkładać czystą bieliznę. Wszystko to odbywało się pod dozorem specjalnie wyznaczonego starego zakonnika, pobożnego i roztropnego.

W sprawach mycia warto może też posłuchać Gałczyńskiego, który zapewniał dowcipnie, iż nóg moczenie może być sposobem na chandry wszelakie:

„Kiedy rozpacz cię ogarnie
przy obiedzie z pięciu lez,
kiedy włączysz na latarnię,

myśląc, że tam lepiej jest,
 gdy nie możesz siedzieć w kinie
 przy dziewczynie w wianku z róż,
 wtedy weź w szarej godzinie
 choć tę słodycz sobie stwórz:

wymocz nogi, własne nogi,
 mój ubogi bracie drogi”.

III

„A piekarzowi tortów, pasztetów z kreplami
 Każ napiec, i kołaczów z cukrem, z rozenkami”.
 Hieronim Morsztyn

Spraw jedzenia także nie sposób pominąć, gdy mowa o potrzebach ciała. Delektowanie się ulubionymi przysmakami – a każdy pewnie takowe posiada – sprawia przyjemność. Napoleon choćby w czasie mniej uroczystej kolacji jadał makaron, bez którego nie wyobrażał sobie udanego wieczoru, do tego korsykańskie purée z kasztanów, osiem rodzajów mięs przyrządzonych wedle sprawdzonych receptur, wreszcie deser – wafle i trzy rodzaje kremów.

Tyle mięsiwa z pewnością nie znalazłoby się ongi na stołach w zakonach. Wspólny niemal wszystkim regułom klasztorным był zakaz spożywania mięsa, albowiem rozpalać miało namiętności, nie sprzyjało modlitwie i życiu duchowemu, niezgodne było ze ślubami ubóstwa. Ale wszak i mnichom nieobce były rozmaite pokusy, tedy dość szybko pojawiły się w niektórych zakonach pewne odstępstwa. Jadano więc mięso w niedzielę lub gdy opat podejmował dostojnego gościa, wreszcie nie zakazywano go chorym. Reguły zakonne nie ograniczały natomiast spożywania mąki i cukru, jadano sporo słodkości nawet w poście. Mistrzyniami wypiekania znakomitych pączków posypywanych różnymi płatkami stały się karmelitanki, a urszulanki wybornych pierników, były i ptyisie zwane „westchnieniem zakonnicy” i wiele innych.

Kiepska dieta, nadmiar węglowodanów, mało białka, witamin sprawiały, że ciało w przykry sposób o sobie przypominało – wzdęcia, utrata zębów, otyłość – stąd silna skłonność do hipochondrii, pesymizmu. Radzono sobie puszczaniem krwi. W różnych zakonach zabiegi te wykonywano od czterech do dwunastu razy w roku, latem po nonie, zimą po nieszpórach. Bracia nacinali sobie żyły wzajemnie, na przykład na małym palcu na dolegliwości wątroby, a cięcie na prawym ramieniu gwarantować miało zachowanie czystości obyczajów. Po zabiegu mnisi dostawali lepsze jedzenie i zwolnieni byli na kilka dni z niektórych obowiązków, choćby z udziału w nocnych nabożeństwach.

Można też wspomnieć, iż normalne funkcjonowanie ciała wymaga udania się od czasu do czasu w tak zwane ustronne miejsce. Radzono sobie w tych sprawach w ciągu wieków rozmaicie, bywał to choćby fotel-klozet, mieszczący pod rozsuwającym siedzeniem skrzynię ze stosownym naczyniem. Ludwik XIV miał pono takowych w Wersalu ponad dwieście. Może konieczność tę powodował ów *bouillon purgatif*, którego bezzębny, cierpiący na wzdęcia król zażywał spore ilości. Ludwik XIV udzielał porannych audiencji, siedząc na którymś z owych „tronów”, miał też do dyspozycji dwuosobową wykwintną kanapkę, gdy chciał z kimś poufnie porozmawiać, wówczas świty nie było. Najpiękniejszy natomiast spośród klozetów wykonany był z czarnej laki, inkrustowany macicą perłową, ozdobiony płaskorzeźbami, z siedzeniem z zielonego aksamitu.

IV

„Dziewczynno nadobna, (...)

Twarz mię twa uwodzi”.

Jan Andrzej Morsztyn

Walory zewnętrzne człowieka zawsze uważano za ogromnie ważne, stąd wielka dbałość o powierzchowność, poprawianie wyglądu. Przez całe wieki szczególną troską – z różnych względów – otaczane były oczy, wszak to one odbierają większość wrażeń zmysłowych, są źródłem wiedzy o zdrowiu człowieka. „Zwróćcie uwagę na to – pisał ongi Paracelsus – jak kunsztownie zbudowane jest oko ludzkie, jak wspaniale nasze ciało odbiło w nim własny obraz”. Oczy wyrażają emocje, przekazują wiele sygnałów, niejedna kobieta – podobnie jak Kalipso, „z bogiń najcudniejsza kształtem”, uwodząca Odysa – oczyma czaruje wybranego mężczyznę. A panowie łakną tych spojrzeń, o czym zapewniał choćby Antoni Lange: „I wiesz, jak głodne twych oczu me oczy”. Przez wieki wierzone także w potęgę spojrzenia złych oczu, przed czym chronić miały rozmaite amulety lub zioła odczyniające uroki. Od czasów najdawniejszych poddawano oczy zabiegom upiększającym. Starożytne Egipcjanki, korzystając z barwników uzyskanych z galeny, antymonu czy malachitu, zdobiły swe oczy nadzwyczaj kunsztownie. Mocno przedłużona czarna kreska wiodąca od kącika powieki w kierunku skroni miała także znaczenie magiczne, pozwalała imitować oczy kota, świętego zwierzęcia. Wszystkie te zabiegi były i kosztowne, i czasochłonne, ale efekt wart poświęcenia.

Zdobiły oczy i starożytne Greczynki, i Rzymianki. Owidiusz, dobry znawca rozkoszy zmysłowych, napisał nawet dziełko o kosmetykach, udzielając rad w tej mierze. Pojawiały się też najróżniejsze dziwactwa przy ozdabianiu oczu, oto w Anglii w początkach XVIII w. pojawiła się krótkotrwała moda na golenie własnych brwi i przyklejanie fragmentów mysiego futerka.

Żadna inna natomiast część ciała kobiety nie przyciągała tak uwagi erotycznej mężczyzn, jak biust, wabik dla oczu, serc i rąk. Takie ponętne pojawiają się w wierszu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Piersi kochanki*:

„Rozkosz łakomych poetów,
nas nie opisać piórem,
jesteśmy dwie – jak dwie gwiazdy
pod suknią wschodzimy wieczorem”.

Kobiety zawsze starały się zachować owe „nadobne drażniątka” – tak czule nazwane przez Jana Andrzeja Morsztyna – jak najdłużej jędrne i eksponować je, choć głosów oburzenia odzywało się czasem sporo. Pewien XVII-wieczny kaznodzieja grzmiał: „Zaiste mówię wam, jeśli nie przestaniecie obnażać się, ozdabiać swoich piersi pierścieniami, ściśnione kajdanami zostaniecie wtrącone do piekieł”.

Za wielki atut kobiecej urody uważano zawsze obfite pukle włosów. Panie stosowały więc różne zabiegi, choćby noszenie peruk, by wydawało się, że mają ich dużo. Odsłonięte, bujne działają podniecająco na mężczyzn, dla kobiet są źródłem radości, zachęcają do rozmaitych eksperymentów, by podkreślić swoją indywidualność. Przez wieki za najpoważniejsze uważano włosy blond, panie – zawsze zdolne do poświęceń, gdy chodzi o urodę – stosowały różne, czasem nawet ryzykowne sposoby, by efekt rozjaśnienia osiągnąć. Traktat *Sztuka piękności* z 1825 roku zawierał recepturę płynu do smarowania głowy, w którego skład wchodzić miał ług, korzeń glistnika, kurkumy, szafranu, lilii, kwiaty dziewanny i kilka jeszcze innych ziół. Szybszy efekt dawało noszenie peruki, czyniły to damy w starożytnym Rzymie. Modę tę wykiął w jednym ze swych wierszy Marcialis:

„Złote włosy, które nosi Gala...
Są jej – któż by pomyślał?
Przysięga, że są jej, i na pewno nie kłamie,
Sam wiem, gdzie je kupiła”.

Niektóre części ciała były nieco pomijane przez poetów, uszy choćby, choć te ongi uważane były za siedzibę rozumu. Nos także był mniej godny pióra, stąd ów brak nadrobić postanowił Zbigniew Morsztyn:

„Jeden jest właśnie kształtny, który natura
Dobrze odlała, drugi bardziej do pazura
Niż do nosa podobny, mały, zakrzywiony,
Inszy trochę przysporny, wisi pochylony
I zagląda do gęby”.

Trudno natomiast byłoby wyobrazić sobie brak zainteresowania, zwykle przed oczyma postronnych osób ukrytymi, szczegółami anatomii. Śmiało, pikantne strofy opiewające uroki cielesnych rozkoszy odnajdujemy choćby w twórczości Daniela Naborowskiego:

„Nadobna stopa, piękne i kolano,
Ale kiedy by wyżej ukazano,
Jest tam jeszcze coś pośrodku trzeciego,
Nad co na świecie nic foremniejszego (...)
Przy nim się bawić, ba, i pieścić miło”.

W dorobku Jana Andrzeja Morsztyna trafiały się nie tylko wytworne erotyki, ale i – jak sam przyznawał – fraszki „nazbyt tłuste i niezawstydanie”. Poświęcił sporo uwagi choćby pewnemu istotnemu szczegółowi męskiej anatomii:

„Korzeń się wprzód u spodu w dwie cebulki dzieli,
Łodyga się a gładka i bez sęków bieli,
Ale dęta jak słoma”.

Człowiek chętnie ulega różnym pokusom. „Gdzie ciało ciągnie, choćbym nierad, muszę” – napisał ongi Hieronim Morsztyn. Zatrącenie się w przyjemnościach wszelakich pozwala w pewnym stopniu uciec od lęków i niepokojów, które wszyscy nosimy w sobie, a które okiełznać niełatwo, wszak psychiką własną najtrudniej kierować. Jest to też może rodzaj buntu wobec nieubłaganych praw natury, które wielu trudno zaakceptować, bo przecież uroda, zdrowie, w końcu i życie tak szybko przemija, a i zostawić przychodzi wszystko to, co było źródłem przyjemności. Na myśl przychodzą słowa Hieronima Morsztyna:

„Marmurowe pałace, wesołe biesiady,
Drogi pokój, dostatek potraw, świetna szata,
Miękkie łoże, orszak sług, w szczęściu młode lata –
Nietrwale to marności, bo ich człek odbieży”.

Uleganie podszeptom zmysłów sprawia, że człowiek zatracą się coraz bardziej. Dotyczyło to choćby Messaliny, której nocne wyprawy do przybytków uciech opisał w jednej ze swych satyr Juwenalis. Niezaspokojona odchodziła:

„(...) smutna (...)
Jeszcze płonąć pragnieniem
(...) bezsilna, lecz nienasycona,
Ze szpetnym licem, dymem lampy okopcona,
Przenosząc lupanaru smród w domowe łożę”.

Pociąg do uwodzenia, zdobywania coraz to nowych kobiet nieobcy też mężczyznom. Swetoniusz w *Żywotach cesarów* przypomniał i Cezara, który „wiele sobie pozwalał z cudzymi żonami”, i Tyberiusza, i jego sekretną rezydencję. Tyberiusz „w zaciszu wyspy Kapri [sic!] wymyślił urządzenie apartamentu pełnego sof jako miejsca tajemnych stosunków miłosnych, (...) sypialnie (...) ozdobił obrazami, rzeźbami o najbardziej rozwiązłych tematach i postaciach”.

V

„Ciężko, kto nie miłuje, ciężko, kto miłuje,
Najciężej kto miłując, łaski nie zyskuje”.
Jan Kochanowski

Człowiek pragnie szczęścia, wolności od trwogi istnienia, poszukuje miłości, by zmysłowe przyjemności łączyły się z duchową rozkoszą. Miłość bywa źródłem najszlachetniejszych uniesień, ale i goryczy, udręki. Swawolny Eros trafiał ze swego łuku i w serca bogów, i w serca ludzi.

W *Przemianach* Owidiusza poznajemy na przykład perypetie miłosne Apolla, najpiękniejszego z bogów, ugodzonego strzałą Erosa, z którego szydził, iż jest gorszym od niego łucznikiem. Oczarowała go tedy nimfa Dafne:

„Widzi Apollo Dafnę, widzi ją i kocha (...)
Widzi, jak po ramionach włos w nieładzie spadał (...)
Widzi żywe i gwiazdom jej oczy podobne,
I piękniejsze od róży widzi usta drobne,
Które nie dość jest widzieć. Chwali jej ręce i szyję,
Myśląc, że to piękniejsze, co jej skromność kryje”.

Dafne pozostała nieczuła na zaloty zakochanego Apolla, jej bowiem przypadła za sprawą Erosa strzała nienawiści do mężczyzn. Apollo dopadł ją wprawdzie w pobliżu rzeki, ale zdołała ubłagać swego ojca Peneusza, by zamienił ją w drzewo laurowe. Apollo pocieszyć się mógł jedynie wieńcem z liści drzewa, które spalił.

Owidiusz, doskonały znawca spraw sercowych, w swym młodzieńczym dziele *Heroidy* pokusił się o oddanie uczuć, namiętności, myśli, nastrojów znanych z mitologii i literatury postaci. *Heroidy* to zbiór fikcyjnych listów miłosnych, rzekomą autorką jednego z nich jest kolchidzka królowna Medea. Historia jej związku z Jazonem pokazuje, ile uczuć kłębić się może w sercu kobiety. Natury zmysłowe – a do takich Medea niewątpliwie należała – szybko ulegają pierwszemu wrażeniu. Jazon oczarował ją, gdy tylko przybył do Kolchidy, w liście Medea wspomina

jego płowe włosy i oczy, które wabiły jej wzrok. „Ujrzałam Cię i byłam zgubiona, płonąłam nieznanym mi ogniem, jak płoną świerkowe pochodnie na cześć wielkich bogów”. Czułe słowa, uściski, obietnice „poruszyły serce łatwowiejnej dziewczyny”.

Dzięki jej czarom i zbrodni – bo kiedy żar ogarnia umysł i ciało, prawość się często już nie liczy – Jazon zdołał ująć wszelkich niebezpieczeństw i zdobył złote runo. Medea, by być z ukochanym, poświęciła dom, utraciła królestwo. Jazon nie dotrzymał przysięgi – jakże często to się w życiu zdarza – porzucił Medeę i synów dla królowej korynckiej Kreuzy. Rozpacz Medei była bezmierna – „To ciało ocalone przeze mnie uściśnie rywalka” – żałowała, że udzieliła pomocy niewdzięcznikowi. W jej duszy kłębiły się miłość i nienawiść, zazdrość i gorycz, gniew i żądza zemsty, zawiedziona miłość bywa wszak zdolna do wszelkiego szaleństwa. „Pójdę, dokąd gniew mnie prowadzi. Czy będę żałować tego, co uczynię?”... Historia związku Medei i Jazona – w rozmaitych zresztą wersjach – dopowiadała to, co w liście już się nie znalazło. Zemsta była straszliwa, Medea zabiła synów, których miała z Jazonem, podarowała rywalce szatę zatrutą tajemniczym jadem, Kreuzę spłonęła, gdy tylko ją włożyła. Rozsierdzona mścicielka spaliła jeszcze dom Jazona, a sama odleciała pono na rydwanie zaprzęgniętym w skrzydlate smoki.

Wielkie oczekiwania od losu rzadko się ziszczają, zapamiętanie się w szale uciech zmysłowych nie przynosi ukojenia, niedoskonałe ciało bywa przyczyną cierpień. W miarę kolejnych rozczarowań człowiek coraz częściej docenia samotność, która sprzyja osiągnięciu spokoju, poszukiwaniu tego, co w nas doskonalsze – prawdziwej duchowości.

Myśli takie odnajdziemy też chyba w jednym z wierszy Juliana Tuwima, krótki fragment utworu przytaczam na koniec rozważań:

„(...) korzystam z każdej chwili życia swego,
Aby ją przeżyć, uosobić w swą istotę
I być bogatym z dnia na dzień sam sobą”.



Tomasz „Aztenty” Barański

JASNA GÓRA JAKO MIEJSCE KRÓLEWSKIEGO ŚLUBU

27 LUTEGO 1670 ROKU NA JASNEJ GÓRZE – dokąd przybyli wszyscy mieszkańcy Częstochowy – w kaplicy przed Cudownym Obrazem król Michał Korybut Wiśniowiecki zawarł małżeństwo z austriacką arcyksiężniczką Eleonorą. Małżeństwo błogosławił nuncjusz papieski w asyście prowincjała paulinów, o. Augustyna Kordeckiego.

Jeśli chodzi o samą postać króla Michała – to z góry stwierdzić należy, iż nie był on skazany na wielkość, królem został obrany dzięki wojennej legendzie swojego ojca, opisanego później przez Henryka Sienkiewicza – księcia Jeremiego. Z kolei arcyksiężniczka Eleonora Maria Józefa była dziewiątym (ale tylko piątym aktualnie żyjącym) dzieckiem cesarza Ferdynanda III (także cesarza rzymskiego). W drugiej połowie XVII wieku, po zakończeniu wojny trzydziestoletniej (1648), najsilniejszym państwem Europy stała się Francja, która szczyt znaczenia osiągnęła za panowania Ludwika XIV, Habsburgowie natomiast w dużym stopniu zatracili swą mocną pozycję. Rzeczpospolita Obojga Narodów również w tym okresie zatraciła swą pozycję, a to z przyczyny niedawno zakończonego najazdu szwedzkiego, zwanego potopem.

Z elekcją Michała Korybuta na tron wiążą się różne „przetasowania” – duża część szlachty nie chciała dopuścić do wyboru kandydata francuskiego, a tym bardziej kandydata habsburskiego czy zagranicznego (groziło to wojną domową). Wiśniowiecki jako Piast, a do tego młody wydawał się najmniejszym złem. Michał Korybut Wiśniowiecki dzięki podziałowi szlachty na dwie frakcje został „cudownie” wybrany na króla w 1669 roku. Do tego ambitny i wpływowy podkanclerzy i zarazem biskup chełmiński Andrzej Olszowski doprowadził do ożenku króla z siostrą cesarza Eleonorą Habsburżanką, i do jej koronacji. Ten niezbyt klasycznej urody, o mało szlachetnych rysach przyszły król był nawet poliglotą (ale, jak podsumowują go historycy, w żadnym ze znanych sobie języków nie miał nic do powiedzenia – choć był synem potężnego niegdyś magnata i popularnego wodza, wojewody ruskiego, uczestnika walk pod Zbarażem i Beresteczkiem, ale sam niczego nie dokonał). W dodatku w wyniku wojen kozackich utracił prawie cały majątek ojca – oprócz tego nie pokusił się nawet o jakikolwiek program polityczny. Całokształt jego panowania charakteryzującego się nieudolnością, brakiem inteligencji, a nawet dobrej woli, sprowadzał się do tego, aby panowanie swe utrzymać. Król Michał lubił ceremonie, które miały dodawać mu splendoru, kosztem zaniedbania obowiązków państwowych.

Kandydatek na królową było wiele. Stronnictwo profrancuskie nawet po odniesionej klęsce wysuwało kilka księżniczek francuskich. Głównym sprawcą dla kandydatury austriackiej księżniczki był, rzecz jasna, dwór cesarski. Podniosły się wprawdzie sprzeciwy co do tej kandydatury, lecz król uciął dyskusje, uznając, że wniosek został przyjęty. Wyszedł też na jaw fakt, że król zadłużył się u cesarskiego dworu jeszcze przed koronacją. Z samego Wiednia nadeszły też polecenia, że ślub odbyć się ma pośpiesznie i bez rozgłosu. Narzeczoną do Polski miała przywieźć jej matka (cesarzowa-wdowa) i co najważniejsze, życzy sobie, aby uroczystość ślubna odbyła się w Częstochowie na Jasnej Górze – oficjalnie utrzymywano, iż chodzi o zmniejszenie wydatków, w praktyce zaś chciano uniknąć konfrontacji ze środowiskiem krakowskim, tradycyjnie niechętnym Habsburgom. Całość przebiegu uroczystości dostosowano więc do życzeń

strony austriackiej. Okazało się też, że organizując ślub poza dużym miastem, nie zostanie zachowana tradycja uroczystego wjazdu (co też zawsze podnosiło rangę tego typu uroczystości).

Jasna Góra – odwieczne miejsce kultu Maryjnego, miejsce pielgrzymek (również królów) przed Cudowny Obraz Matki Bożej, a od piętnastu lat opromienionego sławą zwycięskiej obrony przed Szwedami, nie była obca królowi, znanemu ze swej dewocyjnej wręcz pobożności. Miejsce ślubu królewskiego było zaszczytne, ale zorganizowanie tak wielkiego wydarzenia na prowincji było trudne. Jeśli chodzi o Starą Częstochowę, było to niewielkie miasto odległe o kilometr od Jasnej Góry, które w dodatku znacznie ucierpiało podczas sześciotygodniowego oblężenia klasztoru przez wojska szwedzkie. Małe osiedle złożone z drewnianych, strzechą krytych domów (tuż pod klasztorem), nazwane później Częstochówką, dopiero powstawało (w 1660 r. Częstochowa liczyła zaledwie 156 domów i było to 40 % stanu sprzed potopu). Odnosił się samemu Klasztorowi – to chociaż przeznaczony dla znamienitych gości, nie mógł *de facto* pomieścić wielu z nich. Szacunki wykazują, że wszystkich przybyłych na Jasną Górę na rzeczoną uroczystość gości mogło być ok. dziesięć tysięcy! A tu jeszcze ostra zima, w związku z tym ojcowie jasnogórscy „oddawszy przybyłym swoje cele, musieli pod strychem szukać dla siebie schronienia”.

Częstochowę wybrano głównie z oszczędności – a pod gołym niebem nie mogli biwakować ani ludzie, ani konie. Ludzie doznawali odmrożeń, zapanował ciężki mróz i nastały ogromne śniegi. Sam król nalegał, aby wyjechano konno w celu przywitania austriackich gości, ale wszyscy dostojnicy odmówili. Nawet oddany królowi biskup płocki Jan Gembicki wyruszył z Warszawy do Częstochowy, lecz tego samego dnia powrócił, „gdyż droga jest zbyt uciążliwa i nie będzie jej kontynuować”. Istnieją też zapisy mówiące o tym, że podczas podróży z powodu mrozu w orszaku cesarskim zmarło ponad dwadzieścia osób, a w samej Częstochowie z głodu, gdyż brakowało jedzenia dla ludzi i koni.

Koniec końców marszałek Lubomirski i szereg polskich dam przywitani Eleonorę na granicy (orszak towarzyszący Eleonorze liczył, jak to określono, zaledwie trzydzieści karet) i Michał Korybut powitał panie (podczas całej podróży arcyksiężniczce towarzyszyła cesarzowa-wdowa) w Konopiskach pod Częstochową. Królowi towarzyszyło osiemdziesiąt polskich karet i dwanaście chorągwi. Oba te orszaki spotkały się na oczyszczonej ze śniegu polanie, notabene był to czas Wielkiego Postu i papież musiał udzielić specjalnej dyspensy zezwalającej na ślub na Jasnej Górze oraz na wesele, które było zaplanowane w kilka dni później już w Warszawie. Prymas odmówił udziału w uroczystości (zaznaczając, że obiór króla jest przypadkowy) i z tej przyczyny ślubu udzielił nuncjusz papieski. Król Michał zaś, aby nie ustępować we wspaniałości ubioru siostrze cesarza, zamówił swój strój w Paryżu (także i pierścienie). Z Gdańska wypożyczono arrasy Zygmunta Augusta, zastawione w tym mieście przez jego poprzednika, byłego króla Jana Kazimierza – jak mówi notatka z epoki: „przebogate, drogocenne opony” były rozwieszane zarówno w kościele oraz kaplicy Cudownego Obrazu, jak i w królewskiej komnacie małżeńskiej i innych pomieszczeniach klasztornych. Tymczasem paulini wykańczali w pośpiechu refektarz (pracowano przy dekoracji stiukowej), malując m.in. na sklepieniu zachowany do dziś wieniec weselny. Jednakże ślub sprawiał wrażenie skromnego i w rzeczywistości takim był, a licznych gości pomieszczano niewygodnie w celach zakonników.

Po zaślubinach król złożył klasztorowi jako ofiarę tzw. ołtarzowy komplet „koralowy”, dzieło weneckiego złotnika, ze złożonego stopu miedzi i srebra, zdobionego koralami i emalią, składający się z kielicha z pateną, dwóch ampułek, dwóch tacek oraz dwóch puszek na komunikanty oraz na oleje, kropielnicy, a także wotum w kształcie serca. Zaraz po ślubie Eleonora zdjęła z głowy wspaniałą diadem i „złożyła go pokornie u stóp Dziewicy”. Cesarzowa-wdowa podarowała monstrancję roboty złotników norymberskich oraz parę lichtarzy ozdobnych.

Pojawiły się dwa panegiryki poświęcone tej uroczystości. Jeden – Joachima Pastoriusa (pod łacińskim tytułem) oraz Stanisława Trembeckiego pt. *Jasność częstochowska*. Niestety, nie zachowały się rachunki zakonne z tego czasu, poza lakoniczną informacją, że żywność przywożono z Warszawy, Piotrkowa i Krakowa do okolicznych wsi należących do jasnogórskiego klasztoru, gdzie mieli być rozlokowani goście. Nie da się też ustalić, jaki był udział finansowy zgromadzenia paulinów w tym wydarzeniu, a jakie były koszty dworu. Podczas oczekiwania na przyjazd swej przyszłej żony i innych austriackich gości, król zajmował się pracami przygotowawczymi, ale i „senatorów traktował i tańce były”.

Odnosnie jeszcze arcyksiężniczki Eleonory – to wzbudziła od razu powszechną sympatię. Była o trzynaście lat młodsza od Michała, właśnie miała skończyć siedemnaście lat, jej sekretarz z uwielbieniem opisał w swych wspomnieniach jej postać: „kibić miała smukłą i elegancką, cerę olśniewająco białą, lekko zaróżowioną, usta może trochę duże, lecz pięknie zakrojone, odsłaniające dwa rzędy pereł. Orli nos i szlachetne czoło dodawały majestatu jej twarzy, wprawdzie niezbyt regularnej, lecz niezwykle sympatycznej, otoczonej bujnymi włosami i wielkie czarne oczy, przepięknie ukształtowane, pełne nieporównywalnej słodyczy, odzwierciedlały jej czystą duszę...”. Ślubna zaś suknia Eleonory miała krój zgodny z modą hiszpańską, uszyta była z białej tkaniny – grubego jedwabiu, haftowanego nićmi złotymi i srebrnymi w kwiecisty ornament. Bogactwa tkaninie dodawały naszyte na całej powierzchni klejnoty – diamenty. Rękawy wg hiszpańskiej mody były podwójne, jedno wąskie, drugie długie i szerokie. Suknia musiała mieć stanik obcisły, od bioder zaś do ziemi (w takich sukniach występują infantki na sławnych portretach Velasqueza) była szeroka. Dostojności strojowi ślubnemu Eleonory dodawał długi, ciężki tren niesiony przez jedną z dwerek. Przód sukni spięty był dużą diamentową broszą, oprócz tego „kanak bogaty”, czyli złoty łańcuch, na ukos od lewego ramienia po prawą pachę. Mniejsza kolia diamentowa zdobiła szyję korespondując z diamentowymi kolczykami. Na głowie korona wysadzana takimiż kamieniami, zamknięta, z czterema pałkami, w miejscu ich złączenia umieszczone było jabłko krzyżem. I tu również, niestety – klejnoty te były wypożyczone z cesarskiego skarbcza na uroczystość ślubu i cesarzowa – matka zabrała je z powrotem do Wiednia. Nawet sam król był tym faktem zaskoczony – okazuje się, że jego pretensje dotarły do cesarza, ale nie odniosły żadnego skutku. Dodać jeszcze należy, iż hiszpański ów strój królowej był zaskoczeniem w Polsce.

Gdy chodzi o odzienie króla, to król Piast (tak zwano Michała Korybuta) nie nosił się po polsku, co też było powodem krytyki ze strony opozycji. Wyrażano się pogardliwie o pludrach, w które się ubierał – zamiast w rodzimy żupan i kontusz, wyszydzano też kosmetyczne zabiegi, którym się poddawał.

Mszę świętą pontyfikalną przy śpiewie i grze muzyków królewskich i cesarskich celebrował nuncjusz Galeazzo Marescotti (we wspaniałych szatach dostojnika kościelnego). Ślub był ostatnim aktem tej uroczystości. Odśpiewano „Veni creator”. Królewscy nowożeńcy uklękli na stopniach ołtarza, cesarzowa, pobłogosławiwszy córkę, stojąc uczestniczyła w ceremonii. Królowa Eleonora po łacinie powtarzała przysięgę małżeńską (wyraźniej niż sam nuncjusz). Działa zagrzmiały. Po błogosławieństwie, kończącym ceremonię zaślubin, ojcowie paulini jeszcze w kaplicy wystąpili z nieoczekiwanym darem – był nim specjalnie na tę okazję napisany i wydrukowany panegiryk weselny pióra ojca Ambrożego Nieszporkowicza, teologa paulińskiego, autora traktatów mariologicznych i panegirycznych kazań. Królewskim nowożeńcom oraz najdostojniejszym gościom wręczono ozdobne egzemplarze w okładkach z jedwabiu (w sumie rozdano ponad dwieście sztuk). Ojcowie paulini dysponowali również innym drukiem sławiącym królewską parę z okazji ślubu, której autorem był Stanisław Trembecki, profesor i historyograf Akademii Krakowskiej.

Uroczystość zakończyła się o godzinie drugiej. Udano się do swych pokoi, aby o czwartej powrócić na uroczysty bankiet weselny. Głównym miejscem ucztowania był wspañiały, nowy refektarz klasztorny, pospiesznie ukończony na tę okazję. Przy honorowym stole, ustawionym na podwyższeniu, pod baldachimem z karmazynowego aksamitu na pierwszym miejscu zasiadła cesarzowa, a po jej prawej ręce król, po lewej królowa. Po bokach – z prawej siedziała arcyksiężniczka Maria Anna, po lewej nuncjusz Marescotti (nie usadzono tutaj nikogo więcej, gdyż obawiano się zatargów co do stopnia godności). Po stronie zaś prawej od stołu honorowego, w miejscu bardziej zaszczytnym, usadowiono gości zagranicznych. (Był też tzw. „stół krajczy”, na którym dzielono wnoszone na półmiskach dania). Notatka z epoki stwierdza: „Wielkim dostatkim expediował się ten obiad. Muzyka grała cesarska i Króla JM”, oprócz tego wszystkie relacje zgodnie podkreślają znakomitość dań, dzięki dyspensie głównie mięsnych, ich bogactwo i różnorodność. Zastawiono potrawy w takiej obfitości, iż panowie i goście z trudem patrzyli na taki przepych. O bogactwie posiłków i napojów (głównie pitnego miodu) wspomina sekretarz Eleonory – większość biesiadników szybko się upiła; lecz najbardziej przeraziła go żarłoczność króla, „który wypiwszy i zjadłszy więcej niż inni, pochłonął jeszcze całe misy chińskich jabłek, przesłanych w darze przez mieszczan Gdańska na uświetnienie uroczystości”.

Królewska ucztą była wspañiała, co wcale nie było regułą. Jest jeszcze jeden fakt, o którym należy wspomnieć, chodzi mianowicie o niezbyt grzeczne zachowanie uczestników przyjęcia, na którym obok dostojników znaleźli się licznie przedstawiciele różnego stanu. Największe oburzenie wywołało zniszczenie marcepanów. Pyszne „piramidy i kolosy”, niezwykle kunsztownie wykonane przez cukierników z masy migdałowej z korzeniami i cukrem – była to najkosztowniejsza część uczyty (następująca po zasadniczych daniach). W relacjach wspomniano, że były długie na pięć łokci i kosztowały osiem tysięcy franków – był to udział polskich dostojników w uczcie weselnej. Idzie o to, że nie uszanowano ani artystycznego wykonania, ani ich wartości; zostały od razu połamane, pokruszone, wyzwalając wśród zuchwałej gawiedzi żarłoczność. Skandaliczne zachowanie uczestników uroczystości królewskiej na długo pozostało w pamięci, ale to nie wszystko, zachowały się też zagraniczne relacje o tym, że Polacy bezceremonialnie i bezładnie wpychali się do sypialni przyszej królowej, a chcąc się upewnić, czy nie ma ona peruki, ciągnęli ją za włosy!

Po skończonym bankiecie miały odbyć się tańce, w tym celu uprzątnięto refektarz i wybito podłogę sukniem. Bal rozpoczął się późnym wieczorem. Jak można wnioskować z opisów, najpierw tańczono „taniec polski”, zwany później polonezem. W pierwszą parę, zgodnie ze zwyczajem, ruszyli król i królowa. Za Eleonorą tanecznym krokiem szły trzy pary polskich dam, za nimi senatorowie i marszałkowie. Drugiego tańca dokonał król z arcyksiężniczką Marią Anną, po czym Michał dołączył do cesarzowej, która nie brała udziału w zabawie i siedziała pod baldachimem. Tym razem królowa Eleonora tańczyła kilkakrotnie, za każdym razem z innym dostojnikiem. Bal trwał do trzeciej nad ranem.

Po zakończonej zabawie młoda para wśród salw armatnich została odprowadzona do pięknie ustrojonej łożnicy, którą zdobyły królewskie arrasy, a czerwone sukno pokrywało podłogę. Starosta Zieliński i podkomorzy Denhoff pomogli królowi zdjąć szaty. Małżonkowie zostali w końcu sami, jednak Eleonora nazajutrz zwierzyła się matce, że: „Trzeba, żeby król czym prędzej opuścił ten klasztor; mam nadzieję, iż serce jego, wstrzymywane tu zapewne widokiem zakonnych murów (...), tem żywiej odezwie się w wolniejszym ustroniu”.

Dnia następnego długo odsypiano trudy tego balu. Około godziny drugiej mszę świętą przed Cudownym Obrazem odprawił biskup kujawski – Czartoryski, później zaś udano się w ścisłym gronie do pokoju królowej na bardziej kameralny obiad. Zasiadła tam para królewska, cesarzowa, arcyksiężniczka i kilka osób z otoczenia. Podawano tam dania proste, gdyż był to piątek,

grała muzyka. W tym czasie w starym refektarzu marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego Aleksander Połubiński w imieniu króla przyjmował senatorów i cesarskich grafów i kawalerów.

Wielu gości już się rozjechało, a po zapadnięciu zmroku rozpoczął się pokaz sztucznych ogni. Para młoda i cesarzowa oglądali je z okien swych pokojów. Na wałach fortyfikacyjnych ustawiony był ogromny wóz triumfalny na kołach „niezwykle kunsztownie zbudowany”. Dekoracje i postacie znajdujące się na wozie miały znaczenie symboliczne i odgrywały jakiś spektakl, była tam m.in. obracająca się kula ziemiska z unoszącym się aniołem u szczytu. Trzymał on ramy z wydobywającymi się płomieniami – za nim postać bogini Wenus w sukni zgodnej z francuską modą i dwa kupidy, z umieszczonych na wozie herbów cesarskich wydobywały się płomienie i z niego wystrzelivano w górę „ogniste gwiazdy”. Płonące pociski, race i „granaty” kreśliły na niebie inicjały nowożeńców oraz wielobarwne kompozycje. Widowisku towarzyszyła aranżacja akustyczna – wystrzelone z hukiem ognie, lecąc, świszcząły i grzmiały, a siedzący na koniach trębacze grali w ciągłą całość trwającą dwie godziny imprezy. Późnym wieczorem senatorowie i urzędnicy przyjmowali członków cesarskiego dworu i na odwrót.

Sobota, pierwszy dzień marca, była dniem pożegnań i odjazdów. Wręczano sobie nawzajem dary. Wielu uczestników otrzymało też medale. W skarbcu Jasnej Góry znajdują się dary złożone w hołdzie Matce Bożej przez główne osobistości ceremonii królewskiej.

Obraz przedstawiający zaślubiny królewskie „Ślub Michał Korybuta Wiśniowieckiego z arcyksiężniczką Eleonorą przed Cudownym Obrazem na Jasnej Górze”, ok. 1695 r. – malarz czynny na Jasnej Górze, znajduje się w Sali Rycerskiej klasztoru paulinów. Obraz ten jest jednym z serii malowideł, przedstawiających najważniejsze wydarzenia w dziejach Cudownego Obrazu i klasztoru jasnogórskiego.

Wykorzystano:

Maria Hennel-Bernasikowa, *Ślub królewski na Jasnej Górze – Michał Korybut Wiśniowiecki i Eleonora Habsburg – 1670*, Wydawnictwo Zakonu Paulinów „Paulinianum”, Jasna Góra – Częstochowa 2005.

Edward Rudzki, *Polskie królowe t. 2, Żony królów elekcyjnych*, Instytut Prasy i Wydawnictwo „Novum”, Warszawa 1987.



Ida Jadwiga Łubińska

RETROSPEKTYWA „JOTKI” Z OKAZJI PIĘĆDZIESIĄTKI



TAKĄ NAZWĘ NOSIŁ SZACOWNY, choć ciepły, przyjacielski wieczór w Galerii 4Arte. Bo 50-lecie twórczości niepowtarzalnego, wybitnego artysty – Jurka Kędziory, „Jotki” – było nie lada wydarzeniem.

„Jotka” to pseudonim, pod którym znany jest za granicą. Jego balansujące rzeźby zachwycają krytyków sztuki i publiczność na całym świecie. Data spotkania – 1 kwietnia b.r. prowokowała do zabawnych skojarzeń i żarcików. Uroczystość, rozmówki i pytania do bohatera aranżował Tadeusz Piersiak. Jerzy Kędziora całe niemal życie związany jest z Częstochową i jej okolicą. Jest lokalnym patriotą, co potwierdzał zaprezentowany film nagrany przez śląską telewizję „4 YOU”.

Prezenterką osiągnięć „Jotki” oraz wywiadu z twórcą była Violetta Rotter-Kozera. Wzruszająca była relacja z Nowego Jorku, gdzie na jednym z placów montowano balansujące rzeźby. Wśród montażystów rzeźb wyróżniał się ich twórca w czerwonej koszulce z napisem: CZĘSTOCHOWA. Więc to nie tylko promocja naszego kraju, ale i miasta.

W Galerii 4Arte podczas spotkania Jurek zdradzał tajemnicę powstawania swoich prac, które łamią prawa fizyki. Jego opowieść o tworzeniu balansujących na wysokościach postaciach była wręcz nieprawdopodobna, metafizyczna. Opisywał etapy powstawania rzeźby, od obserwacji, analizy i projektu, poprzez modele gipsowe i wielocłonowe formy, strategię balansu, aż po dzieło finalne. Każda rzeźba Kędziory ma swoją własną wewnętrzną dynamikę. Artystę interesuje rytm ciał i równowaga, uchwycona w ruchu i poprzez ruch. podejmującego nowe wątki, ustawicznie eksperymentującego.

Sale Galerii w pewien sposób współgrały z charakterem wystawy. Trzeba było balansować swoim ciałem, schylając się bądź prostując pod ceglany łukami pojawiającymi się znienacka. Galeria 4Arte zajmuje kilka niewielkich salek, toteż nie było tu dużych balansujących formatów. Były niewielkie prototypy, a na ścianach wisiały mniej znane obrazy, równie niezwykle, intrygujące, jak ich twórca, malowane niekiedy tworzywem wykorzystywanym w rzeźbie.

Przypomnę, że nasze miasto na Starym Rynku pochwalić się może swoistym „teatrum rzeźb” Jerzego Kędziory. Nad placem górują monumentalne, jakby zastygłe w półruchu sylwetki. Postacie są w niewygodnych pozach. I zdawać się może, że łapią równowagę. Te oryginalne w pomysle i wykonaniu rzeźby – cechują się oryginalną, rozpoznawalną estetyką i stały się jedną z wizytówek Częstochowy.

Barbara Strzelbicka

NA NAUKĘ NIGDY NIE JEST ZA PÓŹNO

5 KWIETNA B.R. W OPK „GAUDE MATER” odbyło się spotkanie autorskie Zbigniewa Budka oraz promocja tomu jego wierszy zatytułowanego *Rozproszenie*. To piąta z kolei książka poetycka autora – po *Repetitorium z historii* (2008), *Seansie za dwadzieścia kilka groszy* (2011), *Słowie jak dotyk* (2015) i *Pod prąd* (2015). Spotkaniu przyświecało hasło: „Wiersz mówi do Ciebie”. Najnowsza książka została zadedykowana wnuczętom, a na okładce znalazły się ich rysunki.

Autor w Częstochowie zamieszkał niedawno, przyjechał tu z Niemiec, gdzie mieszka na stałe. Wyjechał tam w wieku lat dwudziestu z Wejherowa, gdzie się urodził w 1948 r. Wiersze pisze od kilkunastu lat.

Spotkanie prowadzili Beata Anna Symoń, która swoje wystąpienie rozpoczęła od laudacji na cześć autora, oraz Robert Dorosławski, dyrektor Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Rozmowa dotyczyła podróży autora, zainteresowań oraz roli poezji w jego życiu. Goście dowiedzieli się, że drugą pasją bohatera wieczoru jest malarstwo. Dowiedzieli się także, że Zbigniew Budek nauczył się pisać wiersze – podobnie jak malować, uważa też, że każdy może się tego nauczyć. Pogląd ten brzmi interesująco i prezentuje nowoczesne, pozytywne podejście. Widownię wypełnili zaproszeni goście oraz znajomi autora, w tym także spoza naszego miasta.

Wiersze czytali aktorzy częstochowskiego teatru: Iwona Chołuj, Marta Honzatko i Maciej Półtorak oraz sam autor.

Po spotkaniu był czas na indywidualne rozmowy oraz na udzielanie wywiadów. Wydarzenie zostało zarejestrowane i relację można obejrzeć na jednym z popularnych portali.

Barbara Strzelbicka

SEBYŁA PODWÓJNIE

A BY UCZCIĆ 120. ROCZNICĘ URODZIN WŁADYSŁAWA SEBYŁY, poety urodzonego 6 lutego 1902 r. w Kłobucku, straconego przez NKWD w Piatichatkach pod Charkowem, odbyły się dwie konferencje, zorganizowane przez częstochowskie oddziały Towarzystw: Literackiego im. Adama Mickiewicza i Historycznego im. Szembeków.

Pierwsze zostało zorganizowane we współpracy z Rejonowym Ośrodkiem Kultury 7 kwietnia, prowadziła je prezes oddziału Towarzystwa Mickiewiczowskiego dr Elżbieta Wróbel, której towarzyszyły inne literaturoznawczynie z Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego w Częstochowie: prof. Elżbieta Hurnik, prof. Katarzyna Janus i dr Ewelina Mika, wiersze poety zaś czytał aktor Teatru im. Adama Mickiewicza Antoni Rot. Spotkanie zostało zatytułowane „Portret Władysława Sebyły” i jego celem było przypomnienie sylwetki bohatera, zaś dyskusji uczestniczek panelu towarzyszył pokaz fotografii. W wystąpieniach często pojawiały się nawiązania do wspomnień wdowy po poecie, Sabiny Sebyłowej, zawartych w jej książkach. Prof. Elżbieta Hurnik nawiązała do antologii pod swoją redakcją *Z częstochowskiej ziemi na „literacki Parnas”*, której Władysław Sebyła jest jednym z czworga bohaterów.



foto Artur Gielezy

od lewej: Antoni Rot, Anna Majer, Katarzyna Janus, Ewelina Mika, Elżbieta Hurnik, Elżbieta Wróbel.

Spotkanie drugie odbyło się 27 kwietnia w sali Ratusza miejskiego i składało się z dwóch głównych części. Pierwszą było wystąpienia Władysława Ryszarda Szelaę, prezesa Towarzystwa Historycznego im. Szembeków na temat popularyzacji twórczości Sebyły, które prowadziła dr Edyta Sadowska, sekretarz oddziału częstochowskiego, w drugiej Olga Derewiecka, doktorantka na Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym, wprowadzała gości spotkania w arkana „Sebyłowej muzyczności”. Nieoceniona była pomoc organizacyjna prezes częstochowskiego oddziału Towarzystwa Eweliny Dziewońskiej-Chudy, znanej z cyklu spotkań upamiętniających częstochowskich polonistów, które odbywały się w OPK „Gaude Mater”.

Wiersze Władysława Sebyły czytał Stefan Sitkiewicz, zaś spotkanie ubarwiła muzyką skrzypcową Ola Szymańska, uczennica szkoły muzycznej.

Na zakończenie spotkania goście zostali obdarowani niezwykle ciekawą książką, wydaną przez Mazowiecki Instytut Kultury – zbiorem wierszy Sebyły zatytułowanym *Ukryta prawda*, wzbogaconym o przekłady m.in. z Jesienina i Puszkina. Wybór został poprzedzony *Słowem wstępnym* Eweliny Dziewońskiej-Chudy oraz biografią Sebyły autorstwa Władysława Ryszarda Szelaę.



foto Artur Gielezy

od lewej: Ewelina Dziewońska-Chudy, Stefan Sitkiewicz, Władysław Ryszard Szelaę, Edyta Sadowska.

Barbara Strzelbicka

MACIEJ W PIWNICY



NIE BACZĄC NA PRZESĄDY, MACIEJ RUDLICKI wystąpił z recitalem w Galerii 4Arte w piątek trzynastego maja. Okazało się, że to była bardzo dobra data. Wierna Bardowi publiczność dopisała i wypełniła obydwie sale po brzegi, aż dwie fanki, nie mogąc znaleźć miejsca na widowni, zasiadły na scenie, nieskrępowanie robiąc swoimi występami konkurencję bohaterowi wieczoru. Maciej śpiewał, akompaniując sobie na gitarze, swoje ballady, dobrze znane gościom, którzy domagali się konkretnych utworów i często je podśpiewywali, przytupując do taktu. W pieśniach Macieja urzeka ich żywotny związek z Częstochową, nostalgia za dawnymi czasami, za miejscami, które zniknęły albo przeszły metamorfozę, pogodna akceptacja upływu czasu, okraszone humorem, wdziękiem i dystansem do siebie i świata. Śmiało można uznać, iż jest to postawa godna filozofa.

Na spotkaniu był obecny właściciel Galerii 4Arte dr Krzysztof Janik, którego śmiało można nazwać mecenasem kultury, a wspierał go w obowiązkach gospodarza niezwykle zapracowany Tadeusz Piersiak, zadomowiony w tym miejscu, dbający o logistykę i częstujący gości winem.

Swoją obecność na koncercie zaznaczyli też koledzy Macieja: muzyk i poeta Zdzisław Sierpiński oraz poeta Tadeusz Luterek, prezentując dedykowane koledze wiersze, które z powodzeniem można nazwać hymnami pochwalnymi.

Podczas koncertu Maciej zapowiedział wydanie kolejnej płyty ze swoimi balladami, na którą niecierpliwie czekamy.



dr Piotr Janik i Wojciech Kowalski

Barbara Strzelbicka

TEATR W GALERII

WOJCIECH KOWALSKI TO CZŁOWIEK WIELU TALENTÓW. Z wykształcenia nauczyciel polonista i bibliotekarz, z zamiłowania muzyk saksofonista, z pasji człowiek teatru. Przez trzynaście lat współtworzył Teatr From Poland, by wyewoluować w stronę monodramu. Jest także instruktorem teatralnym, dziennikarzem prowadzącym ciekawe rozmowy z ludźmi kultury, jest także animatorem działań kulturalnych w naszym mieście – wystarczy wspomnieć o letnich spotkaniach teatralnych na scenie plenerowej między ratuszem i odwachem w ramach miejskiej akcji „Aleje – tu się dzieje!”, kiedy to można było obejrzeć przedstawienia prezentowane przez małe teatry.

Od kilku lat Wojciech Kowalski najpełniej realizuje się w dziedzinie teatru jednego aktora, przygotowując spektakle pokazywane w całej Polsce, często nagradzane w konkursach i na festiwalach. Niestety, teatr jako niezwiązany instytucjonalnie nie miał dotąd swojej siedziby. Przez kilka miesięcy „waletował” w piwnicy Filharmonii, próbował się zadomowić w innych miejscach, ale bez powodzenia. Sytuacja na szczęście się zmienia, bowiem gościny Teatrowi Wojtka Kowalskiego udzielił dr Piotr Janik, właściciel Galerii 4Arte. Inauguracja sezonu w nowej siedzibie miała miejsce 10 czerwca b.r. spektaklem „Hrabalu Ty mój”, na który zaproszone zostało grono osób zaprzyjaźnionych z Artystą i z Galerią 4Arte.

Zaprezentowany spektakl składał się z fragmentów prozy Bohumila Hrabala, zaadaptowanych dla potrzeb i możliwości teatru jednego aktora. Pomysłowa scenografia, kostium i oprawa muzyczna znakomicie sprawdziły się w pomieszczeniu piwnicy, w której znalazło się miejsce na scenę, specjalnie poszerzoną, i na 50-osobową widownię autorskiego teatru.

Występ został przygotowany niezwykle starannie, poszczególne postacie zagrane sugestywnie, z wykorzystaniem możliwości, które daje proza Hrabala i aktorskie predyspozycje Wojciecha Kowalskiego, doceniającego i często podkreślającego wartość słowa w teatrze. Swoimi muzycznymi uzdolnieniami aktor mógł popisać się na zakończenie przedstawienia, gdy wykonał song ze słowami Janusza Jano Mielczarka, obecnego na widowni pisarza i fotografa, wielbiciela prozy Hrabala, autora zbioru opowiadań *Hrabalowisko*.

Po spektaklu – choć nie była to premiera w ścisłym tego słowa znaczeniu – odbył się bankiet, na który składało się przede wszystkim dobre towarzystwo, a oprócz tego chleb ze smalcem – pysznym, zrobionym podobno przez samego bohatera wieczoru, ogórki małosolne z dużą ilością kopru (niebo w gębie!, autorstwo – jak wyżej), piwo (bo jak bez niego o Hrabalu?), a jak ktoś wołał „na słodko”, to też było.

I ja tam byłam, piwa nie piłam, chleb ze smalcem zjadłam, ogórkiem przekąsiłam, a com widziała – opisać się starałam. A to dlatego, by zachęcić do odwiedzenia Teatru Wojtka Kowalskiego w Galerii 4Arte, gdzie będą prezentowane kolejne spektakle tego twórcy, ale nie tylko – ma on bowiem zamiar zapraszać inne teatry, które poznał w czasie swoich peregrynacji teatralnych. Wiele wskazuje na to, iż teatralna piwnica przy ul. 1 Maja 27 będzie niezwykle klimatycznym miejscem w Częstochowie.

Artur Gielezy

O POEZJI W BIBLIOTECE



Od lewej: Tadeusz Luterek, Anna Kulej-Stacherczyk, Barbara Kawka, ks. Kamil Zadrozny, foto Artur Gielezy

18 CZERWCA 2022 R. o godz. 15:30 w Bibliotece Wyższego Seminarium Duchownego przy ul. Św. Barbary 41 w Częstochowie odbyło się spotkanie autorskie pana Tadeusza Lutereka. Wieczór ten rozpoczął swoim wystąpieniem ks. dr Kamil Zadrozny, dyrektor seminaryjnej Biblioteki. Po przywitaniu gości została zaprezentowana krótka historia Biblioteki oraz Seminarium Duchownego. Następnie poeta przywitał gości, opowiedział o swojej twórczości, pierwszym wydanym tomiku, próbach literackich w liceum, a także o swojej fascynacji Gałczyńskim. Opowiedział również o ś.p. abp. seniorze Stanisławie Nowaku (autor wstępu do tomiku *Posłowie, pokłosie. Czyli o urodzajach duszy*). Arcybiskup nazwał twórczość autora wierszami modlitewnymi. Podkreślił, iż autor pierwszy tomik wydał, mając 70 lat. Tak więc nigdy na marzenia nie jest za późno. Wiersze poety zaprezentowały, oprócz samego autora, panie Anna Kulej-Stacherczyk oraz Barbara Kawka. Oprawę muzyczną przygotował Zdzisław Sierpiński. Ksiądz Kamil Zadrozny podziękował gościom za przybycie i zaprosił na przygotowany poczęstunek. Spotkanie zakończył autor wierszem *Koniec i kropka*. Na koniec przybyli goście mogli zaopatrzyć się w tomiki wierszy autora, aby w domowym zaciszu móc przeczytać i podumać nad twórczością poety. Można było również otrzymać autograf od autora twórczości. Spotkanie autorskie pana Tadeusza Lutereka odbyło się w bardzo ciekawej i miłej atmosferze.

Barbara Strzelbicka

SPOTKANIE POETYCKIE – BEZ WIERSZY



od lewej: Zdzisław Sierpiński, Wojciech Kowalski, Mariola Florek

22 CZERWCA NA SCENIE OŚRODKA PROMOCJI KULTURY „Gaude Mater” spotkali się dwaj dostojni... debiutanci: bohater wieczoru poeta Zdzisław Sierpiński i prowadzący spotkanie aktor Wojciech Kowalski. Choć znani i widywani w różnych rolach, w tych wystąpili po raz pierwszy. Zdzisław Sierpiński zasłynął w Częstochowie jako muzyk, Wojciech Kowalski jako aktor, saksofonista i animator wydarzeń teatralnych. Debiutując w roli prowadzącego spotkanie autorskie, zaznaczył na wstępie, że jego zdaniem poezja nadaje się wyłącznie do intymnego czytania w domowym albo innym zaciszu, dlatego na tym spotkaniu nikt wierszy czytał nie będzie – odbędzie się jedynie rozmowa z poetą. W tym celu przygotował i spisał na żółtej kartce blisko 20 wnikliwych pytań, które zamierzał zadać autorowi promowanego tomiku *Wędrówki po warkoczach marzeń i za snu kotary*. Poeta nie zaprotestował. Prowadzący zainteresował się jednak tytułem, że taki oryginalny, co autor skwitował, że tak sobie wymyślił – i połączył fragmenty wzięte z dwóch wierszy.

Rozmowa zaczęła się od opowieści o dzieciństwie na wsi lubelskiej, o muzykalności, odziedziczonej po mamie, o akordeonie, kupionym przez tatę i o nauce gry już w Miejskim Domu Kultury na częstochowskim Rakowie. Potem nastąpił młodzieńczy bunt i zerwanie z akordeonem – by po latach do niego wrócić i nawet grać w Kapeli Piosenki Wszelakiej. Poza tym były studia na kierunku wychowanie muzyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie (obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy) i równoległe Studium Muzyki Kościelnej. Zdzisław Sierpiński również śpiewa, a jego kariera wokalna zaczęła się w chórze Filharmonii Częstochowskiej, prowadzonym przez nieodżałowanego Krzysztofa Pośpiecha. Przynależność

do chóru umożliwiła realizację kolejnej pasji – podróżowania, w tym do Hiszpanii, a zwłaszcza do Barcelony. Zainteresowanie poezją – ukochany poeta to Leśmian, judealiami, poezją Lorki, twórczością Stanisława Grochowiaka. Koty – w domu 6 i tyle samo na działce, do tego gotowanie, sport... Zdzisław Sierpiński jest bez wątpienia człowiekiem wielu pasji. Graniem kościelnym jest nieco zmęczony, bo to praca „na pełny zegar”. Szczególnie trudne są obowiązki organisty związane z pochówkiem, zwłaszcza tradycyjnym, gdy zmarłemu towarzyszy się w ostatniej drodze z domu na cmentarz.

Przerywnikami rozmowy były popisy muzyczne bohatera wieczoru, który zagrał na fortepianie i zaśpiewał trzy swoje pieśni z tekstami Lorki.

Nieoczekiwanie gościem spotkania była redaktorka książki Mieczysława Wyględowskiego *Poczet wybranych pamiątek zachowanych w domu moim... Spotkania z kulturą*, która przyjechała z Warszawy i poprosiła o to, by mogła zabrać głos. Okazało się, że redagując książkę, poznała sylwetkę Zdzisława Sierpińskiego, a po raz pierwszy zobaczyła go i usłyszała właśnie na spotkaniu. Jej specjalnym podarunkiem było tango „El Choclo”, brawurowo wykonane na fortepianie.

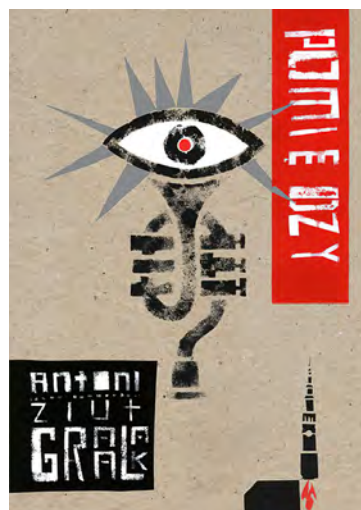
Uzupełnieniem wieczoru było czwartkowe spotkanie Towarzystwa Galeria Literacka, z racji pięknej pogody w ogrodzie Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, na którym Zdzisław Sierpiński jednak czytał swoje wiersze, wybrane przez koleżanki i kolegów. Zagrał nam też na akordeonie, tym samym, który kupił mu tata, ale już nie pieśni, a piosenki z repertuaru Kapeli Piosenki Wszelakiej. Chętnie się do niego przyłączyliśmy, a wiatr poniósł nasz śpiew chórally... Ach, co tu dużo mówić: było pięknie!



Zdzisław Sierpiński w altanie

ANTONI „ZIUT” GRALAK, *Pomiędzy*, Wydawnictwo TARARARA, Lublin 2022.

Muzyk o częstochowskich korzeniach i chętnie się do nich przyznający wspomina lata swojej młodości, kreśląc obraz ówczesnej Częstochowy i kraju. Opowieści napisane są barwnym, czasem dosadnym językiem, zawierają wiele interesujących szczegółów, dotyczących zwłaszcza środowiska muzycznego miasta. Książka jest ozdobiona grafikami autorstwa Doroty Jabłońskiej-Gralak i Jarosława Koziary, wydawcy, spotkanie z autorem, po którym miał miejsce koncert, odbyło się w OKF „Iluzja” 25 maja b.r. [B.S.]



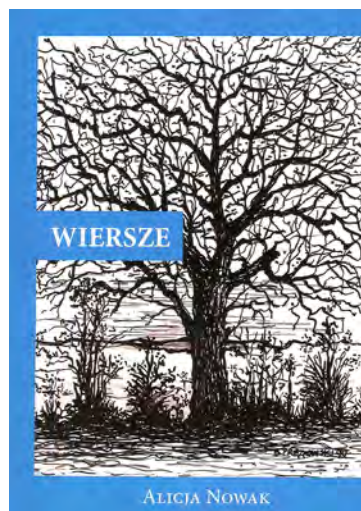
LECH (LESZEK) GROCHULSKI, *Wiersze. Moje ślady*, Częstochowa 2022.

Piąty z kolei, dedykowany wnuczętom, tom wierszy częstochowskiego autora i kolekcjonera sztuki, który wcześniej opublikował cztery tomy z cyklu „Kobieta”: *Powiedzieć kobiecie* (2012), *Rozmowy z kobietą* (2014), *Zrozumieć kobietę* (2017) i *Być z kobietą* (2020). Książka jest dedykowana wnuczętom autora. I tym razem książka jest bogato ilustrowana pracami twórców z różnych stron świata, uzupełniona o ich biogramy, a kobieta nadal jest bohaterką wielu wierszy. [B.S.]



ALICJA NOWAK, *Wiersze. Zbiór*, Częstochowa 2022.

Obszerny tom wierszy częstochowskiej twórczyni, zawierający wiersze zebrane z kilku dotychczas wydanych poetyckich broszur, które dały tytuły rozdziałom, a zatem: *Wiersze, Słowa, nad przegrodą absurdu*, *Wiersze ze szczeliny czasu, 15 minut*. Dzięki takiemu zbiorowi wierszy można prześledzić rozwój poetycki ich autorki i zauważyć, że chętnie eksperymentuje. Książka zawiera także kilka prac plastycznych autorki, która jest także malarką. Na okładce praca Bogdana Pręgoskiego, a w środku dedykowany jego pamięci wiersz. [B.S.]



Janusz Jano Mielczarek

OPOWIEŚCI O PIĘKNIE



Agnieszka Dumańska, „inDUSTrial”

Jarosław Dumański należy do tych nielicznych częstochowskich fotografujących, którzy bez względu na własne aspiracje twórcze, dzielą się nimi także z innymi, których do Galerii 4Arte zaprasza na dyskusje i inspirujące spotkania. W ostatnich miesiącach stworzył dwie interesujące ekspozycje fotograficzne: pierwsza – „Miasto Cieni”, a druga, wspólna z żoną Agnieszką – „inDUSTrial” w Galerii 4Arte.

„Miasto Cieni” eksponowane było w Galerii Regionalnego Ośrodka Kultury przy ul. Ogińskiego. To zapis wędrówki z cieniem dostrzeganym przez jednych i nadających mu znaczeń magicznych, a ignorowanym przez innych. „Miasto Cieni” to nastrojowa, intrygująca, prowokująca do przemyśleń kameralna wystawa.

Zupełnie innymi środkami działają kadry wystawy „inDUSTrial”. To głównie przestrzenie zdegradowane przez mijający czas, którym postęp techniczny odebrał prawo do życia i zepchnął na margines. Niegdyś dające życie i fortuny, podziwiane, dziś zarastają zielskiem, stają się co najwyżej obiektami zachwyty artystów i fanatyków sztuki.

Jarosław Dumański wraz z towarzyszącą mu w wędrówkach fotograficznych żoną Agnieszką tematy z kręgu *industrial* fotografują od kilkunastu lat. Pochłonięci nimi, twórczo odkrywają

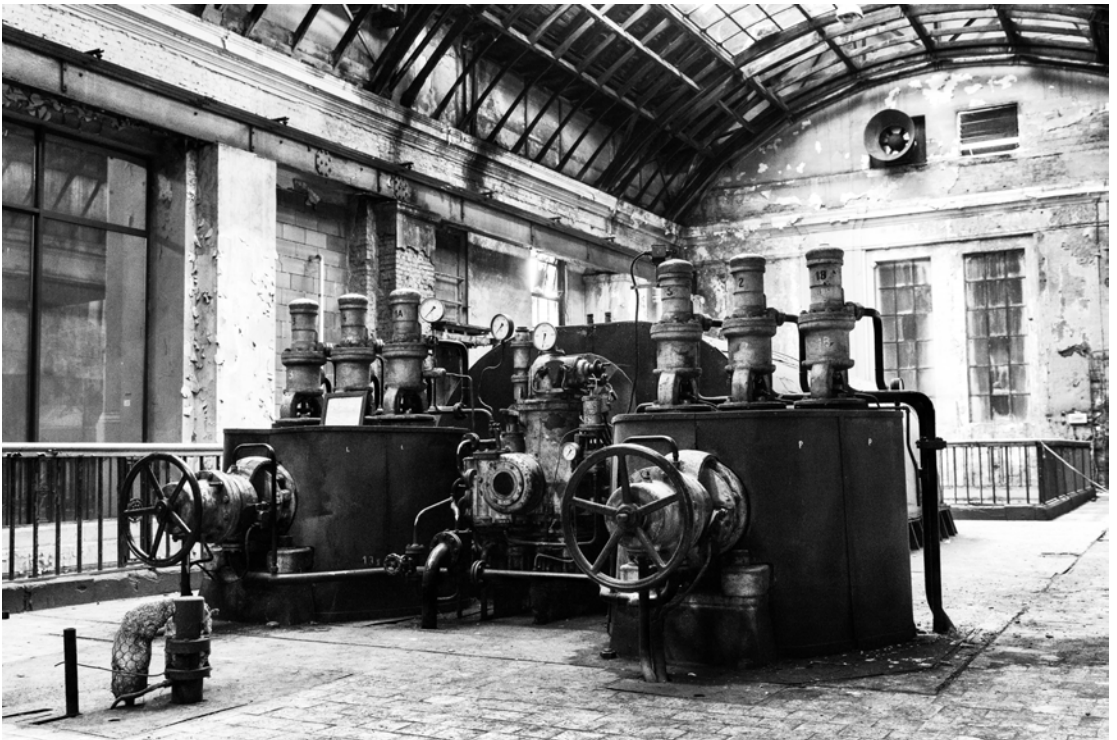
wciąż nowe pokłady możliwości pogłębiania wiedzy o tym niezwykłym świecie i dzielenia się nim poprzez medium fotografii. Przebywając w tych obiektach – jak mniemam – musieli także zdobyć ich zaufanie, a może nawet przyjaźń? To właśnie pozwoliło im w niebanalny sposób napisać o nich w folderze wystawy. Fragmenty tych tekstów pozwolę sobie zacytować.

Jarosław Dumański: *Mój industrial*

Miejsca industrialne przestają istnieć lub zmieniają swój charakter. Jeśli mają szczęście, to stają się galeriami handlowymi lub hotelami. W innym przypadku kończą jako atrakcyjne parcele. [...] Fotografia industrialna stara się ocalić od zapomnienia to, co było i ukazać jako atrakcyjne to, co jest. Te przestrzenie, te miejsca zawsze przykuwały moją uwagę. Była (i jest) w nich jakaś niesamowitość, tajemnica, czasem groza. Strzeliste kominy, hale fabryczne, maszyny. Wszystko inne od otaczającego nas na co dzień świata.

Agnieszka Dumańska: *Mój industrial*

Obiekty przemysłowe pociągają nas swoją tajemniczością. Ukryte za potężnymi murami, dostępne tylko dla wtajemniczonych w alchemiczne procesy zachodzące w ich wnętrzu, są symbolem potęgi ludzkiego umysłu, zdolnego okiełznać siły natury i zaprząć je do służby ludzkiej cywilizacji. Fotografowanie takich miejsc to niezwykle wyzwanie. Trzeba odnaleźć piękno w maszynie, budowl



Jarosław Dumański, „inDUSTrial”

o odmiennym przeznaczeniu niż te budynki, w których – i wśród których – żyjemy na co dzień. W przypadku uwieczniania już upadłych fabryk, ruin dawnej potęgi, martwych maszyn, potrzebne jest zrozumienie i odczucie innej kategorii estetycznej – turpizmu. Piękno w brzydocie, rysunek pęknięć potężnych murów z czerwonej cegły, pustka i opuszczenie niegdyś tętniących życiem hal produkcyjnych. [...] Nędzne resztki dawnej potęgi, której duchem sprawczym była pierwsza maszyna parowa. [...]

Niezwykłość form obiektów industrialnych każe doszukiwać się w ich rysunku abstrakcji. Zwielokrotnione, stają się jeszcze bardziej odhumanizowane, zapętłone, skupione na sobie, zachłyśnięte sobą. Wciągają nas do środka stalowo-betonowych organizmów i odcinają od organicznego świata. Znikamy, wtapiamy się w industrialne molochy...

Na ekspozycję „inDUSTrial” składa się około pięćdziesięciu prac, w tym około dwudziestu czarno-białych. Na wernisaż w czerwcowe popołudnie do Galerii 4Arte ściągnęło wielu fotografujących z różnych miast Polski, a wystawa rozpoczęła swoje życie i będzie prezentowana jeszcze w kilku zaprzyjaźnionych galeriach.

Agnieszka z Jarosławem, wciąż zafascynowani tym tematem wierzą, że w niedalekiej przyszłości poszerzą kolejną ekspozycję o nowe, tchnące tym duchem fotografie.



Jarosław Dumański, „inDUSTrial”

Jan Ciesielski
CIEKAWOŚĆ

I

Raz małe łosię
z lasu wyrwało się
i na polanie
usłyszeć chciało
co piszczy w trawie.
I cóż, przypadek to prosty:
pokłuło uszka o osty.

Morał:
Kogo ciekawość suszy,
niechaj uważa na uszy!
Lub:
Wysłuchaj mądrego zdania:
nie wszystko jest do słuchania!

II

Raz czapla mała,
na jednej nodze
stojąc w wodzie,
na żabki polowała.

Wtem wychyla się rybka
i pyta: Czapło,
czy jesteś szybka?
Odpowiedzi nie usłyszała,
gdyż czapla ją połykała.

A morał z bajki jaki?
Nie bądź ciekawy taki!

**III**

Prosiaczek kiedyś ciekawie
swoją ryjkę umieścił w trawie,
lecz bardzo przykro się zdziwił,
gdy ryjkiem trafił w pokrzywę.

Tu mały wtręćnik do scenki:
gdy do wkładania ktoś prędko,
dopóki wśród żywych żyje,
niech patrzy, gdzie wkłada ryjek...

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

REDAKCJA:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Małgorzata Franc, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak,
Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski,
Anna Jędryka, Maciej Rudlicki.

LAYOUT: Andrzej Chmielewski

SKŁAD:

J.M. Krasucki, Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

DRUK:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

PRINTED IN POLAND.

WYDAWCA:



Towarzystwo Galeria Literacka
ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa
www.galerialiteracka.pl

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Iwona Góraj, „Pejzaż z gondolą w czerwieni i złocie”, collage, papier, 30 x 21 cm, 2015



Iwona Góraj, „Głowa Chrystusa w koronie cierniowej”, collage, papier, 30 x 21 cm, 2017